

SĘDZIA BARBARA PIWNIK W MOCNEJ ROZMOWIE

**Sędziowie powinni udowodnić,
że nie są nadzwyczajną kastą**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZE**



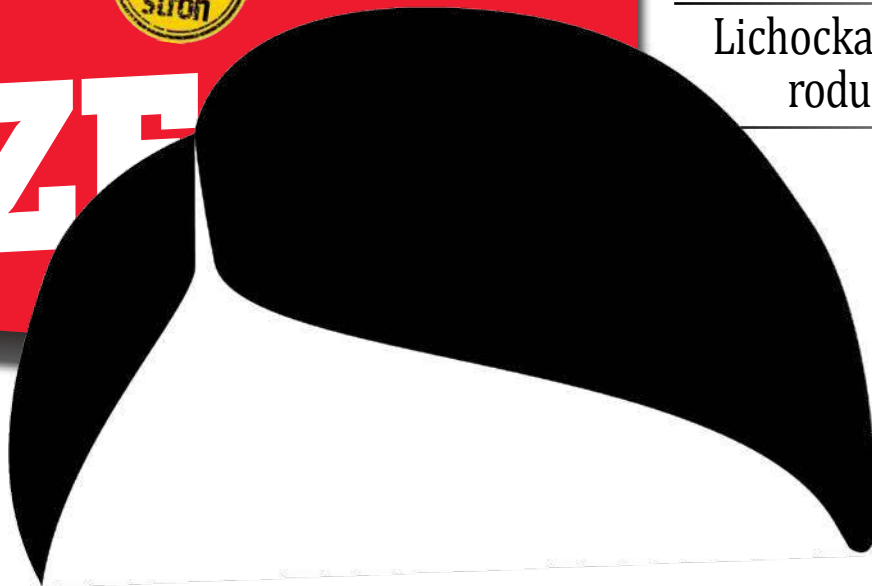
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 6/259 5-11 LUTEGO 2018

DWA DODATKI SPECJALNE

- Igrzyska w Pjongczangu
- Nasi najlepsi skoczkowie



Lichocka o sekretach
rodu Rymkiewiczów



POLSKA – IZRAEL

TO JUŻ WOJNA?

Kulisy prowokacji. Dlaczego Izrael nie chce dostrzec polskich racji

Piszą: Semka, Lisicki, Ziemkiewicz, Panfil

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

WYBÓR LUKASZA
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

**EASY SMOOTHIE BLENDER
MANTA 350W SBL920**

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl d6745449d2



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Smutny konflikt

Przyglądając się temu, jak z dnia na dzień pogarszają się stosunki polsko-żydowskie lub polsko-izraelskie, trudno nie odczuwać smutku. Trudno nie mieć poczucia, że Polska dała się uwikłać lub sama się uwikłała w wyjątkowo niebezpieczny konflikt. I trudno też nie dostrzec z jednej strony słabości i braku politycznej wyobraźni niektórych polskich polityków, z drugiej bezwzględności i zaciętości, chciałoby się wręcz powiedzieć – niebywałego tupetu części izraelskich elit.

Jeśli chodzi o Warszawę, to kilku rzeczy nie jestem w stanie pojąć. Po pierwsze, dlaczego nowelizacja ustawy o IPN musiała nastąpić akurat w przededniu dnia wyzwolenia Auschwitz. Jak to możliwe, że do Warszawy nie docierały z Izraela żadne sygnały o możliwym sprzeciwie i skali oporu? Dlaczego placówka w tym kraju od tylu miesięcy nie ma ambasadora? Zastanawiam się, czy polska w ogóle dysponuje czymś takim jak dyplomacja, skoro nikt nie jest w stanie uprzedzić na czas o zbliżającej się nawałnicy. No bo jak to możliwe, żeby nie wiedzieć o tym, że nasz rzekomo bliski partner i rzekomo dobry przyjaciel pełen jest tak silnych antypolskich resentymentów? Podobnie zastanawiam się, czy ktokolwiek

– premier, prezydent, ministrowie – dokonali na zimno rachunku zysków i strat? Scenariusz jest przecież łatwy do przewidzenia: protesty żydowskie nie skończą się na skądinąd haniebną i głupią ustawie Knesetu, oskarżającej Polskę o współudział w Holokauście. Przeciw Warszawie uruchomiony zostanie, tak dobrze przewidziany przez Żydów w stosunku do innych państw, zestaw kolejnych środków nacisku. W ostateczności można się spodziewać nawet gwałtownej zmiany w relacjach z USA i – nie wykluczałbym tego – podważenia polsko-amerykańskiego sojuszu.

Jeśli chodzi o Izrael, to trudno zrozumieć z kolei, dlaczego państwo, któremu powinno zależeć na dobrych relacjach z najbardziej chyba proizraelską ekipą po 1989 r., nagle decyduje się na wściekły atak. Dlaczego szukając teoretycznie partnera wśród państw Europy Środkowej, nagle postanawia zniszczyć dobre relacje z Warszawą? Dlaczego część izraelskich elit postanawia potraktować Polskę jak wroga, a polskie próby chronienia pamięci o własnych ofiarach – jak zamach na swój interes narodowy? Tak jakby Żydom zależało na stworzeniu fali antysemityzmu i jakby kompletnie nie interesowały ich skutki własnych działań. Tak jakby polityka polegała nie na tworzeniu

sieci przyjaciół, lecz na brutalnym egzekwowaniu swojej przewagi. W ostateczności takie działanie źle się kończy. Siła to nie wszystko.

Dlaczego zatem doszło do konfliktu? Możliwości jest kilka. Po pierwsze, Warszawa nie chciała dostrzegać negatywnych sygnałów. Po drugie, zaciętość ideologiczna religią Holokaustu (cierpieli tylko Żydzi i nikt więcej) wraz z sekularyzacją społeczeństwa izraelskiego stały się tak silne, że uniemożliwiały chłodną i spokojną ocenę sytuacji. Po trzecie, chodzi o coś innego, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje, i awantura o nowelizację jest tylko przykrywką do awantury o reprivatyzację. Po prostu znacznie łatwiej zbudować koalicję światową wokół rzekomo zagrożonej pamięci o Holokauście niż wokół osiągnięcia własnych korzyści. Po trzecie, może zadziałał konsekwentnie od miesięcy sączony przez część polskich środowisk liberalno-lewicowych jad.

Nie sposób przewidzieć do czego doprowadzi obecny konflikt. Jeśli odpowiedzią na kryzys miało być telewizyjne, czwartkowe wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego, to trudno uznać je za udane. Pomijając już kwestie czysto wizerunkowe (czy nikt nie mógł tego lepiej wyreżyserować?), jest dla mnie niejasne, o co w ogóle premierowi chodziło? Do tej pory sądziłem, że celem ustawy jest obrona pamięci o polskich ofiarach, taka jak ta, którą cieszą się ofiary żydowskie. Tymczasem Mateusz Morawiecki próbował mnie przekonać, że chodzi o to, że „szerzenie prawdy o Holokauście to nie tylko zadanie Izraela. To również zadanie Polski.” Cóż, jeśli taki ma być cel tej operacji: uwikłać się w wojnę dyplomatyczną z Izraelem po to, żeby pokazać Izraelowi, że Polacy będą lepiej szerzyć od Żydów prawdę o Holokauście – to przyznaję szczerze, że nic nie rozumiem.

Naprawdę, trudno zachować optymizm. ©©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA

ŁODOWATY PRYSZNIC

Próba opisu istoty konfliktu

22 PAWEŁ LISICKI

RELIGIA HOLOKAUSTU PRZECIW POLSKIEJ PAMIĘCI

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PO BURZY – KTO ZYSKAŁ, KTO STRACIŁ

26 ROZMOWA Z DR. HAB. TOMASZEM PANFILEM

SZMALCOWNICY BYLI U NAS MARGINESEM

29 MACIEJ PIECZYŃSKI

SKŁAMAŁ, BY OCZERNIĆ POLSKĘ

70 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

SEBASTIAN RYBARCZYK (1970–2018)

ŚWIAT

74 WITOLD REPETOWICZ

POSTMODERNISTYCZNE KRUCJATY KONTRA DŻIHAD

Turecka ofensywa przeciw „niewiernym”

EKONOMIA

78 STEFAN SĘKOWSKI

SOCJALIZM XXI W.

Kapitał a praca

82 IAN PIENIĄŻEK

MILIARDY W OBIEGU

SPORT

87 DODATEK:
PJONGCZANG 2018

98 ROZMOWA Z NARCIARKĄ
KAROLINĄ RIEMEN-ŻEREBECKĄ

NIE WSTAWAŁAM NAWET Z ŁÓŻKA

100
DODATEK: SKOKI
NARCIARSKIE

O ZDROWIU

106 KATARZYNA
PINKOSZ

RECEPTA NA DŁUGO- WIECZNOŚĆ

Jak dożyć stu lat

STYL

108 JOANNA
BOJAŃCZYK

BITWA O FUTRO Zwierzęta a moda

KRAJ

30 ŁUKASZ WARZECHA

REFERENDUM W SPRAWIE REFERENDÓW

Obywatele głosu nie mają?

32 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM

RUSZYŁ PROCES BUDOWY POLSKIEGO JOBBIKU

34 ROZMOWA Z BARBARĄ PIWNIK

SĘDZIOWIE NIE SĄ NĄDZWYCAJNĄ KASTĄ

37 ŁUKASZ ZBORALSKI

ŻYCIE I ŚMIERĆ NA NANGA PARBAT

40 ROZMOWA Z HENRYKIEM KOWALCZYKIEM

CZŁOWIEK TEŻ JEST CZĘŚCIĄ ŚRODOWISKA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ILE KOSZTUJE TWEET?

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK

NIEŚMIERTELNOŚĆ ZABIJE DUSZĘ

Nowy serial science fiction

48 ANDRZEJ HORUBAŁA

AKTUALNA SPRAWA GRZEGORZA P.

50 JOANNA LICHOCKA

UKŁON SOBOLEWSKIEGO

NIE PRZEGAP

54 NASZ
PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

CO JEST ZA TYMI DRZWIAMI?

Teologia populistyczna

64 SŁAWOMIR CEDZYŃSKI

TROLLE PÓJDA NA WYBORY

HISTORIA

66 JACEK KOMUDA

BIJ SIĘ ZE MNĄ!

Honorowe pojedynki
i karczemne zwady



FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (73), KOWALCZUK (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (80), KOMUDA (110), TYRMAND (112), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)



Piąte urodziny „Do Rzeczy”

Pięć wspólnie spędzonych lat, ponad 250 wydanych numerów tygodnika „Do Rzeczy” – nie licząc wydań specjalnych, książek i filmów oraz raportów i informacji śledczych. Jednym słowem cała masa pracy, która zyskała uznanie u niemałej grupy czytelników.

W miniony poniedziałek wydawcy, szefowie, publicyści i dziennikarze tygodnika „Do Rzeczy” wraz z przyjaciółmi naszego pisma, wśród których nie zabrakło polityków, ludzi mediów i biznesu (przybyli

m.in. Czesław Bielecki, Krzysztof Czabański, Marek Jakubiak, książę Jan Lubomirski-Lanckoroński, Jacek Łęski, Magdalena Ogórek, Jarosław Sellin, Miriam Shaded, Krzysztof Turkowski), w warszawskim pubie Lolek świętowali piąte urodziny naszego pisma.

Była dobra muzyka i przekąski, tort oraz oczywiście tradycyjna lampka szampana. Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, dziękował za wspólną pracę tym, którzy uczestniczyli w powstawaniu

pisma, tym, którzy czytają nas od pierwszego numeru oraz tym, którzy dołączyli nieco później.

– „Do Rzeczy” to przede wszystkim pismo rzeczowe. Pismo, które stara się pokazywać rzeczywistość bardziej skomplikowaną, niż ona się na pierwszy rzut oka wydaje. Staramy się to robić od pięciu lat, robimy to dla Państwa, dla naszych Czytelników co tydzień, walcząc o to, żeby dostali Państwo taki obraz świata, jaki jest naszym zdaniem autentyczny – mówił

w specjalnym urodzinowym spocie Paweł Lisicki.

A na portalu DoRzeczy.pl mogą Państwo zobaczyć kilka krótkich filmów, w których o tym, jak powstawał i jest tworzony nasz tygodnik, mówią: Piotr Gabryel, wiceszef „Do Rzeczy”, oraz publicyści, m.in.: Rafał A. Ziemkiewicz, Łukasz Warzecha, Kamila Baranowska, Piotr Gocięk, Piotr Semka, Wojciech Wybranowski i Tomasz Terlikowski, a także Michał M. Lisiecki, szef PMPG Polskie Media – współwydawca tygodnika. © (ww)

Drodzy Czytelnicy,

Nasza redakcyjna skrzynka została zasypana listami w sprawie stosunków polsko-żydowskich i polskiej polityki historycznej. Oto jedna z Państwa opinii.

„Ćwierć wieku dorabiania brunatnej gęby”

Piszę w nawiązaniu do artykułu Rafała A. Ziemkiewicza („Do Rzeczy” 5/2018). Polacy jeszcze nie zdają sobie sprawy z konsekwencji wieloletnich zaniechań w polityce historycznej, co – jak życie pokazuje – musi się w końcu zemścić. Spór w relacjach polsko-izraelskich wybuchł nagle, ale tak naprawdę był uśpiony od lat. Problem polega na tym, że dzisiejszy cały świat, a zwłaszcza młodzież izraelska, sądzi, że w obozach zagłady na terenie Polski ginęli głównie sami Żydzi. Świat już nie pamięta, że przecież w niemieckich obozach zagłady mordowani byli Polacy i obywatele polscy pochodzenia żydowskiego. Nie byli to obywatele Izraela czy USA. Państwo Izrael narzuciło swoją narrację (bo innej nie było, a Polska była wycofana i nieobecna) i skutecznie z antysemityzmu i Holokaustu uczyniło globalną religię, która z czasem stała się mieczem.

Dzisiaj maski opadły i Polska stała się ofiarą potężnej manipulacji historycznej, której trzeba dać odpór. Kto się tego podejmie? Wydaje się, że sami jesteśmy sobie trochę winni. Od lat ze zdumieniem słuchałem w polskich mediach infantylnego zachwyty nad kolejnym „marszem żywych”, w którym oprócz na niebiesko ubranej młodzieży z Izraela idzie nie wiedzieć czemu grupa

młodzieży polskiej. A ja pytam – dlaczego wraz z potomkami ofiar nie maszerują potomkowie katów? Dlaczego z młodzieżą żydowską nie maszeruje młodzież niemiecka? [...] Kto dzisiaj jeszcze na świecie wie, pamięta, że tylko Polacy byli „wyróżnieni” przez Niemców karą śmierci za przechowywanie Żyda? Jakie dzisiejsze państwo UE nie kolaborowało z Niemcami? Jeden z większych „polskich” obozów był w Dachau, 20 km od Monachium. To też polskie miasto? Stosunki z Izraelem są ważne, ale honor Polski jest bezcenny.

Z poważaniem
Juliusz Rzepczyński

Przepraszamy

Tekst „Jak umierała I RP”, będący wywiadem Tomasza Z. Zaperta z Piotrem Śliwińskim (ur. 1973), autorem książek „Dziki kąt” i „Ryngraf”, omyłkowo zilustrowaliśmy fotką profesora Piotra Śliwińskiego (ur. 1962), krytyka, znakomitego znawcy współczesnej poezji polskiej, wykładowcy UAM. Oba panów Śliwińskich serdecznie przepraszamy.

Redakcja

German Death Camps

Plakat, który wykorzystujemy na okładce, autorstwa Marcina Bronickiego, publikujemy za uprzejmą zgodą Fundacji Tradycji Miast i Wsi, organizatora akcji German Death Camps. Prowadzi ona zbiórkę pieniędzy na billboardy promujące akcję. Oto stosowne linki:

www.zrzutka.pl/w9cupa

www.facebook.com/zbiieramynabillboard



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki

I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel

Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,

Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,

Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak,

Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk,

Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper,

Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenkowski, Ewa Łosińska,

Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel,

Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,

Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski,

Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,

Błażej Torzański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski,

Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,

Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

Do Rzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,

Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac,

Mateusz Maranowski (także Polskie Radio), Jan Fiedorczuk

Współpraca: Miłosz A. Łodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),

Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,

Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek

Okładka: dzięki uprzejmości Fundacji Tradycji Miast i Wsi,

autor projektu: Marcin Bronicki

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batony Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 100 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż

cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi

odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za

zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych

na www.dorzeczy.pl/regulamin/

29 stycznia 2018 roku
w Łodzi zmarł nagle w wieku 47 lat



Sebastian Rybarczyk

działacz antykomunistyczny,
dziennikarz – znawca tematyki służb specjalnych,
nasz współpracownik

Najbliższym składamy wyrazy współczucia

Przyjaciele z „Do Rzeczy”

Nabożeństwo żałobne i pogrzeb odbędą się we wtorek 6 lutego o godz. 13.10
w Łodzi na Cmentarzu Rzymskokatolickim na Zarzewie (ul. Lodowa 78)





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ślepa uliczka Biedronia

W tle sporów o wojenną przeszłość między Polską a Izraelem słabo zauważona została wyjątkowo bolesna porażka prezydenta Słupska Roberta Biedronia.

Pod koniec stycznia Rada Miasta Słupska odrzuciła forsowany przez gospodarza miasta pomysł wprowadzenia w szkołach ponadpodstawowych zajęć z edukacji seksualnej. Zdarzył się prawdziwy cud – oto zwaśnieni w całej Polsce radni PiS, PO i Słupskiego Porozumienia Obywatelskiego zgodzili się co do tego, że kwestia treści programowych wykładanych w szkołach należy do kompetencji państwa, a nie gminy. Wskazywali, że inicjatywa może być elementem rozpoczynającej się kampanii Roberta Biedronia przed wyborami samorządowymi. W związku z tym projekt odrzucono w głosowaniu bez wcześniejszej dyskusji.

Robert Biedroń nie potrafił ukryć irytacji i na Twitterze pisał: „Edukacji seksualnej w słupskich szkołach też nie będzie. Radni PO i PiS też razem przeciw. W jakim kierunku podąża PO?”.

Jak twierdzi Olaf Szczypiński, prawnik z instytutu Ordo Iuris,

Biedroń sam ciężko zapracował na swoją porażkę: „Projekt uchwały zawierał braki formalne. Poza tym rada miasta nie ma kompetencji do ustalania programów edukacji seksualnej w szkołach”.

Porażka z pomysłem na szkolną edukację seksualną to niejedyny zwiastun schyłku słupskiej kariery Biedronia. A przecież to pomorskie miasto miał być bazą wypadową do zdobycia pozycji lidera polskiej lewicy.

W połowie stycznia Biedroń urządził sobie tour po paru warszawskich redakcjach pod buńczucznym hasłem: „Jestem gotów na to, żeby wrócić do polityki ogólnopolskiej, i to prawdopodobnie zrobię”. Problem w tym, że te gromkie zapowiedzi tym razem nie zrobiły żadnego wrażenia nawet w mediach lewicy.

Niezwykłe pokrętnie brzmiały jego słowa w czasie wizyty w TVN24. – Będę startował w wyborach samorządowych na prezydenta Słupska, chyba że sytuacja stanie się naprawdę bardzo trudna i krytyczna, a wszystko do tego zmierza, iż będę musiał niestety po tej jednej kadencji

pożegnać się ze Słupskiem. Dzisiaj chciałbym i planuję startować ponownie – mówił Biedroń.

P rezydent Słupska podzielił się z widzami wiarą, że na ogólnopolskiej scenie pojawi się nowy projekt, który będzie mógł „przywrócić demokrację”. – Chciałbym być na pewno członkiem takiego projektu – zapowiedział.

Nawet w środowisku „Krytyki Politycznej” kpi się, że Biedroń zaczyna przypominać Lecha Wałęsę, który zasypuje Polaków obietnicami, iż wystąpi przeciw PiS, gdy tylko na ulicę wyjdą „miliony ludzi”.

Prawda jest brutalna. Zmaganie się z problemami miasta jest nudne i nie równoważy tego okresowe wizyty u Moniki Olejnik. A sondaże nie wróżą Biedroniowi szans na reelekcję.

Wszystko wskazuje, że „tęczowy burmistrz” szuka już tylko jakiegoś efektownego pretekstu, aby z hukiem trzasnąć drzwiami i wyjechać z miasta z gryfem w herbie. Pytanie tylko, co dalej. Bo w Warszawie na lewicy nikt nie czeka na Biedronia z kwiatami. ©©

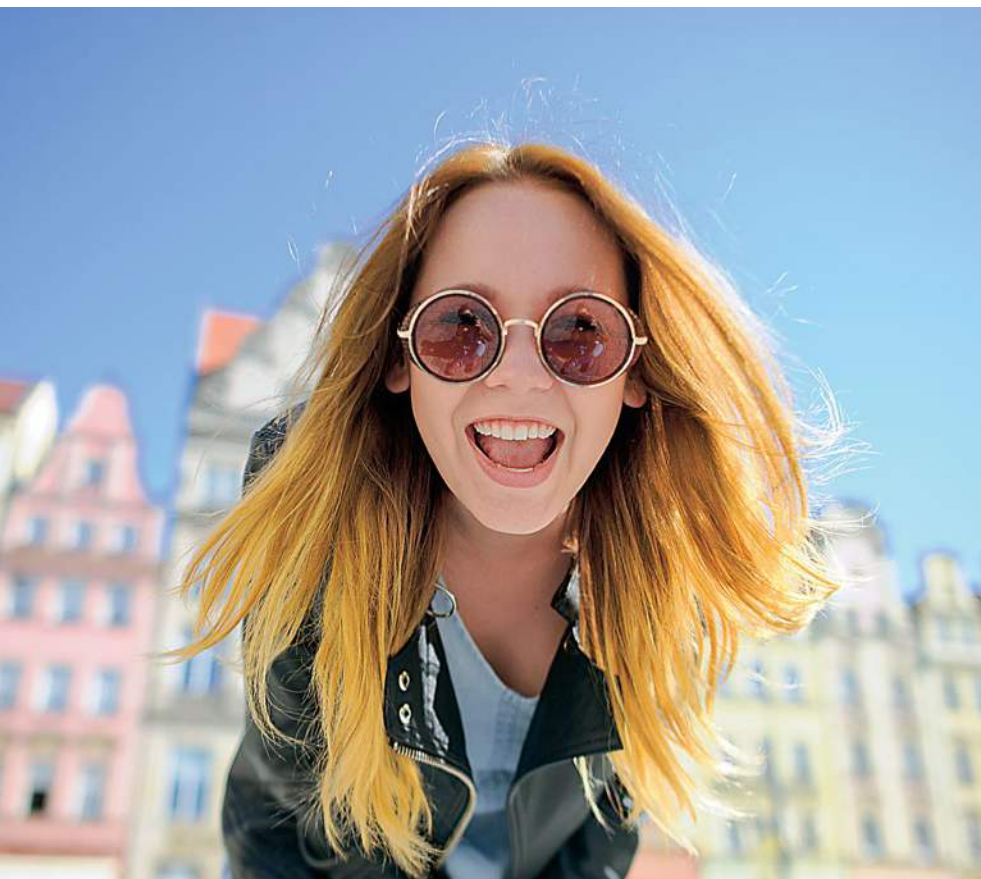


FOT. MACHINE/FAST NEWS

KRWAWY KSIĘŻYC

Srebrny Glob w wyjątkowej odsłonie można było obserwować w ostatnią noc stycznia. Naturalny satelita Ziemi znalazł się wtedy w perygeum orbity, czyli najbliższej naszej planety. Podczas takiej superpełni tarcza Księżyca wydaje się większa niż podczas reszty roku. Dodatkowo tej nocy Księżyc znajdował się w zaćmieniu, a promienie słoneczne, które do niego docierały, były załamane przez ziemską atmosferę, co spowodowało, że Srebrny Glob przybrał krwistą barwę. Zjawisko było doskonale widoczne m.in. w chińskiej prowincji Heilongjiang, a w zestawianiu ze znajdującymi się tam oświetlonymi rzeźbami z lodu i śniegu robiło niesamowite wrażenie.

(raw) ©©



FOT. P. POLAK

To jest dobry kraj dla kobiet

Polska znalazła się bardzo wysoko w rankingu krajów zapewniających największe bezpieczeństwo kobietom.

Międzynarodowa firma badawcza z Republiki Południowej Afryki – New World Wealth – opublikowała raport „2018 Global Wealth Migration Review”. Część tej analizy zawiera przegląd krajów świata pod względem tego, jak bezpieczne są dla przebywających w nich kobiet. Dlaczego? Bo zdaniem badaczy bezpieczeństwo kobiet jest jednym z najlepszych sposobów oceny długoterminowego potencjału wzrostu dobrobytu w danym kraju.

„Spodziewamy się, że rynki wschodzące o wysokim poziomie bezpieczeństwa kobiet będą jednymi z najlepszych na świecie pod względem wzrostu zamożności w ciągu najbliższych dzie-

sięciu lat” – napisali autorzy raportu. Zatem dobra pozycja Polski w tym zestawieniu oznacza, że perspektywy naszego kraju są świetne.

W zestawieniu wszystkich krajów świata pod względem bezpieczeństwa kobiet Polska zajęła szóste miejsce. Przed nami były tylko (w kolejności od lidera zestawienia) Australia, Malta, Islandia, Nowa Zelandia i Kanada.

Tuż za naszym krajem uplasowały się Monako, Izrael, Stany Zjednoczone oraz Korea Południowa.

Ranking ma też część uwzględniającą podział na regiony. W tym zestawieniu w Europie wyprzedziła nas tylko Malta. Za Polską uplasowały się Monako oraz Islandia.

Najmniej bezpiecznymi krajami dla kobiet okazały się Somalia, Sudan, Irak i Syria.

(luz) ©

Służba Ochrony Państwa zamiast BOR

Biuro Ochrony Rządu przeszło do historii. Od 1 lutego wszyscy funkcjonariusze tej formacji stali się członkami nowej Służby Ochrony Państwa.

Powołana w grudniu SOP będzie liczniejsza niż BOR – docelowo ma liczyć 3 tys. osób. Funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa – specjalizujący się w ochronie najważniejszych osób w państwie – zyskali też nowe uprawnienia, w tym możliwość wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych.

Nowa służba może też liczyć na większe pieniądze niż BOR. Budżet SOP na 2018 r. wynosi niemal 240 mln zł. A do tego Służba Ochrony Państwa ma otrzymać dodatkowe pieniądze z programu modernizacji służb. Jednocześnie rząd planuje zwiększenie liczby obiektów, które znajdują się pod ochroną SOP.

(jap) ©

GOOGLE PRZEPRASZA ZA SKANDALICZNE TŁUMACZENIE

W ubiegłotygodniowym orędziu premier Mateusz Morawiecki odniósł się do nieporozumienia między Polską a Izraelem. Podkreślał m.in., że chodzi o wyrugowanie z przestrzeni publicznej kłamliwego sformułowania „polskie obozy śmierci”. – Obozy, w których wymordowano miliony Żydów, nie były polskie – powiedział Mateusz Morawiecki.

Klip z wystąpieniem premiera został umieszczony w serwisie YouTube. Oglądający go z angielskimi napisami odczytywali jednak zupełnie inne, szokujące zdanie: „Obozy, w których wymordowano miliony Żydów, były polskie”.

Przedstawiciel internetowego giganta przyznał się do winy. – Błąd spowodowany był przez automatyczne tłumaczenie na YouTube, za co przepraszamy – powiedział Wirtualnej Polsce Adam Malczak z Google.

(luz) ©

Jednak będą patrioty?



FOT. RAYTHEON

„Dobre wieści w sprawie programu »Wisła«. Uzyskaliśmy niższą cenę oraz przyspieszony termin dostawy. Redukcja kosztów nie ogranicza zakładanych zdolności bojowych systemu. Jesteśmy na dobrej drodze, aby podpisać umowę z końcem pierwszego kwartału 2018 r.” – poinformował na Twitterze nowy minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. To prawdopodobnie efekt wizyty w Waszyngtonie przedstawicieli Inspektoratu Uzbrojenia MON. Program „Wisła” to jeden z najważniejszych etapów modernizacji polskiej armii, zwłaszcza obrony przeciwlotniczej, a jego zasadniczym elementem są amerykańskie systemy typu Patriot. Nieoficjalnie mówi się, że zapłacimy za nie ok. 4,5 mld dol. (ww) ©

NIEMCY: CHRZEŚCJANIE NA CELOWNIKU

Prawie 100 aktów przemocy wymierzonych w chrześcijan, kościoły lub symbole chrześcijańskie odnotowała w 2017 r. Federalna Policja Kryminalna.

Wśród zarejestrowanych przez niemieckich policjantów czynów karalnych jest jedno morderstwo, dziewięć obrażeń ciała i jedno podpalenie. Niemal 25 proc. aktów przemocy wymierzonych było w kościoły i symbole chrześcijańskie. W niektórych przypadkach szkody szacowano na dziesiątki tysięcy euro. Do co najmniej kilkunastu czynów karalnych doszło zaś między imigrantami. To nie pierwszy alarmujący raport w tej sprawie, w państwie, w którym największy odsetek ludności wyznaje chrześcijaństwo (ok. 60 proc.). Już w 2016 r. w sondażu przeprowadzonym przez instytut INSA-Consulere

27,5 proc. regularnie praktykujących wiernych deklarowało, że ze strachu przed atakami islamistów wolałoby unikać udziału w nabożeństwach.

Takie statystyki budzą coraz większe oburzenie. Politycy Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) podkreślają, że integracja muzułmańskich imigrantów musi się odbywać z poszanowaniem dla chrześcijańskich wartości kulturowych. Podobne stanowisko zajął niedawno szef MSW Thomas de Maiziére.

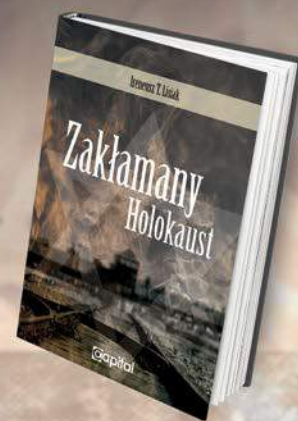
Niemiecka policja ma problem nie tylko z atakami na chrześcijan, lecz także z rosnącą liczbą przestępstw, których sprawcami są imigranci. Niebezpieczne są zwłaszcza osoby, którym odmówiono azylu, ale pozostały na terenie Niemiec. (jap) ©

IMPERIUM
DOBRYCH
KSIĄŻEK

WYDAWNICTWO
capital

ZAKŁAMANY HOLOKAUST

32,00 ZŁ
~~39,90 ZŁ~~



NINIEJSZA POZYCJA OPISUJE ZAKŁAMANE HISTORIE OSÓB, KTÓRE CELOWO ZAFALSZOWAŁY HISTORIE DOTYCZĄCE HOLOKAUSTU, CZERPIĄC Z TEGO KORZYŚCI FINANSOWE I ZDOBYWAJĄC SŁAWĘ JAKO EKSPERCI HISTORYCZNI, CZĘSTO SZKAŁUJĄC POLSKĘ I POLAKÓW.

ŻYDOWSCY KOLABORANCI HITLERA

32,00 ZŁ
~~39,90 ZŁ~~



„SZALEŃCZO POSZUKUJĄC KOLABORANTÓW WŚRÓD NARODÓW EUROPEJSKICH, ZAPOMINA SIĘ O NARODZIE, KTÓRY BYŁ DLA ŻYDÓW NAJGROŹNIEJSZY. NIEZWYKLE CIEKAWIE, BOGATO UDOKUMENTOWANE OPRACOWANIE, UKAZUJĄCE NIECHŁUBNĄ STRONĘ LOSÓW NARODU ŻYDOWSKIEGO.

☎ 533 496 436 ✉ sklep@capitalbook.pl
www.capitalbook.pl



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zemsta sądowa

Szczególną cechą „realnego socjalizmu” było to, że zrównując wynagrodzenia pieniężne, płać ludziom przywilejami. Niekiedy były to oficjalne, branzowe „deputaty”, niekiedy cenniejsze od nich przywileje nielegalne, jak – dajmy na to – przypisane do pracy „w mięsnym” prawo decydowania o tym, który z klientów towar dostanie, a który nie. Kwitła więc

Ten patologiczny mechanizm, choć w formie szczątkowej, trwa nadal. Komornik np. – wiele o tym swego czasu pisano – może ci „załatwić” mienie sąsiada. Podoba ci się jego dom czy traktor? Komornik (po przyjaźni albo za drobną grzecznością) zabierze mu, za cudze lub nieistniejące długi i sprzeda ci z licytacji za jedną dziesiątą wartości. A frajer będzie mógł i tobie, i jemu skoczyć.

Wiele – zwłaszcza przesłuchania w sprawie Amber Gold czy podsłuchana rozmowa jednego z sędziów apelacyjnych instruujących zainteresowanego, co ma napisać w apelacji, albo oferta innego, że nauczy redaktora, jak skutecznie walczyć z PiS – dowodzi, że podobnie patologiczne jest podejście do zawodu wielu sędziów. Prawo orzekania w imieniu Rzeczypospolitej traktują oni nie jako misję i służbę, ale jako swój „deputat”. Pensja marna, ale możliwości dorobienia do niej ogromne,

jeśli tylko nie ma się sumienia (bo wobec ogólnego „zblatowania” obawa poniesienia odpowiedzialności nie wchodzi, a przynajmniej dotąd nie wchodziła, w grę). Masz, kolego, jakiegoś wroga? Nie martw się, jestem sędzią, mogę mu dowalić taki wyrok, że się nie pozbiera.

Skojarzenia między tą wiedzą a drakońskim, skandalicznym wyrokiem gdańskiego sądu apelacyjnego na dziennikarzy, którzy narazili się prezydentowi Sopotu, nasuwają się w sposób oczywisty. Nie tylko z uwagi na miejsce, które prace komisji sejmowej pokazały jako „polskie Palermo”. Wyrok łamie elementarne zasady wolności słowa i ma charakter umyślnie rujnujący dla wziętych na celownik Pawła Lisickiego i Piotra Kubiaka. Jest po prostu haniebnym – lecz także groźnym. Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, że „nadzwyczajna kasta ludzi” wymaga „zaorania”, to powinien je definitywnie stracić. ©

Wyrok łamie elementarne zasady wolności słowa i ma charakter umyślnie rujnujący dla wziętych na celownik Pawła Lisickiego i Piotra Kubiaka

powszechnie wymiana przysług, z czego kpił sobie kabaret Pod Egidą swą sławną „księgą gości” z rubrykami „imię”, „nazwisko” i „co może załatwić”.



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Nieudolność historyczna

Wtorek, Rzym, wpływowi dziennikarze, politycy z pierwszych stron gazet. Trwa międzynarodowa konferencja OBWE na temat walki z antysemityzmem. Wśród prelegentów ludzie znani z braku skrupułów w polityczno-biznesowej grze oskarżeniami o antysemityzm. Stosunek do Polski niechętny, w większości wystąpień pojawiają się opowieści o fali neonazistów przelewającej się ulicami Warszawy. Wydawać by się mogło, że Polska profesjonalnie przygotowuje się do konferencji, wszak ponad rok temu powołano i zasilono państwowymi pieniędzmi

Polską Fundację Narodową mającą dbać o wizerunek naszego kraju. Jak wyszło? Jak zwykle. Nie zasypano opinii międzynarodowej informacjami o malejącej liczbie incydentów związanych z mową nienawiści, materiałami o Pileckim, Sendlarowej... Nie zrobiono nic. Nieudolność, wstyd.

Polityka historyczna miała być jednym z priorytetów obozu dobrej zmiany, dobrze prowadzona stanowi ważny instrument wojny informacyjnej. Dysponując ponad 200 mln zł, można realizować ją skutecznie, a sposobów jest wiele: filmy i publikacje, kampanie w mediach społecznościowych,

aplikacje internetowe, programy stypendialne czy – jak podpowiadał na Twitterze Jan Pawlicki – wizyty studyjne dla zagranicznych dziennikarzy i blogerów. Wystarczy chcieć.

Niestety, w wykonaniu obozu dobrej zmiany nie wyszła ona poza poziom deklaracji i gry pozorów. Fundacja co prawda wsparła władzę – notabene fatalnie przygotowanymi – billboardami o sądach, ale zarazem przez ponad rok nie przeprowadziła żadnej efektywnej kampanii międzynarodowej, choć do tego celu właśnie została powołana. Jej funkcjonowanie coraz bardziej wymaga audytu i daleko idących zmian. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rozsądek zwyciężył

W chwili, gdy kryzys dyplomatyczny w relacjach z Izraelem oraz idący za tym kryzys wizerunkowy państwa polskiego osiągnęły apogeum, zdarzyło się coś, czego dawno w polskiej polityce nie widzieliśmy: większość uczestników życia publicznego zachowała się odpowiedzialnie, odkładając na bok wojownicze pokrzykiwania i retorykę.

Już w pierwszej połowie ubiegłego tygodnia było widać, że ton, w jakim wypowiedzi się przedstawiciele

ustawy o IPN – w tym przede wszystkim wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki – argumentowali spokojnie i rzeczowo. Marszałek Senatu, premier, przedstawiciele prezydenta podkreślali, że nie chcemy zadrażnień w stosunkach z Izraelem. Rozmawiali, zapraszali na spotkania, za razem zaznaczając, że Polska podejmie suwerenną decyzję.

Zagrożenie pojawiło się, gdy narodowcy zapowiedzieli na środę demonstrację pod ambasadą Izraela. Nietrudno sobie wyobrazić, jak niechętnie Polsce media wykorzystałyby obrazy z niej, nawet gdyby organizatorom udało się wprowadzić najdalej idącą dyscyplinę.

Tu jednak zadziałał minister spraw wewnętrznych, podejmując – za pośrednictwem wojewody – trudną, kontrowersyjną, ale konieczną w tym wypadku decyzję o zamknięciu ulicy i poprzez to uniemożliwienie zorganizowania demonstracji. Tymczasem narodowcy na konferencji prasowej ogłosili, że choć z decyzją się nie zgadzają, nie będą szli na zwanie z polskim państwem i podejmują własną decyzję o odstąpieniu od manifestacji. Chwała im za to.

Ten moment odpowiedzialności, wstrzemięźliwości, rozsądku pewnie nie potrwa długo, ale w sytuacji nieustającej politycznej wojny jest czymś tak wyjątkowym, że z kronikarskiego obowiązku trzeba go odnotować i napisać: oby zdarzało się to częściej. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zakamarki logiki

Donald Tusk milczał kilka dni po wybuchu kryzysu polsko-izraelskiego. Zaciśkał zęby i przez chwilę wszyscy myśleli, że napisze coś mądrego. Tymczasem on trzymał w rękawie pyszny żart. „Kto rozpowszechnia kłamliwe sformułowanie o »polskich obozach«, szkodzi dobremu imieniu i interesom Polski. Autorzy ustawy wypromowali to podłe oszczerstwo na cały świat, skutecznie jak nikt dotąd. A więc, zgodnie z ustawą...” Jak głosi stare przysłowie – jak się nie ma niczego do powiedzenia, lepiej milczeć, niż rozwiązać wątpliwości... resztę już państwo znaj.

„Rządzcy blokują antyizraelski marsz narodowców pod ambasadą Izraela. Narodowcy kładą po sobie uszy, niczym na rozkaz. Czy trzeba lepszych dowodów na sojusz PiS ze skrajną prawicą?” – rzuca retorycznie w eter Jacek Nizinkiewicz. „Jakby meteoryt spadł dziś na Poznań, to Nizinkiewicz zapytałby, czy to aby nie zemsta PiS na »Mieście Wolności« dokonana w zмовie z Marsjanami” – odpowiada Piotr Semka. Ponoć bez zмовy z Marsjanami.

W kozi róg logiki zapędziła się z kolei moja ulubienica Eliza Michalik. Otóż gdy w Turnieju Czterech Skoczni wygrywał Kamil Stoch, nie był to sukces Polski, tylko jego „indywidualne dokonanie”. Natomiast jeśli chodzi o mordowanie Żydów podczas wojny, robili to już nie konkretni ludzie, ale „Polacy w sposób zorganizowany, bez przymusu ze strony nazistów, z własnej woli, chciwości i podłości” i tak dalej.

„Gdy kilku Polaków odnosi sportowe sukcesy, to mamy »narodowy sukces«. A gdy kilku Polaków morduje Żydów, to już nie jest »narodowa odpowiedzialność«?” – wtórowała jej Agata Kowalska z TOK FM. Nadal otwarte pozostaje przy tej okazji pytanie, czy jeśli kilku dziennikarzy jest głupich, jesteśmy zawodem głupców?

Z rzeczy pobocznych, jak uprawiać geopolitykę, przypomniał Marcin Zaborowski – były szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych za czasów Radka Sikorskiego. „My daughter’s #Remain pair of jeans, our contribution to keep the UK where it belongs” – napisał, publikując zdjęcie dzinsów córki z naszą flagą Zjednoczonego Królestwa na jednej i Unii Europejskiej na drugiej nogawce. Jest moc. ©©

Nawet najtotalniejsza opozycja jakby przycichła – być może i do nich dotarło, że czasem warto choćby milczeć

ządu, mocno się różni od tonu, w jakim wypowiadali się często zwolennicy PiS. Ci ostatni byli pełni emocji – czemu trudno się dziwić. Ci pierwsi byli rzeczowi i emocjom nie ulegali, choć zarazem bronili swoich racji. Niby normalne, ale jednak coś nowego. Niewiele było wypowiedzi przedstawicieli władzy, w których czyniliby zarzuty opozycji, że napędza histerię na temat rzekomego polskiego antysemityzmu. Zresztą nawet najtotalniejsza opozycja jakby przycichła – być może i do nich dotarło, że czasem warto choćby milczeć. Zwolennicy nowelizacji

WŁOSY DZIEWICZE

Niedawno plotkarskie media żyły sensacyjną informacją o dramacie Honoraty „Honey” Skarbek. Chodziło o to, że piosenkarko-blogerko-celebrytka łysieje wskutek noszenia doczepianych włosów! Skarbek miała nawet pójść do trychologa i zastanawiać się nad kosztowną terapią. Teraz głos w sprawie zabrała sama zainteresowana. Zdementowała plotki o rzekomym łysieniu i związanej z tym depresji: to „czysta bzdura, wiadomość wyszana z palca”. – Ja za każdym razem mówiłam, że moje doczepiane włosy nie mają jakiegokolwiek wpływu na stan moich włosów. Co oczywiście było wiele razy potwierdzone przez trychologów, do których chodziłam. Ja jeśli miałabym już powiedzieć, że mam jakiś problem z włosami, to jest to tylko i wyłącznie korona głowy. Te włosy nie to, że mi wypadają, bo mi włosy nie wypadają, mi włosy bardzo szybko rosną, są zdrowe, ale one mi cienieją – tłumaczy Honey na swoim vlogu. Dodaje też, że musi mieć ładne włosy „żeby jakkolwiek zachować taką estetykę swojego wyglądu, na której mi zależy”. – No bo wiecie, ja wykonuję zawód artystyczny – twierdzi. Zdradziła też co nieco na temat tego, skąd pochodzą jej doczepiane włosy. – Ja mam włosy dziewicze. Ścinane z głów młodych, nieskażonych niczym dziewic z Ukrainy – wyznaje. – Ale tak, żeby nie brzmiało to jakkolwiek rasistowsko, autentycznie jest tak, że 14-, 15-lętne dziewczynki przychodzą do salonu fryzjerskiego i takie włosy są ścinane i wysyłane do innych krajów Europy – opowiedziała. Z tej jakże interesującej opowieści o dziewiczych włosach płynie wniosek, że umysł „Honey” ma także dziewiczy. Nieskalany myślą.

BEZCENNA ŻONA

„Super Express” pisze o dramacie aktora Zbigniewa Zamachowskiego, który wskutek rozwodu, wysokich alimentów i ślubu z Moniką Richardson musiał zmienić swój styl życia na dużo skromniejszy. Najnowszy dramat polega na tym, że do pracy dojeżdża tramwajem! „A pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu jeździł chryslerem za ok. 50 tys. zł” – donosi tabloid. Na szczęście miłość Moniki jest bezcenna. Podobnie jak jej wywiady, których udziela często oraz chętnie i w których skrupulatnie wylicza, ile jej obecny mąż musi wydawać na swoją poprzednią rodzinę. Taka żona to skarb!

KONIEC Z GOLIZNĄ

Veronica Bielik to podobno jedna z najpopularniejszych Polek na Instagramie. Tak, dla nas to też szokująca informacja. Zwłaszcza że jest nią już

ponoć od dwóch lat. No nic, teraz nadrabiamy show-biznesowe zaległości. Otóż Veronica zasłynęła tym, że lubi eksponować na zdjęciach swoje nie do końca wyglądające naturalnie (eufemizm) biust i pośladki. – Tutaj zadziałało szczęście – tak swój sukces tłumaczy Veronica. – Zaczęło się od tego, że zaczęłam dodawać dużo zdjęć z treningów, bo sporo schudłam, zaczęłam motywować inne dziewczyny do pracy. Miałam dużo wolnego czasu, który wypełniałam treningami. Z nudów postanowiłam założyć konto na Instagramie. To fajny czas w moim życiu. Wybrałam się raz z mężem na wakacje na Dominikanę, które nagle okazały się hitem w Internecie. Wcześniej nie dodawałam zdjęć w kostiumie, ale postanowiłam dodać kilka zdjęć z wakacji, które zaczęły udostępniać profile posiadające dużą liczbę obserwatorów. Moje zasięgi zaczęły się zwiększać z miesiąca na miesiąc po 50 tys. Dwa lata temu miałam 20 tys. obserwatorów, po roku 250 tys., a teraz mam milion

– mówi z dumą. Veronica powzięła też pewne postanowienie na ten rok. Chce mniej epatować golizną. – To był mój etap w życiu, kiedy musiałam dojść do tego miliona, więc pokazywałam dużo więcej ciała, ale cel na 2018 r. jest taki, żeby pokazać dużo więcej wartościowych rzeczy, bo to ciało już zostało pokazane – zapowiada. Ciekawe, co wartościowego chce pokazywać Veronica? Może jakieś faktury za operacje plastyczne?



FOT. PAMEŁ CROMBAUD

LEK NA WSZYSTKO

Perfekcyjna Pani Domu vel Lady Małgorzata Rozenek vel Pani Majdan promuje ostatnio zawzięcie najnowszą produkcję TVN, w której w rolach głównych wystąpiła ona wraz z małżonkiem. Projekt nazywa się Iron Majdan i jest jednym z najdroższych w historii stacji (jeden odcinek kosztował podobno milion złotych!). Polega na tym, że para podróżuje po całym świecie i nie wiedząc, dokąd trafi, dostaje różne dziwaczne zadania do wykonania. Małgorzata w ramach promocji programu udzieliła kolejnego wywiadu, w którym opowiada, jak niełatwa była to praca. – Ja się zmagam z klaustrofobią, ja się zmagam z lękiem wysokości, ja jestem osobą, która nigdy ekstremalnych sportów nie uprawiała, jestem osobą, która jest wbrew pozorom bardzo cicha i spokojna. Tutaj musiałam walczyć ze swoimi różnymi lękami – powiedziała Rozenek-Majdan. Wychodzi na to, że lekiem na wszelkie lęki i fobie Małgorzaty są zera na koncie. Tylko czy warto się tym tak chwalić? ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, iż nadeszła odwilż i trwa sezon na chorowanie, postanowiliśmy się wzmacnić. W związku z tym codziennie na noc nacieramy się wegańskim smalcem z fasoli, a na rozpoczęcie każdego dnia stosujemy wegański tran.

W korpo natomiast zamiast jakiejś januszowej wody mineralnej pijemy wodę strukturalną, popijając nią lewoskrętną witaminę C. W tej sytuacji żaden osobowirus nie będzie miał do nas przystępu.

Jeśliby natomiast spróbował nas zaatakować, to wówczas zastosujemy tzw. wariant fiński, czyli wyciągniemy w stronę wirusa obie ręce i powiemy stanowcze „NIE”, a on wówczas zawstydzony odejdzie.

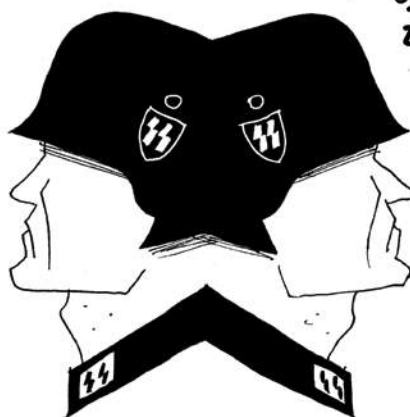
Jak wiecie, nie mamy zaufania do matematyki, iż tam nic nie jest jasne i kiedy obliczamy $2 + 2 \times 2$ raz nam wychodzi 8, a raz 6, a najczęściej ujemna delta. Dlatego tesh do wszystkich wyliczeń procentowych o bezrobociu, wzroście gospodarczym i innych takich różnych ekonomicznych duperelach podchodzimy ze zdecydowanym dystansem.

Weźmy np. taki wzrost gospodarczy. Niby tam wyniósł kilka procent, ale przecież wzrostu normalnie nie liczy się w procentach, ale w centymetrach xD, no ewentualnie media mówią



cezar krysztopa 6toppublica.com

Liczne doniesienia medialne i działania artystyczne dowodzą,



że gdyby nie Niemcy, nazisci wykoordowałiby chociażnie więcej Żydów...

cezar krysztopa 8toppublica.com

o tempie wzrostu, ale z tego, co się orientujemy, to tempo mierzy się w sekundach albo minutach czy tam innym czasie xD

Sami więc widzicie, iż nie musicie się przejmować doniesieniami rządowych matematyczno-ekonomicznych propagandzistów, iż nic tam się kupy nie trzyma.

Jacek Żakowski przeczytał niedawno „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza i zapłakał nad rasizmem, który wychyla się z każdej strony tego ksenofobicznego i niestety wciąż niezapomnianego dzieła.

Musimy sobie jednak zdać sprawę, iż na kartach literatury tego kraju znajduje się o wiele, wiele więcej przykładów na rasizm, ksenofobię, mizoginizm i skrajne zamięłowanie do churchingu, które wciąż pozostają popularne.

Na przykład taki wierszyk o – wybac, Unio – Murzynku Bambo, co w Afryce mieszka i czarną skórę ma ten koleżka. Przecież jest to zupełnie niepotrzebne zwracanie uwagi na kwestie pigmentalnego uposażenia, w dodatku z użyciem słowa

na „M”, które już dawno powinno być zapomniane.

Co zrobić z takim Wiedźmiem, który zabija potwory, zamiast podejmować z nimi dialog i wspólnie próbować konstruować narrację wspólnotowości? Zresztą ten Wiedźmin miał chociaż jakieś moralne wątpliwości.

Nie mieli ich za to Pan Wołodyjowski, Kmicic czy inny Skrzetuski, którzy wrogów tego kraju rąbali aż miło, już w średniowieczu pokazując, iż mieszkańcy tego kraju nie sprzyjają osobouchodźcom. To wysoce kontrowersyjna postawa w sytuacji, kiedy powinniśmy raczej otwierać granice i ubogacać się kulturowo.

Tymczasem ten kraj „ubogaca” się kulturowo, wciąż tkwiąc gdzieś na wąsach Sienkiewicza czy fortepianie Chopina, bo nawet słynnego kompozytora musiał ukraść Francuzom, podobnie jak pomysł na widelec :[☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

Mamy kłopot. Za czasów premier Bełaty wszystko było proste: wszyscy w kancelarii premiera byli ministrami konstytucyjnymi, nawet szefowie Komitetu Stałego czy gabinetu politycznego. Teraz to się zmieniło, bo okrutny premier Mateusz wprowadził rozróżnienie: minister to minister, a reszta to zwykli sekretarze stanu. To krzywdzące. Może chociaż „pierwsi sekretarze”? Znaczący, pierwsi sekretarze stanu oczywiście.

Być może jesteśmy na tropie akcji „Kupuj niemieckie produkty – każdym zakupem osłabiasz wroga”

Są i szczęśliwi ludzie po tych zmianach. Na przykład minister od uchodźców Bełata Kempa. Ona akurat jest ministrem konstytucyjnym. I trudno o tym zapomnieć, gdyż ciągle ten fakt podkreśla. Tak przeciętnie trzy razy w jednej rozmowie. Oficjalnie zmieniamy więc jej ksywę. Z Saskiej Kempy na Kempę Konstytucyjną.

Najpiękniejsza jest Nike, kiedy się waha. Stąd przy Nowogrodzkiej rozterka: Co teraz? Zwolennicy powołania sejmowej komisji śledczej do zbadania wyłudzenia podatku VAT ścierają się ze zwolennikami powołania komisji badającej reprivatyzację, ale poza Warszawą. Nie wiemy jednak, czy najpierw nie wolelibyśmy komisji badającej, czy koniecznie twarzą polskiej dyplomacji musiał być w ostatnich dniach Patryk Jaki.

Tak na serio przydałaby się inna komisja. Tak się bowiem składa, że rozmaite dyplomatyczne wiewiórki z różnych stron ćwierkają, jak to Izrael od długiego czasu przy każdej okazji – oficjalnej i nieoficjalnej – zwracał uwagę, iż z nowelizacją ustawy o IPN będzie kłopot. Jakaś komisja powinna więc wyjaśnić, kto w związku z tym władował nas na tę minę i po co. Od razu dodamy, że wyjaśnienie: „Bo trzeba było propagandowo przykryć paru nazistów w lesie” niespecjalnie nam odpowiada.

No tak, to już wiecie, że nie ominiemy w rubryce chryi Warszawa – Jeruzolima. W ramach łagodzenia sytuacji ktoś wpadł na pomysł, żeby ambasadorem Polski w Izraelu zrobić Marka Magierowskiego, niegdyś naszego redakcyjnego kolegę. Mamy kłopot z tym pomysłem. Marek zna rozmaite języki, więc mógłby być ambasadorem w Hiszpanii, we Francji, w Anglii, w Niemczech, a nawet trochę w Turcji. Po co więc go wysyłać do kraju, w którym i tak wszyscy mówią po polsku?

Tymczasem w kancelarii premiera Mateusza. Trzeba było wskazać kogoś, kto będzie teraz jadł tę żabę, znaczy rozwiązywał kryzys polsko-izraelski. Padło na szefa kancelarii Michała Dworczyka – to on organizował i ma nadzorować prace zespołu ds. dialogu prawnohistorycznego z Izraelem, zwanego też grupą roboczą. Tak, wiemy, że zespołem ma kierować Bartek Cichocki z MSZ. Ale co innego kierować, a co innego nadzorować.

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wracając do rozmaitych komisji. Jest pomysł, żeby komisje śledcze, podobne do sejmowych, organizował Senat. Popieramy. Pierwsza mogłaby zbadać, skąd senator Rulewski bierze przebrania i maski na posiedzenia izby refleksji i zadumy. Druga powinna zbadać, po co właściwie nam Senat.

W sprawie senatora Rulewskiego – obiecujemy przez jakiś czas mniej po nim jeździć, bo nam zaimponował, głosząc za nowelizacją ustawy o IPN. „Nie dlatego, że popieram tę ustawę, ale dlatego, że uważam, że godność i cześć narodu i państwa polskiego nie ma swojej ceny” – tłumaczył. To prowadzi nas do smutnej konstatacji: jakże nisko upadłaś, Platformo, skoro jedyny w twych szeregach człowiek robiący wrażenie normalnego to ten, który na co dzień zakłada więzienne ubranka i afrykańskie maski.

Ą propos Senatu. Żli ludzie z dobrej zmiany przeprowadzili ciche dochodzenia, które przyniosły rezultaty. I już wszystko wiadomo. Nie tylko to, że z 37 senatorów, którzy bronili Koguta, niespełna 20 było PiS-owcami. Ale także, że kilku PiS-owców było wśród wstrzymujących się. I co najważniejsze: wiadomo, jak oni wszyscy się nazywali.

Chwalimy rząd. Rodzi się więcej Polaków, a będzie jeszcze więcej! Na przykład poseł PeŁo Marcin Kierwiński oczekuje narodzin trzeciego już potomka. Zauważając, że program „500+” ma sens, odnotowujemy także, iż jeszcze trochę, a Kierwiński rzuci wyzwanie Grabcowi Janowi, który ma, zdaje się, czwórkę dzieci. Jeśli wiecie o jakichś innych liderach PeŁo w tej konkurencji, to będziemy wdzięczni za odpowiedź.

Jeden z polskojęzycznych portali zarzucił Antoniemu Macierewiczowi, że posiada niemiecki samochód. Będziemy wdzięczni autorom publikacji za odpowiedź, gdzie można kupić polski. Sami byśmy chętnie kupili.

Wszystkim zainteresowanym zwracamy uwagę, że skoro Macierewicz MA volkswagena, to oznacza to, że jakiś Niemiec volkswagena NIE MA. Być może jesteśmy na tropie akcji „Kupuj niemieckie produkty – każdym zakupem osłabiasz wroga”. Na wykonawcę akcji proponujemy Polską Fundację Narodową.

Proponujemy kolegom z internetowych mediów polskojęzycznych dalsze rozważania na temat Antoniego Macierewicza. Na przykład: w ogóle nie pije kawy, tylko zieloną herbatę. Co ten fakt może oznaczać? Że jest rasistą czy że wspiera Chińczyków? A może powinien kupić chiński samochód? Od razu dodamy, że jesteśmy przeciw. Popieramy osłabianie Niemców, a nie Chińczyków.

Dla odmiany CBA przekreśliło plany PeŁo w Szczecinie. Kierując wniosek w sprawie immunitetu Staszka Gawłowskiego, kompletnie zwarzyła tzw. wigilię wolności, na której miała być ogłoszona kandydatura Sławka Nitrasa na prezydenta Szczecina. To już nieaktualne. Partia matka doskonale wie bowiem, co ciekawego o życiu i działalności Nitrasa wie Staszek

Dyskryminuje mnie choćby to,
ze nie mogę cię dyskryminować...



ceza ty ktysztopa bloopublika. co

Tymczasem w PeŁo. Bycie w opozycji nie jest rzeczą łatwą, o czym przekonała się posłanka Dorota Niedziela. Partia matka rzuciła ją na ważny odcinek. Miała przygotować i zgłosić w imieniu PeŁo poprawki do prawa łowieckiego, zwanego Drugim Lex Szyszko (pierwszym było wycinanie drzew na własnych posesjach). Niedziela harowała jak wół. Jednak dymisja Szyszki sprawiła, że partia matka straciła sprawą zainteresowanie. W rezultacie cała chwała walki z szyszkizmem spłynęła na Nowoczesną Kropkę. Niedziela, która liczyła, że na sprawie zrobi sobie nazwisko, wciąż jest mniej rozpoznawalna niż Poniedziałek, Środa i Piątek. Ale nam przykro.

Gawłowski. I co może opowiedzieć, gdyby – nie daj Boże – przytrafił mu się areszt. Sprawa się rypla, bo po co ryzykować?

Wraca temat rekonstrukcji. Nie, nie rządu, lecz gabinetu cieni PeŁo. Grzegorz Schetyna, znany jako cień premiera w tym gabinecie, szykuje się do zmian, gdyż wśród cieni ministrów są i takie, które marzą o transferze do Jarka Gowina i jego Porozumienia. Żeby nie było wścياzy na całą Polskę, Grzegorz chce, by w razie czego czmychali z PeŁo jako zwykli członkowie, a nie jako ważne cienie.

Trwają też zaawansowane prace nad rekonstrukcją Peezelu. I tu nowość – po przykrych doświadczeniach z Mieczysławem Baszką (przykrych, dodajmy, dla wszystkich stron) kolejni kandydaci na uciekinierów z szeregów naszych zielonych braci zerkają raczej w kierunku Solidarnej Polski, a nie Porozumienia Gowina.

Jest problem. Okazuje się, że TVP ma bezpośredni wpływ na wyniki polskich skoczków narciarskich. Kiedy skakali w Zakopanem, na konkurs drużynowy przyjechał wiceprezes Maciek Stanecki. I nasi wygrali. Ale na konkurs indywidualny przyjechał prezes Jacek Kura-Kurski i stał się cud, znaczy antycud, bo Kamil Stoch nie wszedł nawet do drugiej serii. Poddajemy te informacje pod rozważę, bo to ostatnia chwila, by zdecydować, kogo TVP wysyła na zimowe igrzyska olimpijskie.

Jest też smaczny orzeszek od wiewiórek. Opowiedziały nam, jak to podczas słynnego konkursu w Zakopanem trzeba było ustawić osobną kamerę TVP, by śledziła wyraz twarzy prezesa Kury. I w odpowiednich chwilach transmitować. Nie wierzymy w te ohydne plotki. Prezes Kura-Kurski jest najskromniejszym prezesem na świecie i nigdy nie pojechałby do Zakopanego, żeby się lansować.

Wraca temat rekonstrukcji. Nie, nie rządu, lecz gabinetu cieni PeŁo. Grzegorz Schetyna, znany jako cień premiera w tym gabinecie, szykuje się do zmian

Na koniec coś z cyklu „Poczucie humoru organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości”. Jak się dowiedzieliśmy, jeden z najważniejszych polskich prokuratorów wprawia w drżenie interesantów oczekujących przed jego drzwiami. Z gabinetu bowiem co chwila dobiegają dźwięki wycia nie-ludzko torturowanych ludzi. Jakież jest zdziwienie interesantów, kiedy wchodzi do gabinetu, gdzie pan prokurator siedzi sobie samotnie. Uchylamy rąbka tajemnicy: ustawił sobie taki dzwonek w komórce. ©©

niepodległa

POLAND
THE CENTENARY
OF REGAINING
INDEPENDENCE

POLISH AMERICAN

LEADERSHIP SUMMIT

POLAND INVESTMENT ZONE

9 - 11 lutego, 2018 r.

Miami na Florydzie, USA

Najważniejsze wydarzenie w polsko-amerykańskich
stosunkach gospodarczych w 2018 r.

300+ uczestników, przedstawicieli świata biznesu i polityki,
liderów i decydentów z Polski i Stanów Zjednoczonych

W PROGRAMIE:

transfer wiedzy między USA i Europą Centralną
strategiczne bezpieczeństwo obronne i energetyczne oraz jego
ekonomiczne konsekwencje dla regionu
odblokowanie potencjału transatlantyckiej wymiany handlowej
nawiązanie bezpośrednich relacji między krajami sojusznymi

SZCZEGÓŁOWA AGENDA I REJESTRACJA NA

February 9th-11th, 2018

Miami, FL, USA

The most important event for Polish-American economic
relations in 2018.

300+ Polish and American political and business leaders

ON AGENDA:

knowledge transfer between the USA and Central Europe
strategic defense and energy security and its economic implications
for the CE region
unlocking transatlantic trade
creating direct business relations between two allied regions.

FOR DETAILED AGENDA AND REGISTRATION VISIT

RTMX.PL

#PALS

leadershipsummit@rtmx.pl

ORGANIZED BY



**PMPG
POLSKIE
MEDIA SA**

**RTM^x
Round
Table
Mixer**

THE HONORARY PATRONAGE
OF THE PRESIDENT
OF THE REPUBLIC OF POLAND
ANDRZEJ DUDA

OVER THE #PALS CONFERENCE
ON FEB 9TH, 2018



1918 • 2018

STRATEGIC PARTNERS



GOLD PARTNERS



BRONZE PARTNERS



PROGRAM PARTNERS



PATRONAGE

The American Institute
of Polish Culture Inc.

CONTRIBUTORS



Polish American
Chamber of Commerce in Texas



MEDIA PARTNERS



LOGISTICS PARTNER





Piotr Semka

**W dzisiejszym świecie
o suwerenność na polu polityki
historycznej trzeba walczyć.
Polska zaniedbywała to przez lata**

Namnożyło się ostatnio tekstów o tym, jakie to wady miała poprawka do ustawy o IPN. Mogło być lepiej sformułowane to czy inne zdanie. To jednak nie istota sprawy. Opinia publiczna w Izraelu okazała się być przeciw jakiemukolwiek ograniczaniu narracji o Polsce jako współnikowi Holokaustu. Nikt po polskiej stronie nie spodziewał się aż takiej determinacji w utrzymywaniu stanu, który dla Polski jest niezwykle krzywdzący. To jest istota konfliktu. A skala międzynarodowego kryzysu wokół polskiej ustawy to wynik siły narracyjnej Izraela w opowiadaniu światu o konflikcie i wyczulenie USA na temat Holokaustu, które przekładać się mogą na presję polityczną na Warszawę.

HISTORIA SIĘ LICZY

Historyczny spór na linii Polska – Izrael pokazuje, jak od lat nad Wisłą mało rozumiana była waga narracji historycznej w dzisiejszej polityce. Zaletą PiS było zrozumienie, że ochrona prawna dobrego imienia państwa winna wyrównywać choć symbolicznie niepowodzenia w walce z tezą o współudziale Polski w Holokauście. Z kolei w obozie lewicowo-liberalnym i u niektórych wolnościowych prawników na pierwszą pozycję wysuwano absolutną wolność wypowiedzi.

Charakterystyczne było, widoczne w wielu opiniach przeciwników ustawy, przekonanie o bezsensie oporu. Brzmiało to jak podświadoma sugestia, że w grę wchodzi jedynie bierne oczekiwanie na zmniejszanie się nieprzychylnych nam stereotypów, a jednocześnie akceptacja roli kogoś, kto „nie ma moralnego prawa walczyć o dobre imię, bo wciąż za mało odpokutował za grzechy, takie jak Jedwabne”. Jak silnie część polskich elit tkwi w przekonaniu, że to inni wyznaczają nam granice działania! Nic dziwnego, że taki pasywizm musiał wywołać sprzeciw. Jedyną niewiadomą było, na ile uda się w tej sprawie uzyskać poparcie lub bierną akceptację

Lodowaty



prysznic



FOT. ETOPIA

■ Izraela. Wbrew pozorom – nie było to jeszcze miesiąc temu takie jasne.

NOWE POKOLENIE – NOWE MYŚLENIE

Troska o przypomnienie, że Polska była „krajem bez Quislingów” była już wyraźnym rysem prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Mało kto jednak zwraca uwagę, że nowe myślenie o odwróceniu trendu wpisywania Polski w rolę współnika Hitlera to efekt odmłodzenia się elit po 2015 r. Nowe pokolenie reprezentuje zarówno prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, dalej wice-ministrowie Konrad Szymański i Marek Magierowski, jak i „twarz” znowelizowanej ustawy o IPN – Patryk Jaki.

To wrażenie oddaje tweet Sławomira Dębskiego, szefa Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, który w trakcie apogeum sporu 30 stycznia zacytował Józefa Piłsudskiego: „I cóż z tego, że nasze pokolenie jest zgniłe, spodłabe w kolebce niedoli, za nami przyjdą nowe i upomną się o warunki egzystencji lepsze niżli te, jakie niektórym z waszych obecnych tchórzów zdają się wystarczać”.

Zdanie ostre i osądzające, ale pomijając jego słowną dosadność („tchórze”) – ważne dla zrozumienia ostatniego konfliktu.

Nowe pokolenie polityków ma już swoją pozycję w Europie, należy do generacji, która sama dotarła do wiedzy o rotmistrzu Pileckim, masakrze Woli i zna rozmiar niemieckich zbrodni. A jednocześnie jest dumne ze skali udziału Polaków w walce z Niemcami. I ma dosyć słuchania tyrad, że wszelkie zakazy nic nie dadzą i trzeba zdać się jedynie na cierpliwe przekonywanie o swoich racjach. Taka „cierpliwość” nie obniżyła znacząco występowania na Zachodzie obraźliwego zwrotu. Na dodatek zakłębom polityków Platformy na ten temat nie towarzyszyło żadne realne staranie na rzecz stworzenia instytucji popularyzującej za granicą wiedzę o naszym udziale w walce z III Rzeszą. W latach 1995–2015 w obozie III RP nie podejmowano się realnej polemiki z Grossem, za to znajdowały się dotacje Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej na „Pokłosie”.

Nowa generacja prawicy stała na stanowisku, że ochrona prawna podkreśla wagę pewnych wartości. I sama świadomość odpowiedzialności karnej dyscyplinować może tych, którzy dziś lekkim piórem włączają Polskę do obozu krajów sługusów Hitlera. Było w tym

wszystkim przekonanie, że państwo z ambicjami, z rosnącą gospodarką może i musi się szanować. Obserwowano też politykę historyczną Rosji i Niemiec oraz widziano, jak skutecznie wpływała ona na wizerunek ich krajów.

WIECZNI POKUTNICY CZY PARTNERZY?

Widoczny kontrast w myśleniu „starych” i „młodych” wynikał z różnego spojrzenia na stosunki polsko-izraelskie. Pokolenie wychowane na takich tytułach, jak „Znak”, „Więź” czy „Tygodnik Powszechny”, poświęciło wiele lat swego życia na budowanie porozumienia polsko-żydowskiego i polsko-izraelskiego. Ten dialog był trudny, bo naznaczony dramatycznymi splotami losów obu narodów w czasie wojny, wyborami okresu stalinizmu i wreszcie wydarzeniami Marca 1968. Był on niezbędny do budowania niezależnych relacji przed upadkiem PRL i po nim. Tyle że ten dialog zamienił się z czasem w filozofię wiecznego spłacania długów i win moralnych Polaków wobec strony żydowskiej, a tym samym faktyczny brak sprzeciwu wobec stawiania niemal wszystkich Polaków w roli współników Hitlera.

Nowe pokolenie prawicy postanowiło problem przeskoczyć. Podejść do relacji z Izraelem pragmatycznie i uznać ten kraj za sojusznika Polski. Wspierać go politycznie, docenić jego niełatwą walkę z wrogiem arabskim otoczeniem i w cierpliwym dialogu uzyskać status „brata w wojennym cierpieniu”. Te nadzieje wzmacniało – dość naiwne, jak się okazało – założenie, że polonofobia skupia się w środowiskach żydowskich w USA, a Izrael ma bardziej wyważone stanowisko. Dużą rolę w promowaniu takich nastrojów odegrała mądra publicystyka Szewacha Weissa, który wytworzył inną narrację o żydowskości niż pedagoga wstydu „Gazety Wyborczej”. Wyszukiwano w Izraelu nieznanymi bohaterów polskiej wojny, takich jak żołnierz AK Stanisław Aronson, za sygnał zwrotu w nastrojach uznawano wydanie znaczka z flagami żydowską i polską nad płonącym gettem. Ośrodek Badań nad Totalitaryzmem rozpoczął studia nad żydowskimi żołnierzami generała Andersa. Prezydentura Lecha Kaczyńskiego, tak jak i oba rządy PiS – ten z lat 2005–2007 i obecny – były zawsze otwarte na wspieranie Izraela. Krzysztof Szczerski przypomniał, że niedawno Polska w Radzie Bezpieczeństwa ONZ wstrzymała się od głosu przy wniosku

potępiającym USA za uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela. Duże nadzieje wiązano z faktem, że wiele państw zachodnich wskutek wzrostu liczby muzułmańskich wyborców oddała się od Izraela, co powinno wzmacniać pozycję Polski. Z ogromnymi nadziejami witano dialog zapoczątkowany przez Jonny’ego Daniela, którego sukcesem była wizyta wiceszefa Knesetu w Toruniu, gdzie otwarto kaplicę ku czci Polaków ratujących Żydów. W czasie prac nad nowelizacją ustawy o IPN konsultowano się z ambasadorem Azari i przyjęto jej sugestie zmian w zapisach.

Zakładano, że w ten sposób rośnie kapitał zaufania, który być może nie wykluczy spięć, ale pozwoli je przynajmniej łagodzić z odpowiednim wyprzedzeniem.

I właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że ten nowy, partnerski model może spowodować akceptację Izraela dla walki z określeniem „polskie obozy” – wystarczył jeden ambicioalny konflikt prawicowego premiera Beniamina Netanjahu z liderem opozycji Yairem Lapidem z partii Jesz Atid, aby wybuchł ostry kryzys.

Od czasu, gdy w grudniu 2014 r. Netanjahu usunął go ze swego rządu, Lapid szuka rewanzu na szefie Likudu i potrafi boleśnie atakować obecnego premiera. Netanjahu zaatakowany jako ktoś, kto nie dba wystarczająco o pamięć ofiar Zagłady, reagował na oślep i zmusił ambasadorkę Annę Azari do ostrego ataku na polski rząd.

Nagle okazało się, jak mało ważnym partnerem dla Izraela jesteśmy i jak znikomy może być margines dyskusji z izraelskim spojrzeniem na Holokaust. Nie minęło parę godzin i przekonanie, że Polacy chcą jedynie zaprzeczyć Holokaustowi, połączyło izraelską opinię publiczną.

DOBRA STRATEGICZNE

Młodsze czytelniki, który może być przekonany, że państwo żydowskie zbudowano na micie Holokaustu, zaskoczy pewnie informacja, że jeszcze w połowie lat 70. jego znaczenie w micie państwowo-twórczym Izraela nie było tak duże. Owszem, istniał instytut Yad Vashem, ale samo pojęcie „Holokaust” musiał dopiero spopularyzować amerykański serial o tej nazwie z 1978 r. Plan popularyzacji wiedzy o losach Żydów w czasie ostatniej wojny zdawał się reakcją środowisk żydowskich na falę międzynarodowego potępienia Izraela po dwóch wygranych

wojnach z 1967 i 1973 r. z Arabami. Na forum ONZ określano władze w Tel-Awiiw mianem łupieżców, militarystów i zaborców ziem arabskich. Przypomnienie o skali eksterminacji Żydów miało zmienić i faktycznie zmieniło stereotyp Żyda-agresora w status przedstawiciela narodu, wobec którego świat ma moralne zobowiązanie. Z racji wojennej megazbrodni, którą narody przyjęły z obojętnością – ma prawo korzystać teraz z moralnego kredytu ze strony całego świata. To wysunięcie na czoło wagi Holocaustu wobec świata sprawiło, że dla władz w Jerozolimie pamięć o Zagładzie uznana została za strategiczne dobro, którym gospodarować ma prawo jedynie państwo izraelskie.

I w tym kontekście można dopiero zrozumieć, dlaczego informacje o polskiej ustawie – być może zniekształcone lub przesadzone – mogły zostać odebrane jako chęć naruszenia tego monopolu, a także ograniczania swobody do używania przez Izrael historii do bieżącej polityki. Tuż po poleceniu ambasador Annie Azari, by zaprotestowała przeciw polskiej ustawie, premier Netanjahu udał się do Moskwy. Władimir Putin demonstracyjnie zwiędził z gościem z Jerozolimy wystawę w muzeum żydowskim na temat buntu w obozie w Sobiborze, któremu przewodził sowiecki oficer Aleksander Pieczerski. Losy uciekinierów z obozu opowiedziano w muzeum jako tragedię, w której część zbiegów wymordowali w okolicznych lasach banderowcy, a część Polacy. Obaj politycy opowiedzieli się za walką z fałszowaniem historii. Dla polskich obserwatorów było to potwierdzenie swoistego sojuszu pamięci Rosji i Izraela. Było to też przypomnienie, że Izrael ma ambicję grać w nieporównanie wyższej lidze światowych graczy, niż może o tym marzyć Polska. I w tej grze niepoślednią rolę odgrywa manipulacja przeszłością.

Izrael, udzielając wsparcia polityce historycznej Kremla, jest dla Rosji cennym partnerem. Tacy politycy jak Netanjahu pomagają „wygumkować” zbrodnie sowieckie, pozostawiając Putinowi jedynie chwałę pogromcy faszystów i zbawcy ofiar Zagłady.

Dzieje się tak, mimo że premier Izraela reprezentuje też potomków tych Żydów, obywateli RP, których w latach 1939–1941 NKWD zesłało w głąb ZSRR. Jednak dziś w Izraelu bardziej wpływowi są Żydzi rosyjscy, a na dodatek Rosja jest

aktywnym graczem w bezpośrednim sąsiedztwie Izraela, np. w Syrii. I Netanjahu musi się z tym liczyć.

Rosja to nie jedyny kraj, który odbudował swój historyczny image wskutek uzyskania swoistego świadectwa historycznej moralności ze strony Izraela. To samo dotyczy RFN, która może prezentować się jako kraj, który wzorcowo odrobił lekcję refleksji nad Holocaustem wskutek specjalnych relacji z Jerozolimą. Dzięki temu „imprimatur” bez sprzeciwu organizacji żydowskich niemieccy publicyści mogą wzywać państwa Europy Środkowej do rozliczenia się z grzechami z lat wojny. Świadectwem, że ten nieformalny sojusz działa, było płomienne wsparcie prasy RFN dla Izraela w ostatnim sporze z Polską. Polacy nie rozumieją, dlaczego Żydzi akceptują zrównywanie megazbrodniarza – takiego jak Niemcy – z Polską.

końca, jak hiperwrażliwi są w sprawie własnej narracji o Holokauście, w której – jak się okazało – trwale zawarta jest teza o Polakach jako współnikach Hitlera. Powtórzmy – sekwencja wydarzeń ruszyła wskutek przypadku, ale już debata w Knesecie wokół dokumentu mającego potępić polską ustawę pokazała, jak zły wizerunek Polaków z czasu ostatniej wojny mają zwykli deputowani.

I jak bardzo masowa imigracja Żydów z ZSRR zswietyzowała myślenie posłów izraelskiego parlamentu. W debacie z oburzeniem odrzucano twierdzenia, że komunizm był równie eksterminacyjny co nazizm. Jeden z posłów wygłosił tyrańdę, że skoro w komunizm zaangażowało się wielu Żydów, to ktoś, kto zrównuje komunizm z nazizmem, chce negować Holocaust.

Ustawa o IPN została przyjęta przez Senat. Teraz nacisk na jej zablokowanie

Wystarczył jeden **ambicjonalny konflikt prawnicowego premiera Beniamina Netanjahu z liderem opozycji Yairem Lapidem, aby wybuchł ostry kryzys**

W zrozumieniu tego fenomenu pomogła mi rozmowa sprzed lat z jednym z żydowskich propagatorów wiedzy o Zagładzie. Jak dość szczerze wyjaśniał – wiedza i refleksja nad Holocaustem winna zapobiec groźbie odrodzenia się wirusa antysemityzmu w dowolnym kraju Europy. Oznacza to jednak, że w pedagogice walki z odrodzeniem antysemityzmu nie należy dopuszczać, aby którykolwiek europejski kraj wbił się w dumę, że w porównaniu z Niemcami zachował się przyzwoicie. W myśl tego sposobu rozumowania jest to niewskazane, gdyż z tej pychy dany naród może stracić czujność wobec antysemityzmu i ponownie stać się jego inkubatorem.

DŁUGI MARSZ

Nie sposób przyjąć tezy, że PiS z premedytacją chciał konfrontacji z Izraelem. Raczej naiwnie wierzone, że możliwa i akceptowalna w Jerozolimie jest jakaś forma „braterstwa ofiar”, co tłumaczyłoby uchwalenie poprawki do ustawy o IPN w przeddzień Dnia Pamięci o Holokauście. Nie rozumiejąc, jak bardzo ta idea jest Żydom obca. I nie pojmując do

przeniesie się na Andrzeja Dudę, który ustawę może podpisać lub przesłać do Trybunału Konstytucyjnego. Już swe zaniepokojenie sporem o ustawę wyraził amerykański Departament Stanu USA. Grupa amerykańskich kongresmenów wezwała prezydenta do niepodpisywania nowelizacji ustawy. Zaczynają się sypać kularowe ostrzeżenia, że w razie oporu Polski Kongres może nie uchwalić pieniędzy na utrzymanie wojsk USA stacjonujących w Polsce. PiS wybrał na razie drogę demonstracji stanowczości, ale gdy piszę te słowa, nie wiadomo, jak skończy się spór. Nie wiadomo jeszcze, jak i kiedy na obecny spór nałoży się konflikt wokół ustawy reparytacyjnej. Nad Polską zbierają się ciemne chmury.

W bolesny sposób przekonujemy się, że w dzisiejszym świecie o suwerenność na polu polityki historycznej trzeba walczyć z takim samym wysiłkiem jak kiedyś w dziedzinie polityki obronnej. To kolejny impuls, by budować własne, jak najsilniejsze państwo. Bez niego zawsze będzie się igraszką mocniejszych.



Religia Holokaustu przeciw polskiej pamięci

Polacy mogą być albo sprawiedliwymi ratującymi Żydów, albo współsprawcami, biernymi lub czynnymi, zbrodni.

Na zdjęciu: Yad Vashem. FOT. ISRAEL TALBY/AGF-IMAGES/EAST NEWS

Izraelski minister edukacji kilka dni temu zapowiedział, że w każdej szkole w Izraelu odbędą się lekcje na temat zaangażowania narodów europejskich w Holokaust, w szczególności Polaków. Poniżej fragment książki redaktora naczelnego „Do Rzeczy” wydanej w 2016 r.



Paweł Lisicki

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi. Przeciętny Amerykanin, Francuz czy Niemiec mniema, że II wojna to był Holokaust i tyle. Byli jeszcze jacyś ludzie, którzy Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielomilionowa rzesza, przyglądała się biernie albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie. W tej opowieści Hitler przekształca się z Niemca, z niemieckiego nazisty w wyrazieliście ukrytych pragnień i dążeń zdeptanych przez niego ludów.

Ta chora, obsesyjna opowieść coraz szybciej opanowuje umysły. Staje się religią, mitem, dogmatem bezwzględny i sprzeciwu nieznoszącym. Wszystko w niej staje się wykoślawione i odwrócone. Hitler

to nie zbrodniarz i morderca ludów, ale wyłącznie zabójca Żydów; podbite narody, Polacy, Serbowie, Rosjanie czy Białorusini to nie osobne ofiary, ale nieistotny nawóz historii, przypis do wielkiej tragedii Holokaustu. A chrześcijaństwo? Przystaje ono być religią, która dodawała ducha, krzewiła miłość bliźniego, wzywała do poświęceń, skłaniała do ofiar za innych, obcych, często uznawanych za wrogów, ale staje się narzędziem opresji, narzędziem, za pomocą którego zbrodniarze mogli swobodnie zadawać śmierć. Gorzej jeszcze – staje się ono wehikułem, dzięki któremu wiele środowisk żydowskich bez oporów i żenady może przypisywać innym winę oraz opowiadać, że wszyscy goje mają krew na rękach. Bo byli ochrzczeni, bo wyrosli w cieniu kościołów i krzyża. Religia, która kiedyś niosła wyzwolenie, stała się z dnia na dzień znakiem niewoli. Za pośrednictwem chrześcijaństwa, twierdzi się, zło i niegodziwość, nienawiść i antysemityzm wlały się w krwiobiegi narodów.

CZTERY DOGMATY

Przeważająca część zachodnich elit intelektualnych została zainfekowana czymś, co można by nazwać religią Holokaustu. Opiera się ona na czterech dogmatach. Po pierwsze, Holokaust był zbrodnią nieporównywalną z każdą inną w dziejach świata: bardziej okrutną, bardziej straszną, bardziej

ohydną, niż cokolwiek i kiedykolwiek miało miejsce. Żydzi byli ofiarą bardziej niewinną niż wszyscy pozostali ludzie. Po drugie, uczestniczyła w tej zbrodni cała ludzkość: nawet jeśli organizatorami zabójstw byli niemieccy nazisci, to zrealizowali oni ukryte marzenie milionów zwykłych ludzi, utajone i podświadome pragnienie usunięcia Żydów. Po trzecie, źródłem tego krwiożerczego, ohydneho pragnienia było chrześcijaństwo, która to religia od początku zaraziła ludy wrogością do Żydów. Adolf Hitler był zatem dziedzicem wiekowej tradycji nienawiści. Dzieje Kościoła to dzieje rosnącej przemocy i wrogości.

Po czwarte wreszcie, co jest konsekwencją trzech pierwszych dogmatów, wszyscy ludzie, także ci, którzy cierpieli pod niemiecką okupacją, także Polacy, mają krew na rękach. Są podwójnie napiętnowani: raz jako katolicy, dwa – bo na ich ziemi doszło do mordu. Oparta na tych czterech dogmatach religia jest coraz powszechniej wyznawana przez elity uniwersyteckie, intelektualne i polityczne Zachodu. Wyznają ją profesorowie teologii, historii i innych nauk humanistycznych na wielu renomowanych uczelniach USA, Kanady, Wielkiej Brytanii czy Francji, w dużym stopniu opanowała ona także umysły przedstawicieli Kościoła.

Niestety, jej sukces ma dla Polaków, dla polskiej pamięci skutki dramatyczne.

Polacy mogą być albo sprawiedliwymi ratującymi Żydów (to jednak tylko przywilej nielicznych), albo współsprawcami, biernymi lub czynnymi, zbrodni (to przeznaczenie ogółu, który mógł zabijać, przyglądać się biernie zabijaniu, udawać, że nie widzi, wreszcie korzystać z zabijania). Dla polskiej osobnej pamięci, dla polskich ofiar, które ginęły niezależnie od Żydów, w ogóle w takim ujęciu nie ma miejsca.

Jeśli naszkicowany przeze mnie obraz jest choćby w części prawdziwy, a obawiam się, że jest, to rzucać to powinno całkiem nowe światło na tak często występujące napięcie w stosunkach polsko-żydowskich. Polacy znaleźli się w wyjątkowo trudnym położeniu. Po pierwsze, musi ich dotykać powszechne dążenie do obwiniania chrześcijaństwa. Polskość i katolicyzm są tak głęboko związane, tak sobie bliskie, tak głęboko wzajemnie spokrewnione, że nie sposób wręcz wyobrazić sobie, co miałyby się stać z polskością, gdyby się okazało, iż duchowa podstawa, źródło życia, korzeń, na którym państwo i naród przez lata i wieki się opierały, był wewnętrznie zepsuty i chory. Postawienie chrześcijaństwa w stan oskarżenia, uznanie, że w samym swym źródle było skażone i pełne nienawiści, musi się odbić na wartości polskiego idiomu. Uderzając w Kościół i jego moralny autorytet, podcina się korzeń, z którego wyrosła polska kultura, specyficzna polska cywilizacja.

Po drugie zaś, Polakom najtrudniej dostosować się do nowego holokaustiańskiego paradygmatu. Zbyt boli ich wciąż pamięć własnych zmarłych. Zbyt żywa jest pamięć rodzinna i społeczna o polskich ofiarach. W innych państwach Zachodu pamięć o Holokauście szybko i łatwo, przynajmniej od lat 60. i 70., wyparła wspomnienia o zabitych członkach własnych narodów. W oczywisty sposób skala cierpienia żydowskiego była nieporównywalnie większa niż Holendrów, Francuzów czy Amerykanów. Jednak w przypadku Polaków proporcje były już inne. Gdyby Polacy mieli zaakceptować przekaz powszechnie obecny w USA, wyszłoby na to, że godzą się z tym, iż śmierć setek tysięcy, milionów ich rodaków była w jakimś stopniu gorsza i mniej wartościowa niż śmierć żydowska.

NIEWYGODNE OFIARY

Jak zachować pamięć o polskich ofiarach? Jak uchronić ją przed przyporządkowaniem do uniwersalnej opowieści o Holokauście? Jest to tym trudniejsze,

że brak dla niej miejsca tak w kulturze masowej, filmowej, popularnej, jak też, co mogłoby szokować, w pamięci Kościoła. Warto zadać sobie takie pytania. Już samo ich postawienie pokazuje swoisty tragizm sytuacji. Jeśli dla cierpień Polaków nie ma miejsca, jeśli są one tylko częścią innej opowieści, jeśli zostaną jedynie przyporządkowane do zbrodni na Żydach, to – prawdę powiedziawszy – wkrótce okażą się niepotrzebne i zbędne.

Wiem, z różnych powodów pamięć o nich jest wyjątkowo niewygodna. Sam fakt cierpienia polskiego na tak wielką skalę stanowić mógłby najlepszy dowód absurdu quasi-religii Holokaustu: Niemcy mogli mordować setki tysięcy niewinnych ludzi, mogli przeznaczyć na śmierć miliony, nawet jeśli ci ludzie nie byli Żydami. Używając języka holokaustiańskiego, można by powiedzieć, że w przypadku Polski to chrześcijanie chrześcijanom zgotowali tragiczny los; żeby wymordować miliony, nie trzeba było ani rzekomo starożytnych źródeł, ani dziedzictwa nienawiści z czasów średniowiecza, ani opowieści o tym, że Polacy zabili Jezusa – nie, ginęli w obozach i kazamatkach, bo tak postanowił wódz III Rzeszy. Używam w stosunku do sprawców określenia „chrześcijanie” wyłącznie na użytek dyskusji, pokazując absurd takiego rozumowania. Niemcy naziści nie mieli nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Jednak polskie ofiary są niewygodne w dyskursie holokaustiańskim jeszcze z jednego powodu: nawet jeśli liczba polskich ofiar była mniejsza niż żydowskich, to w pewnych okresach i w pewnych miejscach ją przerastała. Co więcej, o ile sprawcami zbrodni na Żydach byli niemieccy naziści i ich pomagierzy, o tyle Polacy ginęli z rąk przedstawicieli obu totalitarnych reżimów.

Istnienie niezależnych od żydowskich polskich ofiar, setek tysięcy chrześcijan zamordowanych za to, że byli Polakami, nie pasuje do czarno-białej opowieści, w której występują ofiary (Żydzi), mała grupka sprawiedliwych (garstka chrześcijan) i oprawcy oraz ich siepacze (Niemcy i cała reszta chrześcijan). Dlatego coraz częściej zdarza się, że o polskich cierpieniach się nie wspomina albo kieruje się uwagę na tę grupę kolaborantów i zdrajców, którzy współpracowali z Niemcami. Wszyscy mają

krew na rękach, wszyscy muszą mieć krew na rękach.

POTRZEBA ODWAGI

Tym, czego nie chcą przyjąć do wiadomości liczni krytycy postaw Polaków podczas okupacji, albo raczej tym, co skrzętnie pomijają, jest nie tylko fakt trzebiącego Polaków terroru, lecz także wyjątkowe uwarunkowania, jakie miała każda próba pomocy Żydom w Polsce. Inaczej niż na Zachodzie polscy Żydzi w ogromnej większości byli niezasymilowani; to, co było ich siłą przed wojną – daleko posunięta autonomia i odrębność – stało się dodatkowym powodem zguby. Słusznie zauważył kiedyś Richard Lukas, iż „zdumiewa fakt, że tak wielu Polaków wspomagało ludzi, którzy byli dla nich pod każdym względem obcy” („Zapomniany Holokaust”, s. 216).

Niestety, żeby zdobyć się na taki sąd, trzeba nie tylko mieć wiedzę, tę akurat autorzy książek o Holokauście dysponują, ale jeszcze odwagę. Trzeba umieć się zdobyć na osąd rzeczy w ich kontekście, a nie oceniać to, co minione, z punktu widzenia dzisiejszych ideologicznych mód. To jednak dzieje się nągminnie. O ile od Polaków wymaga się, żeby byli aniołami, o tyle błędy Żydów, częste przypadki kolaboracji z góry albo się usprawiedliwia, albo pomija. Zamiast pisać historię, uprawia się jakąś osobliwą mieszkankę budujących pogadanek i gniewnych filipik.

Mimo kilku już prób rozbicia polskiej pamięci i narzucenia holokaustiańskiego dyskursu na razie się to nie udało. Wysłki Jana Tomasza Grossa i wspierających go mediów spełzły na niczym. Być może dlatego, że w przypadku Polaków przyjęcie dogmatów quasi-religii Holokaustu musiałoby pociągać za sobą nie tylko mutację własnej tożsamości narodowej i religijnej, lecz także wyrzeczenie się pamięci o własnych ofiarach i zapomnienie o należnej im czci. Przelana za Polskę krew wciąż daje, paradoksalnie, siłę, wciąż pozwala chodzić z podniesioną głową i walczyć o swoje prawo do pamięci.



PAWEŁ LISICKI
„KREW NA NASZYCH RĘKACH?”
FABRYKA SŁÓW

Fragmenty książki „Krew na naszych rękach?” wydanej w 2016 r. i opisującej źródła obecnego konfliktu Polska – Izrael. Za książkę tę autor dostał w 2017 r. Nagrodę Główną Wolności Słowa SDP.



Rafał A. Ziemkiewicz

Mało kto zauważył, że kryzys polsko-izraelski wywołany atakiem ambasador Anny Azari na polskie prawo dyfamacyjne rozegrał się bez udziału parlamentarnej opozycji

Na żadnym etapie narastającego sporu opozycja nie była w stanie zająć jasnego stanowiska wobec pomysłu penalizacji antypolskich fałszerstw historycznych. I to pomimo iż merytoryczna krytyka projektu podczas prac parlamentarnych nad nim byłaby jak najbardziej uzasadniona i nawet jeśli nie wpłynęłaby na ostateczny kształt nowelizacji ustawy o IPN, mogłaby znacząco poprawić wizerunek opozycji i przekonać kogoś, że jest ona zdolna do działań merytorycznych.

Na łamach „Do Rzeczy” i „Do Rzeczy Historia” pisaliśmy wielokrotnie, że straszenie karą więzienia za „fałszowanie historii” niczego dobrego nie da, a wręcz okaże się przeciwnie. Nietrudno było wypunktować zastrzeżenia i mając wciąż po swojej stronie największe media, przekonywać Polaków, że choć sprzeciw wobec nikczemnej frazy „polskie obozy koncentracyjne” łączy wszystkich Polaków ponad politycznymi podziałami, to projekt wysmażony przez PiS przyniesie więcej szkody niż pożytku. Gdyby opozycja tak się zachowała – a przecież tak zachowywałaby się każda normalna opozycja w demokratycznym kraju – przynajmniej ona jedna mogłaby wyciągnąć z kryzysu jakieś korzyści.

Jednak podczas prac nad nowelizacją głos opozycji nie był słyszalny, najwyraźniej uznała temat za niewygodny. Gdy zaś przyszło do głosowania, posłowie PO i Nowoczesnej w większości wstrzymali się od głosu, co było sygnałem najgorszym z możliwych – z jednej strony, nie chcemy głosować za projektem PiS, z drugiej, nie mamy żadnych racji, które by tę niechęć uzasadniały.

INSTYNKT ANTYPISOWSKI

Jeszcze bardziej niezdolnie zachował się główny klub opozycyjny po wybuchu kryzysu. Pierwszy publiczny przekaz – i tak spóźniony – pochodził od byłego



Grzegorz Schetyna i w tej sprawie ruszył do ataku na rząd. A Katarzyna Lubnauer zażądała „wywalenia” wiceministra Patryka Jakiego FOT. JACEK DOMINIŃSKI/REPORTER

Po burzy – kto zyskał, kto stracił

ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka i budował narrację w duchu „sprzeciw wobec kłamliwego przypisywania Polsce odpowiedzialności za Holokaust powinien łączyć wszystkich Polaków”. W zasadzie opozycja nie miała już w tym momencie innego wyjścia niż przyjąć taką właśnie postawę – ale nie wytrzymała w niej długo. Z okazanym przez Siemoniaka rozsądkiem już po paru godzinach wygrał instynkt „totalnej opozycji”, każący atakować PiS zawsze, za wszystko i we wszelkich możliwych nadarzających się sojuszach. Przewodniczący PO Grzegorz Schetyna szybko ruszył więc do ataku na rząd, a sekundująca mu przewodnicząca Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer zażądała „wywalenia” ministra Jakiego – jako rzekomo odpowiedzialnego za spowodowanie kryzysu w stosunkach z ważnym partnerem naszej polityki zagranicznej.

Oczywiście wypowiadający się przedstawiciele opozycji próbowali niuansować przekaz, zastrzegając, że nie stają po stronie tych, którzy obciążają Polaków cudzymi winami, ale ustawa była zła i tak dalej – jednak w momencie, gdy pojawiły się emocje, było już na to za późno. Tym bardziej że dla szerokiej publiczności głosem opozycji są nie tyle wypowiedzi polityków, ile ogólny ton antypisowskich mediów. A te ochoczo, wręcz nawykowo, przyłączyły się do krytyki „polskiego antysemityzmu”, ze szczególną zjadłością zajmując się tropieniem go w wypowiedziach krytycznych wobec strony izraelskiej. Tym samym w oczach wyborców opozycją wpisała się w punkt widzenia środowisk tradycyjnie antypolskich, wywijających pałką „polskich obozów koncentracyjnych” od lat.

Wszystko to jest oczywiście widzerunkowym prezentem dla Prawa i Sprawiedliwości. Jak już dość dawno temu zauważył Rafał Matyja, a wszystko obserwację tę potwierdza, osiądł podziału, na której PiS zamierza oprzeć najbliższą kampanię wyborczą i zdobyć dzięki niej samodzielną większość konstytucyjną, jest podział na tych, którzy Polskę bronią, oraz tych, którzy ją atakują, ściągając na nią ataki, względnie przyłączając się do takich ataków. Podobnie jak sprawa artykułu 7 i sporu z Unią Europejską o reformę sądów działania przeciwników w obecnym kryzysie doskonale służą zbudowaniu takiego podziału i zajęciu przez PiS miejsca „partii polskiej”

przeciwko „antypolskiej” opozycji liberalnej. Do tego stopnia, że teoria Janusza Korwina-Mikkego, iż cała rzecz była „ustawką” z premierem Netanjahu, mającą umocnić pozycję PiS, nie brzmi aż tak znowu nieprawdopodobnie.

Bo choć w części dotyczącej „ustawki” domysły Korwina pobrzmiewają „teorią spiskową”, to co do umocnienia PiS taki skutek szarzy pani ambasador wydaje się pewny. Oczywiście ten zysk władzy w polityce wewnętrznej okupiony będzie stratami na zewnątrz. Jednak jeśli wykorzystanie nowego polskiego prawa do spektakularnego oskarżenia nas przed całym światem o „zrzucanie z siebie winy” za współsprawstwo Holokaustu było ze strony środowisk żydowskich akcją przemyślaną, a nie wybuchem histerycznych emocji (trudno mieć co do tego pewność) i jeśli była to akcja obliczona nie na wewnętrzne izraelskie rozgrywki, tylko na skłonienie Polski do określonych zachowań – na przykład w kwestii reptrywatywacji, co zdawała się sugerować pani ambasador Azari w wywiadzie dla Fadia RMF – to rachuby te się nie sprawdzają.

POLSKA BEZ KOMPLEKSÓW

To już nie jest po prostu ta sama Polska, do której przyzwyczaił się Zachód, a wraz z nim i środowiska żydowskie przez pierwsze ćwierćwiecze po roku 1990. Polska zakompleksiona, z elitami skłonnymi przeproszać wszystkich za wszystko i społeczeństwem gotowym po półwieczu peerelowskiego wypośrodkowania wszelką godność schować do kieszeni, jeśli miałaby mu przeszkadzać w radosnej konsumpcji doczekanego wreszcie dobrobytu. Wystarczającym dowodem zmiany nastrojów, którą PiS trafnie odczytał i wykorzystał do zwycięstwa, była już przeciwskuteczność strategii „ulica i zagranica”. Przecież w przekonaniu „totalnej opozycji” postawienie sporu na ostrzu noża, odmowa jakichkolwiek negocjacji z „depczącą konstytucję” władzą i ściągnięcie na Polskę gromów z Zachodu miało wyprowadzić na ulice miliony domagające się usunięcia władzy „wyprawdzającej nas z Europy” – a stało się odwrotnie, gniew na próbujących Polsce dyktować warunki Niemców i eurokratów umocnił poparcie dla PiS i odebrał popularność opozycyjnej targowicy. Bez wątpienia tak będzie i teraz. PiS niewątpliwie uświadomił to sobie, skoro

po krótkim okresie działań niezbornych i prób negocjacji przyspieszył pracę nad zaatakowaną ustawą w Senacie.

Rząd ma zresztą – jeśli mowa o rynku wewnętrznym – mocne karty w ręku. Bez trudu udowodnił, że wobec „wrażliwości strony izraelskiej” okazaliśmy tyle dobrej woli, ile to tylko możliwe. Sposób, w jaki Izrael wykorzystał uroczystość znajdującą się w centrum uwagi światowych mediów do ataku na nas, nie może nie oburzać, a wyraźna zbieżność w czasie ze staraniami o przeformowanie w Senacie USA ustawy ułatwiającej tamtejszym organizacjom żydowskim zgłaszanie materialnych roszczeń do polskiego majątku jest ostatecznym, dobitnym argumentem za okazaniem przez Polskę w tej sprawie maksymalnej determinacji. Narracja zaś antypisowskich mediów, próbujących wykorzystać atak do tradycyjnego zohydowania prawicy jako antysemitów, która takie usługi oddała michnikowszczyźnie w poprzednich dekadach, zwyczajnie już nie działa.

POZAPARLAMENTARNI

Skoro budząca tak wielkie emocje awantura została przespana przez opozycję parlamentarną, nic dziwnego, że spróbowała wykorzystać ją do swoich celów opozycja pozaparlamentarna. Z jednej strony, uaktywnili się narodowcy, z drugiej, radykalna lewica, w o tyle dla siebie dziwnej roli, że jako rzekomi obrońcy Izraela przed rzekomą agresją prawicowych antysemitów. Ze strony Ruchu Narodowego przedstawienie się w roli obrońców Polski przed żydowskimi roszczeniami i męczenników, którym wojewoda – skądinąd tworząc bardzo niebezpieczny precedens – zakazał manifestacji w słusznej sprawie, jest oczywiście drobnym zyskiem, ale mówiąc szczerze – i oni, i lewica nie są obecnie w stanie przyciągnąć elektoratu innego niż niszowy. Pod przewodnictwem Winnickiego i Bosaka narodowcy zmarginalizowali się do tego stopnia, że PiS nie może ich nawet użyć do powtórzenia manewru Orbána, który argumentem „jeśli nie ja, to radykałowie z Jobbiku” skutecznie zmusił do głosowania na siebie niechętnych mu wyborców liberalnych.

Zresztą w obecnej sytuacji nawet tego nie potrzebuje. Bez względu na dalszy rozwój wypadków atak Izraela bardzo go wzmocnił i zyskał mu sympatię kolejnej grupy wyborców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z dr. hab. Tomaszem Panfilem, historykiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Szmalcownicy byli u nas marginesem

PIOTR WŁOCZYK: „Po agresji Niemiec na Polskę sytuacja Żydów nie wyglądała bardzo źle”. To jedno zdanie z pańskiego tekstu opublikowanego w „Gazecie Polskiej” sprawiło, że dla lewicowych publicystów stał się pan niemalże wrogiem numer jeden wśród historyków. Adam Szostkiewicz z „Polityki” napisał, że jest to „haniebne zdanie, drwiące z ludzkiego cierpienia i zakłamujące tragedię Żydów polskich pod jarzmem niemieckim”. Ktoś chyba oczekuje od pana przeprosin.

DR HAB. TOMASZ PANFIL: Nic z tego, bo ta historia to wielka medialna manipulacja. Na tej samej zasadzie można stwierdzić, że Biblia to tekst ateistyczny. Przecież napisane jest tam, że nie ma Boga... Chodzi oczywiście o fragment: „Mówi głupi w swoim sercu: »Nie ma Boga«”.

To wszystko da się sprowadzić tylko do stwierdzenia, że jedno zdanie zostało wyjęte z kontekstu?

Od tego się zaczęło: ludzie nieprzychylni wyjęli z kontekstu jedno zdanie, ignorując to, co napisałem po nim. Artykuł opisuje proces dynamiczny i zmienny: w dalszej jego części twierdzą, że w pierwszych miesiącach okupacji sytuacja Żydów w Polsce nie była bardzo zła w porównaniu z tym, jak wyglądała później, i równocześnie nie wyglądała bardzo źle na tle sytuacji Polaków. Plan systematycznej, instytucjonalnej Zagłady narodu żydowskiego został opracowany w Wannsee w styczniu 1942 r., tymczasem Niemcy od sierpnia 1939 r. mieli przygotowany plan ekstermi-

nacji elit państwa polskiego – polityków, księży, powstańców śląskich i wielkopolskich, adwokatów, nauczycieli, naukowców, działaczy społecznych etc. Symbolem tego okresu jest zbrodnia w Piaśnicy na Pomorzu (od października 1939 do kwietnia 1940 r. zabito tam 12–14 tys. ludzi, głównie Polaków), nazywana niekiedy „pomorskim Katyniem”.

Jak więc wygląda zestawienie sytuacji Polaków i Żydów od początku wojny aż do 1941 r.?

Represje wobec Polaków były bardzo gwałtowne w pierwszych miesiącach okupacji, ponieważ Niemcy weszli do Polski z listami członków naszych elit przeznaczonych do eksterminacji. Niemcy

Żydzi ciągną wóz konny
na dziedzińcu Uniwersytetu
Warszawskiego, lata
1939–1940 FOT. NAC



Po 22 czerwca 1941 r., gdy Niemcy, wkraczając na ziemię polską okupowaną dotychczas przez Związek Sowiecki, zaczęli dokonywać masowych egzekucji Żydów. Działalność Einsatzgruppen sprawia, że sytuacja Żydów staje się dramatycznie gorsza od sytuacji Polaków.

Jak ten pierwszy okres wojny wygląda w liczbach, jeżeli chodzi o ofiary?

Odwołam się tu do klasycznej książki „Kryptonim »Żegota«” Marka F. Arczyńskiego i Wiesława Balceraka (ten pierwszy był współtwórcą Żegoty). Autorzy tej pracy szacowali, że w pierwszych miesiącach okupacji ginęło 10 razy więcej Polaków niż Żydów. Uważam, że te szacunki są solidne. Zresztą to jest właśnie proporcjonalny – biorąc pod uwagę liczebność obu nacji – stosunek strat.

Nie żałuje pan użycia w tamtym tekście słów: „Sytuacja Żydów nie wyglądała bardzo źle”? Nic by pan nie zmienił w tym zdaniu?

Pewnie zreczniejsze byłoby np. sformułowanie, że „sytuacja Żydów pogarszała się stopniowo”. Trzeba jednak dużo złej woli, żeby twierdzić, że w tym tekście w jakikolwiek sposób kwestionowałem tragedię Żydów. Pokazałem w nim tylko, jak się ona rozgrywała: od pomysłów wysyłania Żydów na Madagaskar czy do Palestyny, przez narastający terror z nienawiści, aż do Zagłady, która była zbrodnią z wyrachowania. Zresztą sprawę Zagłady nakreśliłem tylko skrótowo, ponieważ tak naprawdę tekst był o czymś zupełnie innym: o tym, jak Polacy ratowali Żydów w czasie wojny.

Tylko że pańscy krytycy zarzucają panu, iż poszedł pan w drugą stronę, czyli wybielał pan Polaków. Przecież wobec Żydów pojawiały się wtedy wszystkie postawy, a najwięcej było obojętności.

Ja rozumiem, że środowisko „Gazety Wyborczej” chciałoby, żeby w Polsce pisano głównie o szmalcownikach, ale to nie działa w ten sposób. Przecież wyraźnie napisałem, że Polskie Państwo Podziemne bezwzględnie karało też tych, którzy powodowani chciwością lub nienawiścią donosili na Żydów. Jednak tego oczywiście już nie zacytowali.

„Wiele wysiłku wkładał okupant w przekonywanie Polaków, że Żyd to wróg”. To zdanie też wzbudziło kontrowersje. Czy pan chciał przez to powiedzieć, że w Polsce nie było problemu z antysemityzmem, więc Niemcy postanowili nas nauczyć nienawiści do Żydów swoją propagandą?

Jeśli antysemityzm w Polsce był tak powszechny – jak twierdzą niektórzy – to po co Niemcy drukowali plakaty przekonujące Polaków, że Żyd to wróg? Dlaczego grozili aż karą śmierci za pomoc, a nawet za sam zamiar pomocy? Skoro okupant prowadził taką politykę, to znaczy, że postawa znacznej części Polaków wobec Żydów była dla niego problemem. Nie sposób ustalić, jaka konkretnie część Polaków była skłonna podać Żydom pomocną dłoń, ale z całą pewnością możemy powiedzieć, że było ich dużo, dużo więcej niż szmalcowników.

Gunnar Paulsson, brytyjski historyk (autor książki „Utajone miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy 1940–1945”), który próbował oszacować tę liczbę, stwierdził, że „szantażystów, donosicieli i policjantów, którzy polowali na Żydów, mogło być w Warszawie 3–4 tys., natomiast 70–90 tys. osób w jakiś sposób im pomagało”.

Myślę, że te szacunki brzmią sensownie. Szmalcownicy byli u nas marginesem.

Jest pan jednak w stanie przyznać, że przedwojenna Polska miała problem z antysemityzmem?

Oczywiście, że był u nas antysemityzm. Poza tym były też nastroje antyniemieckie, antyrosyjskie czy antyczeskie...

Zaraz podniesie się wrzawa, że bagatelizuje pan skalę antysemityzmu w Polsce.

Niczego takiego nie robię, tylko mówię, że z różnych powodów nieprzychylnie patrzono wtedy na różne grupy narodowościowe. A z kolei mniejszość niemiecka w Polsce na Polaków patrzyła bardzo wrogo. Nie oceniam, który rodzaj niechęci był wtedy w Polsce najmocniejszy, bo trudno to zmierzyć. Jedno możemy powiedzieć z całą pewnością: ówczesne polskie nastroje antyżydowskie występowały głównie na gruncie ekonomicznym. W Polsce zła atmosfera brała się z rywalizacji ekonomicznej. Różni to zdecydowanie antysemityzm w Polsce od antysemityzmu w Niemczech. U nas traktowano Żydów jako konkurentów w handlu czy rzemiośle, w wolnych zawodach, natomiast w Niemczech antysemityzm miał rys typowo rasowy.

Napisał pan: „Polityka NSDAP, rządzącej w Niemczech od 1933 r., na początku nie była wobec Żydów jednoznaczna. Oczywiście obowiązywały ustawy norymberskie wprowadzające dyskryminację prawną ludności żydowskiej, nasilały się represje i pogromy, ale jednocześnie Hitler i jego wspólnicy preferowali emigrację jako sposób »oczyszczenia Niemiec«”. Adam Leszczyński z „Gazety Wyborczej”

mordowali wówczas Żydów jako obywateli Rzeczypospolitej, członków jej elit, więc Polaków ginie proporcjonalnie więcej. Pamiętajmy, że wtedy jeszcze Niemcy nie mieli opracowanego planu Zagłady narodu żydowskiego. To przecież mówią sami świadkowie: przez pierwszy rok wojny represje antyżydowskie nie były tak bardzo widoczne, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Gorzej jest w dużych miastach, w tworzonych tam gettach – głód i coraz gorsze warunki sanitarne panujące w gettach to przecież też element ludobójstwa.

Kiedy te dwie linie mordów na obu narodach się przecinają?

skomentował, że twierdzenie, iż ta polityka nie była jednoznaczna, to absurd.

Przecież drugie zdanie w cytowanym fragmencie wyjaśnia, dlaczego ta polityka nie była jednoznaczna! Początkowo Niemcy nie wiedzieli po prostu, co zrobić z Żydami. Nie myślano o wymordowaniu ich, zamiast tego chcieli ich wyrzucić z Niemiec, potem z Europy, zmusić ich do emigracji. Obudzili nastroje antyżydowskie, wyjęli ich spod prawa, ograbili ich i zaczęli ich wypychać z Niemiec. Konfiskowali majątki w zamian za pozwolenie na wyjazd, np. do USA. Wszystko to jest w protokole z konferencji w Wannsee! Tymczasem USA, o czym się zapomina, niechętnie przyjmowały żydowskich uciekinierów – można tu przypomnieć tragiczną odyseję statku „St. Louis” z maja 1939 r. z ok. 1 tys. niemieckich Żydów na pokładzie. Amerykanie nie wpuścili ich do siebie – prawie wszyscy zginęli w Zagładzie. A w październiku 1939 r. gmina żydowska z Oświęcimia na polecenie Niemców uruchomiła Biuro Emigracyjne.

Czego nauczyła pana ta historia?

Chciałoby się powiedzieć, że nauczyła mnie tego, żeby pisać o starożytności albo średniowieczu, ale tak nie powiem (śmiech). Nauczyło mnie to jednego: niezależnie od tego, co się napisze, ani jak się to robi, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie potrafił to zmanipulować. Tak więc jak dotychczas: będę pisał prawdę.

Pamiętajmy jednak, że nie tylko lewicowi publicyści pana skrytykowali. Kierownictwo IPN wydało w związku z burzą wokół tego artykułu oświadczenie, w którym napisano, że „przedstawione tam sformułowania nie są w żadnym wypadku zgodne ze stanowiskiem IPN”. Przyzna pan, że to wygląda bardzo źle.

Ubolewam nad tym. Prawdę mówiąc, bardziej mnie to dotknęło niż teksty lewicowych publicystów, które są kłamstwem i manipulacją. Niemniej jednak niektóre rzeczy sobie wyjaśniliśmy.

Ostatnio znów zrobiło się o panu głośno. Po materiale TVN o urodzinach Hitlera media przypomniały ekspertyzę, którą przygotował pan pięć lat temu na potrzeby procesu niejakiego Adama G. oskarżonego o prowadzenie strony propagującej faszyzm. Po raz pierwszy o pańskiej ekspertyzie napisała „Gazeta Wyborcza” w czasie awantury wokół tekstu w „Gazecie Polskiej”. Tytuł artykułu w „GW” brzmiał: „Historyk z IPN patrzy na swastykę i szuka »innych znaczeń«”. Wynikałoby z tego, że bagatelizuje pan nazistowską symbolikę.

Kolejna manipulacja: z kilkunastostro-niczego tekstu mojej ekspertyzy wycięto

W pierwszych miesiącach okupacji ginęło 10 razy więcej Polaków niż Żydów. Uważam, że to są solidne szacunki.

Zresztą to jest właśnie proporcjonalny – biorąc pod uwagę liczebność obu nacji – stosunek strat

jedno zdanie: „Swastyka to symbol wieloznaczny”. To zdanie znajduje się w passusie poświęconym kontekstom występowania symboli. To jest prymitywizacja, hołdowanie intelektualne. Gdyby iść tropem tak prymitywnego pojmowania symboliki, to trzeba by np. stwierdzić, że we wrześniu 1939 r. naziści walczyli z nazistami, bo przecież Strzelcy Podhalańscy mieli odznaki z symbolem swastyki. To, że swastyka miała wiele znaczeń, to oczywistość. Na przykład do dziś fińskie siły powietrzne – z którymi jednak współpracujemy – używają jej w swoim godle. Napisałem też w ekspertyzie, że w naszym kraju, dotkniętym tragedią niemieckiego terroru, swastyka kojarzy się jednoznacznie negatywnie. Pamięć o nieszczęściach i o złu determinuje widzenie symbolu. W Polsce więc, słusznie, uważana jest za symbol zła. Tylko że akurat na tamtej stronie internetowej, zamkniętej przez policję w 2012 r., nie było swastyk, tylko krzyże celtyckie.

I jak je pan opisał?

Również w tym przypadku napisałem, że mają wiele znaczeń. Proszę np. powiedzieć Irlandczykowi, że to symbol faszystowski... Konkluzją było, że współcześnie krzyż celtycki używany jest przez grupy neopogańskie i rodzimowiercze, a także przez ugrupowania nacjonalistyczne, m.in. amerykański ruch White Power. Oczywiście u nas kojarzone jest to z faszyzmem. Nawiasem mówiąc, sąd drugiej instancji uniewinnił Adama G.

Część mediów pokazuje pana jako przykład polskiego „problemu z neonazizmem”. Mamy problem z neonazizmem?

To bzdura, niektóre media celowo stymulują takie nastroje. Ubolewam nad jednym: z powodu zaniedbań w szkolnictwie, które zaczęły się jeszcze w latach 90., kiedy uczniowie często nie mieli żadnych lekcji o historii II wojny światowej, wielu

młodszych ludzi nie rozumie ogromu zła wyrządzonego Polsce przez niemiecki nazizm. W moim pokoleniu to była wiadoma rzecz: gdy kiedyś jeden z uczniów mojej szkoły w Szczecinie próbował założyć opaskę ze swastyką, natychmiast dostał od nas za to w zęby.

Nie mamy problemu z narastającą w naszym społeczeństwie nienawiścią do innych?

Myślę, że mimo wszystko to nie jest wielki problem. Policja i prokuratura powinny się zająć tymi nielicznymi jednostkami, które są niebezpieczne. Myślę, że dosyć szybko można by się z nimi uporać. Natomiast absolutną podstawą jest edukowanie społeczeństwa, tłumaczenie, czym grożą skrajne poglądy. Zarówno skrajnie prawicowe, jak i skrajnie lewicowe.

Czuł pan oburzenie, patrząc na niektóre transparenty, które pojawiły się na ostatnim Marszu Niepodległości?

Jakie transparenty ma pan na myśli?

Na przykład „Biała Europa braterskich narodów”.

Z drugą częścią mogę się zgodzić.

To akurat nie budzi kontrowersji.

Możemy obawiać się imigrantów z Afryki, bo boimy się przemocy, ale kryterium rasowe jest dla mnie nie do przyjęcia. Nie wolno myśleć w kategoriach rasowych. To sprzeczne z wiarą katolicką. Europa to cywilizacja, nie barwa.

ONR powinien zostać zdelegalizowany?

Jeżeli jakkolwiek organizacja łamie polskie prawo, to niezależnie od tego, czy mówimy o ONR czy o Komunistycznej Partii Polski, czy jeszcze o jakiejś innej, powinna zostać adekwatnie osądzona przez sąd.

To inaczej: podoba się panu ONR?

To jednak nie moja bajka – intelektualnie nie toleruję radykalizmów. Jestem z przekonania piśmudczykiem doceniającym wielkość myśli i znaczenie dokonań Romana Dmowskiego (śmiech).

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Tomasz Panfil
jest historykiem i nauczycielem akademickim. Pełni obowiązki naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Lublinie.

Skłamał, by oczernić Polskę



Maciej Pieczyński

„Moją babcię zabili Polacy” – grzmiał izraelski polityk, protestując przeciw ustawie o IPN. Okazało się, że nie babcię, ale prababcię. I nie Polacy, tylko Niemcy. Yair Lapid wciąż jednak atakuje Polskę i naciska na izraelski rząd, by z Warszawą nawet nie dyskutować

Już ponad rok temu, gdy w debacie publicznej pojawił się pomysł penalizacji oszczerczego terminu „polskie obozy śmierci”, z Tel-Awiwu słychać było pomruki niezadowolenia i insynuacje, jakoby tym samym próbowano zamazywać odpowiedzialność Polaków za zbrodnie na Żydach. Strona izraelska była informowana o przebiegu prac nad nowelizacją, a mimo to zareagowała ostro. Z okolicznościowego przemówienia z okazji rocznicy wyzwolenia Auschwitz ambasador Anna Azari zrobiła polityczny protest przeciwko ustawie przyjętej przez polski Sejm. To jednak nic w porównaniu z reakcją Yaira Lapida, deputowanego do Knesetu. Jego tweet wywołał prawdziwą burzę w polsko-izraelskich relacjach. To była iskra na prochu od dawna dojrzewającego sporu o pamięć. „Zdecydowanie potępiam nową ustawę przyjętą w Polsce, która jest próbą zaprzeczenia udziału wielu polskich obywateli w Holokauście. Wymyślono to w Niemczech, ale setki tysięcy Żydów zostały zamordowane, nawet nie spotykając niemieckiego żołnierza. Były polskie obozy śmierci i żadne prawo tego nie zmieni” – napisał założyciel partii Jesh Atid. Nazwa ugrupowania oznacza po hebrajsku „jest przyszłość”. Na pewno takie wypowiedzi nie wróżą dobrze przyszłości polsko-izraelskich stosunków, szczególnie że polityka zagraniczna – zarówno Warszawy, jak i Tel Awiwu – w dużej części opiera się na polityce historycznej.

Polska ambasada odpowiedziała Lapidowi, że tego typu twierdzenia dowodzą, jak bardzo ważna jest, także w Izraelu, edukacja na temat Holokaustu. Polityk zareagował emocjonalnym tweetem, próbując najwyraźniej udowodnić swoją nie tyle

merytoryczną, ile moralną wyższość w tej dyskusji. Napisał mianowicie, że nie potrzebuje edukacji na temat Zagłady, bo jego babcia została zamordowana w Polsce „przez Niemców i Polaków”. Domagał się też przeprosin od ambasady. Okazało się jednak, że w ataku na Polskę posłużył się manipulacją. Z licznych publikacji, w tym z wywiadu udzielonego niemieckiemu „Spiegelowi” przez rodzinę Lapidów, wynika, że babcia Yaira po prostu nie mogła zginąć w Polsce. Ojciec polityka, Josef „Tommy” Lapid, pochodził z Nowego Sadu (dziś Serbia). W czasie okupacji niemieckiej wraz z matką trafił do getta w Budapeszcie. Oboje przeżyli wojnę. Jego ojciec, czyli dziadek Yaira, zginął w obozie koncentracyjnym Mauthausen, czyli w Austrii. Matka izraelskiego polityka, Szulamit, urodziła się przed wojną w Palestynie, dokąd jej rodzice wyemigrowali z Rumunii. W całej tej historii nie ma ani słowa o Polsce. Gdy polskie media

zdemaskowały manipulację izraelskiego polityka, ten zmienił wersję: „Babcia mojego ojca, Hermione, została aresztowana w Serbii przez Niemców i wysłana do Auschwitz, została zamordowana w komorach gazowych. Dlaczego musiała odbyć tak długą podróż przed śmiercią? Czemu większość obozów ulokowano właśnie w Polsce? Niemcy wiedzieli, że przynajmniej niektórzy z miejscowych będą współpracować” – napisał w felietonie dla portalu The Times of Israel. Skoro więc z babcią się nie udało, postanowił w swojej antypolskiej kampanii wykorzystać śmierć prababci. Gdy okazało się, że po początkowo ostrej reakcji premier Benjamin Netanjahu zgodził się na dialog z polskim rządem, Yair Lapid wezwał z trybuny Knesetu, by „nie negocjować w sprawie pamięci o poległych”. Wedle słów antypolskiego radykała nowelizacja ustawy o IPN „musi zostać pogrzebana w polskiej ziemi, która przesiąkała krwią Żydów”.

– Scena polityczna w Izraelu w ostatnich latach mocno przesunęła się na prawo, stąd jest zapotrzebowanie na takich wyrazistych polityków, odwołujących się do nacjonalistycznego elektoratu. Dzisiaj partia Lapida jest w opozycji, ale to nie jest żaden margines – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr hab. Wiesław Lizak z Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Zanim zaczął karierę polityczną, Yair Lapid był dziennikarzem, prezydentem telewizyjnym, aktorem, scenarzystą, żołnierzem, bokserem. Pisał książki dla dzieci i thrillery. Wystąpił w trzech filmach, w jednym z nich grając samego siebie. Centrową partię Jesh Atid (opowiadającą się m.in. za sekularyzacją państwa) założył w 2012 r. Już rok później ugrupowanie odniosło spory sukces w wyborach parlamentarnych, stając się drugą siłą w Knesecie. Jesh Atid weszła do koalicji rządowej z partią Likud. Lapid został ministrem finansów w gabinecie Beniamina Netanjahu. Po roku, w wyniku awantury wokół forsowanej przez Likud ustawy określającej Izrael jako „państwo żydowskie”, koalicja się rozpadła. Lapid przeszedł do opozycji. Obecnie jego partia ma 11 mandatów w 120-osobowym Knesecie. Według aktualnych sondaży w kolejnych wyborach mogłaby jednak zdobyć ich 25.

Izraelski dziennikarz Eli Barbur w rozmowie z TVP Info porównał jednak lidera partii Jesh Atid do... Ryszarda Petru: „Doskonale się zapowiadał. Taki »Rysio« w Polsce. Jednak jako polityk całkiem się nie sprawdził [...]. Nie jest za mądry ten facet. To oczywiste. Bo jeśli napisał o „polskich obozach”, to musi być idiotą. W sensie historycznym”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



przyjęcia nowej konstytucji RP, czyli była zabiegiem jednorazowym. Różnica pomiędzy „zwykłym” referendum konsultacyjnym a konstytucyjnym była zasadnicza: w konstytucyjnym o wiążącym charakterze wyniku nie decydowała frekwencja. Gdyby tak było, decyzja podjęta w sprawie konstytucji w 1997 r. nie byłaby wiążąca, zagłosowało wtedy bowiem jedynie nieco ponad 42 proc. uprawnionych.

Referendum konsultacyjne ogólnokrajowe, czyli takie, jakie chce ogłosić prezydent, jest instytucją dziwną i w dużej mierze martwą. Wprowadzono ją do konstytucji z 1997 r., a sześć lat później, za rządów SLD, doprecyzowano w ustawie o referendum ogólnokrajowym. Zrobiono to jednak w taki sposób, jakby referendum chciał już w momencie narodzin uśmiercić sam ustawodawca, mówiąc: damy wam teoretycznie prawo głosowania w ważnych sprawach, ale zrobimy to tak, żeby nie miało żadnego znaczenia.

SŁABOŚĆ REFERENDUM

Po pierwsze – kryterium wiążącego wyniku (nie mylić z ważnością referendum, bo to dotyczy prawidłowości jego przeprowadzenia i nie musi się przekładać na wiążący wynik) ustawiono absurdalnie wysoko. „Jeżeli w referendum ogólnokrajowym wzięła udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania, wynik referendum jest wiążący” – mówi konstytucja RP w art. 125. W polskich warunkach jest to wynik niemalże nieosiągalny. Udało się to tylko raz, w referendum w sprawie przystąpienia Polski do UE w 2003 r., gdy frekwencja rzutem na taśmę sięgnęła 58 proc., ale tylko dzięki bezprecedensowej kampanii propagandowej oraz dwudniowemu głosowaniu (ustawa daje taką możliwość). Na drugim biegunie jest referendum, ogłoszone przez Bronisława Komorowskiego w 2015 r., które było desperacką próbą ratowania się przed porażką w wyborach prezydenckich. Frekwencja wyniosła wówczas 7,8 proc. Frekwencja nie przekroczyła 50 proc. również w głosowaniu w 1995 r. (na mocy uchwalonej wtedy ustawy) w sprawie powszechnej prywatyzacji. Wyniosła wówczas niespełna 32,5 proc.

Po drugie – nawet jeśli referendum okazałoby się wiążące, i tak nic z tego nie wynika. Nie ma bowiem w żadnym akcie prawnym, z konstytucją włącznie, przepisów, które określałyby, w jaki sposób ani w jakim czasie parlament ma zreali-



Łukasz Warzecha

Propozycji prezydenta dotyczącej przeprowadzenia referendum powinna towarzyszyć dyskusja o samych referendach. Aby miały jakiegokolwiek znaczenie

Czy ktoś pamięta, że weszliśmy w rok stulecia niepodległości? I że na listopad tego roku prezydent Andrzej Duda zapowiedział referendum konsultacyjne w sprawie zmiany konstytucji? No właśnie – można odnieść wrażenie, że rocznica odzyskania niepodległości przecieka nam przez palce, a propozycja zmiany konstytucji została całkowicie przykryta przez bieżące wydarzenia.

Kiedy 3 maja 2017 r. prezydent Andrzej Duda ogłosił swój pomysł na referendum w sprawie konstytucji na stulecie odzyskania niepodległości, zaskoczonych było wiele osób, także z samego jądra PiS. Sprawa stała się katalizatorem odejścia z Pałacu Prezydenckiego rzecznika prezydenta Marka Magierowskiego, który o planach prezydenta niczego nie wiedział. Szybko okazało się też, że te plany są, najdelikatniej mówiąc, luźne i mało precyzyjne. Początkowo nie było nawet jasne, jakiego typu referendum prezydent zamierza ogłosić i czy obywatele mają głosować tylko w sprawie tego, czy w ogóle chcą zmiany konstytucji, czy może tego, w jakim kierunku ogólnie mają iść zmiany, czy też może będą się mieli odnieść do gotowego projektu.

Istnieje bowiem w polskim prawie pojęcie referendum konstytucyjnego, ale ta instytucja została wprowadzona przez uchwaloną w 1992 r. ustawę o trybie

zować decyzje podjęte przez obywateli w głosowaniu. Ba, nie jest też określone, w jaki sposób ogólne z konieczności pytania referendalne mają być zamienione na język ustaw. Ta luka w systemie jest tak oczywista, że trudno uznać ją za niecelową. To po prostu zagranie obywatelom na nosie przez twórców ustawy zasadniczej oraz ustawy o referendum.

Po trzecie – gdyby komukolwiek przyszło do głowy zmusić władzę, aby skonsultowała się z obywatelami w jakiejś sprawie – owszem, próbować można, ale to od dobrej woli władzy zależy, czy się łaskawie zgodzi. Zgodnie z ustawą z 2003 r. inicjatywę referendalną ma prawo zgłosić pół miliona obywateli mających czynne prawo wyborcze. Zgłosić, owszem, mogą, ale co z tego? „Sejm może postanowić o poddaniu określonej sprawy pod referendum z inicjatywy obywateli, którzy dla swojego wniosku uzyskają poparcie co najmniej 500 tys. osób mających prawo udziału w referendum” – mówi artykuł 63 ustawy o referendum ogólnokrajowym. Sejm może, ale nie musi. I dlatego mielenie podpisów, zebranych przez obywateli pod takimi wnioskami, stało się tradycją III RP. W 2012 r. Sejm odrzucił wniosek o referendum w sprawie wieku emerytalnego, podpisany przez prawie dwa miliony ludzi. W 2013 r. Platforma zlekceważyła i odesłała do kosza obywatelski wniosek o referendum w sprawie obniżenia wieku szkolnego do sześciu lat, pod którym podpisało się prawie milion osób. Cztery lata później sytuacja się odwróciła: PiS odrzucił wniosek w tej samej sprawie, tyle że sporządzony przez przeciwną stronę sporu politycznego i podpisany również przez prawie milion osób.

STRACH PRZED PORĄŻKĄ

W niedawnym wywiadzie dla „Gazety Polskiej” Jarosław Kaczyński uszczypliwie odniósł się do referendalnego projektu prezydenta, mówiąc: „Chyba nikomu nie zależy na tym, by zarządzić referendum, a później skończyć jak Bronisław Komorowski, z kilkoma procentami frekwencji”. PiS może zablokować pomysł Andrzeja Dudy, ponieważ do zarządzenia referendum prezydent RP potrzebuje zgody Senatu wyrażonej bezwzględnie większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby senatorów. Czy partia Jarosława Kaczyńskiego byłaby gotowa pójść w tej sprawie na konfrontację z prezydentem? Raczej nie – nie ma takiej potrzeby. Nawet jeśli dziś relacje pomię-

dzy Jarosławem Kaczyńskim a Andrzejem Dudą są lepsze niż pół roku temu, to przecież prezes PiS nie zabroni prezydentowi osłabić swojej pozycji na własne życzenie, skoro to tylko bardziej uzależniłoby głowę państwa od macierzystej partii. Patrząc zaś na rachityczne działania Pałacu Prezydenckiego w sprawie projektu nowej konstytucji, nietrudno sobie wyobrazić, że frekwencja w referendum może być symboliczna. Jeśli ostatecznie w referendum wzięłoby udział choćby 30 proc. uprawnionych, prezydent mógłby uznać opinię większości głosujących za sygnał od obywateli. Jeśli jednak frekwencja będzie bliższa 10 proc., będzie to porażka głowy państwa.

Dotąd nie uruchomiono – i nie wiadomo nawet, czy jest taki plan – portalu, na którym obywatele, organizacje pozarządowe i inni aktorzy życia publicznego mogliby umieszczać swoje dezyderaty, propozycje i komentować projekt zmian w ustawie zasadniczej. Zresztą musiałoby być co komentować, a na razie nie za bardzo jest co. W głębiach portalu prezydent.pl można jedynie znaleźć adres, na który można wysyłać zgłoszenia do „kampanii społeczno-informacyjnej”, cokolwiek miałyby to oznaczać. W różnych miejscach w kraju odbywają się też spotkania z udziałem prezydenckich ministrów, ale ich zasięg jest ograniczony. W szerzej pojętej sferze publicznej kwestia zmiany konstytucji dziś po prostu nie istnieje.

Czy to wszystko oznacza, że referenda są w ogóle niepotrzebne? Jaki jest sens utrzymywania w polskim systemie prawnym instytucji, która jest do tego stopnia dysfunkcyjna i skompromitowana? Otóż – jest. Jednak nie w tej postaci.

Dlaczego referendum jest potrzebne, nawet niezbędne? To najlepiej pokazują rządy PiS, ale też ich poprzedników – choć z racji słabszego mandatu wyborczego w mniejszym stopniu. Politycy partii rządzącej kierują się ideą, którą można by nazwać hiperdemokratyzmem: skoro dostaliśmy w wyborach poparcie umożliwiające samodzielne sprawowanie władzy, oznacza to zgodę na dokonywanie niemal dowolnych zmian w państwie poprzez ustawy. Tyle że niektóre z tych zmian mogą być zaskoczeniem nawet dla tych, którzy PiS w wyborach wsparli. Inne mogą budzić sprzeciw na tyle potężnej grupy obywateli, że należałoby się zastanowić, czy mandat pochodzący z wyborów faktycznie daje prawo zlekceważenia ich opinii.

Co więcej, w dzisiejszych demokracjach, z polską włącznie, wyborcy tracą poczucie wpływu na życie publiczne. Nie odtwarza go nawet rzadki moment udziału w wyborach. Jeśli zdarzają się dłuższe okresy bez elekcji, u tych, którzy władzy nie wspierają, pojawia się poczucie zniechęcenia i bezsilności. „Gdyby wybory mogły coś zmienić, zostałyby zakazane” – coraz więcej osób mogłoby powtórzyć słynne zdanie Emmy Goldman, żydowskiej anarchistki z przełomu XIX i XX w. Regularne odrzucanie przez Sejm wniosków o referendum, podpisanych przez ogromne grupy ludzi, wzmacnia przekonanie, że obywatele głosu nie mają, a wybory to tylko jeden wielki pic.

Dlatego organizacja referendum nie powinna zależeć od dobrej woli polityków, co całkiem słusznie postulował Paweł Kukiz. Po przekroczeniu określonej liczby podpisów pod obywatelskim wnioskiem organizacja referendum powinna być obowiązkowa. Żeby uniknąć sytuacji, gdy wymagane podpisy udaje się zebrać tylko w ramach jednej zamkniętej struktury, na przykład związkowej, granicę można ustawić wyżej niż dzisiejsze pół miliona, na poziomie trzy lub nawet cztery razy wyższym.

Poza tym musi zostać obniżony próg frekwencji, od którego wynik referendum staje się wiążący. W przypadku referendum z inicjatywy obywateli może nawet należy z niego zrezygnować, wychodząc z założenia, że niegłosujący świadomie i dobrowolnie poddają się pod decyzję głosujących. Tak samo jak to ma miejsce w wyborach, których rezultat jest przecież wiążący niezależnie od frekwencji.

Do tego zapis wymuszający na parlamencie wcielenie w życie wyników w określonym czasie powinien się znaleźć nie w zwykłej ustawie, lecz w samej konstytucji.

I tu dochodzimy do podwójnego paradoksu. Pierwszy polega na tym, że referendum jest dla polityków kłopotem, a w takiej postaci jak wyżej zaproponowana byłoby jeszcze większym. Jednak to politycy musieliby się zgodzić na takie właśnie zmiany. Drugi paradoks polega na tym, że zmiana zasad przeprowadzania referendum wymagałaby zmiany konstytucji, a żeby uzasadnić jej zmianę, potrzebne jest... referendum, które nie okaże się porażką. Na razie jednak wiele wskazuje, że w tej sprawie rację może mieć Jarosław Kaczyński. Niestety.



Z Robertem Winnickim, posłem i liderem Ruchu Narodowego
rozmawia Marcin Makowski

Ruszył proces budowy polskiego Jobbiku



FOT. PIOTR BLAWICKI/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Czy narodowcy biorą rozwód z PiS?

ROBERT WINNICKI: Trudno, żeby był rozwód, jeśli nigdy nie było małżeństwa. Ba, nie było nawet zaręczyn. Drogi politycznej PiS i narodowców nigdy realnie się nie zeszyły.

To może chociaż jakiś flirt?
Nic z tych rzeczy.

Aż taki chłód? W opozycyjnych mediach twierdzą, że maszerujecie ramię w ramię z Jarosławem Kaczyńskim.

Geneza takiej narracji leży w latach 2004–2005, gdy PiS zaczął połykać elektorat narodowy, przejmując również część jego haseł, choć ich nie realizując. Realnie różni nas jednak wiele, od wizji polityki zagranicznej, stosunku do kresów przez tworzenie prawa po rolę wartości religijnych w przestrzeni publicznej. PiS jest prounijny, my jesteśmy przeciw. Jest wiele pól fundamentalnej niezgody.

Skoro nie było związku, to chyba trudno mówić o zdradzie, gdy minister Joachim Brudziński zmobilizował wojewodę do zablokowania ulic wokół

ambasady Izraela, tym samym krzyżując plany protestu waszego środowiska?

Dlatego nie mówimy w tym przypadku o zawiedzionych nadziejach, bo ich nie mieliśmy. Nawet jeśli była to próba walki z konkurentem politycznym, decyzja ministra w rzeczywistości obnażyła wstydliwie skrywaną prawdę o słabości polskich służb oraz państwa. Bo gdyby nie było słabe, nie obawiałoby się tej manifestacji. Po drugie, jest to krok podyktowany panicznym strachem i zdecydowanie zbyt potulną postawą wobec Izraela. Przypomnijmy, że mieliśmy w ostatnich dekadach wiele sytuacji, w których różne środowiska – w tym nasze – manifestowały i pod ambasadami, również pod izraelską, i pod przedstawicielstwem Komisji Europejskiej w Warszawie. Jakoś nic się wtedy złego nie działo, dlaczego dzisiaj rzeczy miałyby się wyknąć spod kontroli?

A może to po prostu zdrowy rozsądek?

Gdyby komuś zależało na prowokacji, to i tak mógł przyjść pod barierki z transparentem i to zrobić. Andrzej Hadacz bez przeszkód się tam kręcił, wypowiadał do mediów. Ba, nawet my mogliśmy urządzić manifestację kilkadziesiąt metrów dalej,

a jedynym powodem, dla którego tego nie zrobiliśmy, była niechęć do konfrontowania się z państwem polskim w obiektywnie trudnym dla niego momencie. Sam zaś punktowy stan wyjątkowy, który wprowadził pan wojewoda, jest naszym zdaniem pod względem prawnym co najmniej wątpliwy. To niebezpieczny precedens, jeśli chodzi o wolność zgromadzeń w Polsce i przyjęcie standardów PO.

W tej kwestii pojawił się ciekawy sojusznik. Adam Bodnar stwierdził bowiem na łamach „Gazety Wyborczej”, że: „Nie można utrudniać przeprowadzenia zgromadzenia, wydając zarządzenie o zakazie ruchu w danym miejscu. W ten sposób wypacza się istotę wolności zgromadzeń”.

To nie jest nasz sojusznik, ale w tym przypadku wywiązał się ze swojego zadania jako prawnik i rzecznik praw obywatelskich. My również wskazujemy na falandyzację prawa zgromadzeń, ale poza tym nic nas nie łączy.

Swoją udział w niedoszłej manifestacji zapowiedzi również Obywatele RP. Brał pan pod uwagę możliwą konfrontację?

W takim razie odbijam pytanie. Może miesięcznice smoleńskie też nie powinny

się odbywać, minister Brudziński powinien wyłączyć z ruchu Krakowski Przedmieście i byłoby po kłopotach? Przecież tam też dochodziło do spięć z prowokatorami, podobnie jak na marszach niepodległości. Uciekaniem od tematu państwo manifestuje jedynie swoją nieporadność.

Żałujemy, że nie doszło do blokady. Z jakimi transparentami pojawiliby się narodowcy?

Mogę panu dokładnie powiedzieć, bo mamy je już nawet wydrukowane. Większość jest po angielsku, bo w Polsce niespecjalnie trzeba kogoś przekonywać do prawdy historycznej, ale należy to czynić wobec światowej opinii publicznej. Są to zatem hasła takie, jak: „Stop antypolonizmowi”, „Niemieckie obozy śmierci”. Były treści o II wojnie światowej, narodzie sprawców, odpowiedzialności za zbrodnie. Przygotowałem sobie nawet wystąpienie po angielsku. Powiedziałbym w nim o różnicach w perspektywach i o tym, jak mocno Polacy czują się dotknięci, że rozwija się tę fałszywą nagonkę. Chodzi w istocie o to, że nawet sprzyjający Warszawie dziennikarze i politycy w Izraelu sądzą, że Holocaust stanowił wypadek przy pracy cywilizowanego narodu niemieckiego, natomiast w Polsce antysemityzm rozwijał się od wieków i był bezinteresowny – immanentnie wpisany w naszą kulturę i mentalność. Owszem, nie każdy Żyd mówi tym językiem, ale w świat, za sprawą premiera, lidera opozycji i izraelskiego parlamentu idzie jednoznaczny przekaz: obozy śmierci można było budować w Polsce, bo było na nie przyzwolenie. Z tym musimy walczyć.

Czy Jarosław Kaczyński i postawa jego partii wobec Izraela, którą pan nazywa uległością, to recepta na budowę polskiego Jobbiku?

Myślę, że taki proces się rozpoczął. Ten wstrząs wynikający z załamania się geopolityki PiS i słabość rządu to tylko przelanie czary goryczy. Wielu ludzi zwiedzionych przez Kaczyńskiego jest dzisiaj głęboko rozczarowanych również rekonstrukcją rządu, postawą premiera Mateusza Morawieckiego, ruchem ku centrum. Nasza maszyna rekrutacyjna, a mowa o młodych i perspektywicznych osobach, jest dzisiaj rozpedzona jak nigdy.

Minister Patryk Jaki, zapytany w „Faktach po Faktach” o delegalizację stowarzyszenia Duma i Nowoczesność, wspominał również o delegalizacji ONR w sytuacji, w której obóz głosiłby hasła niezgodne z prawem. To realny scenariusz?

Nie ma takiej groźby. Znam koleżanki i kolegów z ONR, wszystkie ewentualne kompromitujące materiały pochodzą sprzed dekad, nie wiążą się z niedawno zarejestrowanym stowarzyszeniem. Z mojego stanu wiedzy wynika, że podstaw do delegalizacji nikt nie znajdzie. Warunkowa wypowiedź Patryka Jakiego odbije się zatem od realnych faktów, a nie „faktów po faktach”.

Nie ma pan sobie nic do zarzucenia – mówię o personalnych powiązaniach – w całym procesie przypisywania polskim narodowcom łatki neonazistów?

Ruch Narodowy nie ma się z czego samoocenzurować, bo ci ludzie nie funkcjonowali w naszych strukturach. Jedyny łącznik w postaci jednego działacza, gdy tylko okazało się, kim jest człowiek organizujący groteskowy spód w lesie, natychmiast wystąpił z tego stowarzyszenia. Zarządziłem jednak natychmiastowy przegląd naszych mechanizmów ideowego BHP – niczego nie bagatelizujemy. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że gdyby nie znalazło się kilku idiotów urządzających po kryjomu urodziny Hitlera albo nie pojawiły się dwa banery z wątpliwymi hasłami na marszu, znalazłoby by co innego. Moim zdaniem narodowcy nie dali mediom broni do rąk – globalna antypolska kampania miała się wydarzyć, więc się wydarzyła. Mierząc tą samą miarą, wszyscy powinni codziennie mówić o ukraińskich czy niemieckich neonazistach. A jakoś milczą.

Nie milczy natomiast Departament Stanu USA, który wezwał w oświadczeniu polski rząd do wstrzymania się przed uchwaleniem ustawy, twierdząc, że narusza ona wolność słowa i podważa „efektywność” naszego sojuszu. Zabrnęliśmy pod ścianę?

O ile Izrael uruchomił wizerunkową bombę atomową, o tyle nieco bardziej stonowane słowa Amerykanów są znacznie groźniejsze w konsekwencjach. Mówimy przecież o zakwestionowaniu całego strategicznego sojuszu. Wybrnąć z tego będzie ciężko, ponieważ PiS od lat popełnia ten sam błąd, czyli jednostronne uzależnienie nas od jednego ze światowych mocarstw. Ruch Narodowy uważa, że to katastrofalny scenariusz, a geopolityka powinna być oparta na wielu wektorach. Przy naszym położeniu musimy być elastyczni, balansując pomiędzy Moskwą, Berlinem, Pekinem a Waszyngtonem. Tego centroprawica zupełnie nie rozumie, proponując

nieodwzajemnioną miłość Izraelowi i Stanom Zjednoczonym, zamiast szukać dróg realizacji interesów narodowych pragmatycznie, np. w rozmowach z krajami arabskimi czy Iranem. Dopiero w momencie konfrontacji widać, kto dla Trumpa jest realnym partnerem, a kto przystawką. Świat to widzi i dlatego się z nami nie liczy.

W tej chwili rząd Izraela zastanawia się nad odwołaniem z Polski swojej ambasador. Jak na ten ruch odpowiedzieć?

W naszych relacjach z Izraelem zawsze brakowało symetrii. Dzisiaj tamtejsi ministrowie apelują o odwołanie ambasadora z Polski, a my w tym samym czasie mianujemy swojego. Lider opozycji twierdzi, że były „polskie obozy śmierci”, a wicepremier Gowin nazywa siebie w wywiadzie „jednym z najbardziej proizraelskich polityków w Polsce”. On ma być propolski, a nie proizraelski. Ruch Narodowy nigdy nie był za pudrowaniem historii, również w stosunku do II wojny światowej. Jeśli byli zdegenerowani Polacy, trzeba o tym mówić i krytycznie patrzeć na nasze dzieje. Jednak to, co się dzieje nie od dziś przy okazji tego kryzysu, to jest realny antypolonizm znacznej części elit medialnych i politycznych, które od lat 90. oskarżają nas o współudział w Holokauście. Gdy rozmawiałem niedawno z izraelską telewizją publiczną, zapytano mnie o tezy Jana Tomasza Grossa. A w jakim państwie on został wypromowany i stał się „autorytetem”? W „Gazecie Wyborczej” w Polsce. Dopóki nie uporamy się z tą kosmopolityczną V kolumną, problem nigdy się nie skończy.

A jak potępienie nie pomoże, wieszając portrety na symbolicznych szubienicach?

Nie, wie pan, to nie o to chodzi. Trzeba zmienić standardy uprawiania debaty publicznej i po prostu wyrażnie potępić za szkalowanie własnego narodu. Tymczasem niewiele w tym temacie robimy. Polska Fundacja Narodowa to totalna porażka za grube miliony. Nawet bez tej izraelskiej nagonki oni już dawno powinni mieć gotową narrację o niemieckich obozach zagłady i teraz ruszyć z nią na cały świat. A nie zadowalać się synekurami i wstydliwie chować po kątach. Czas otrzeźwieć. I wyleczyć się raz na zawsze z filosemityzmu, równie szkodliwego i nieracjonalnego co antysemityzm.

Sędziowie nie są nadzwyczajną kastą



FOT. KRZYSZTOF ZŁUCZOWSKI / FORUM

Z sędzią Barbarą Piwnik, była minister sprawiedliwości

rozmawia Wojciech Wybranowski



WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wcześniej spekulowano, że będzie pani kandydować do Krajowej Rady Sądownictwa, a teraz mówi się, iż będzie ubiegać się pani o fotel prezesa Sądu Najwyższego. Rozważa pani taką ewentualność?

BARBARA PIWNIK: Nie rozważałam takich możliwości i nie rozważam. Co do KRS, to temat jest już zamknięty, co się tyczy Sądu Najwyższego, to chciałabym zauważyć, że żeby zostać prezesem czy to izby, czy całego sądu, najpierw trzeba zostać sędzią SN...

Jednak sędzią Sądu Najwyższego można zostać na własny wniosek.

Właśnie! I tu dotyczy pan istoty problemu. Kiedy toczyły się dość emocjonalne dyskusje na temat zmian w przepisach, także tych dotyczących Sądu Najwyższego, czasami miałam wrażenie, że nie rozmawia się o kwestiach najważniejszych. A ja zastanawiam się, czy nie warto było przy okazji poddać pod dyskusję tego, w jaki sposób powinni być wyłaniani kandydaci na sędziów SN i jaka droga zawodowa powinna prowadzić na takie stanowisko. Czy powinno to być tak, jak ma to miejsce w znowelizowanej ustawie, że to chętni do Sądu Najwyższego sami się zgłaszają? Jednak wołałabym widzieć Sąd Najwyższy – i myślę, że wielu obywateli w tym względzie się ze mną zgodzi – jako instytucję o szczególnym znaczeniu, cieszącą się wielkim prestiżem, a trzeba sobie szczerze powiedzieć, że to oznacza, iż droga do powołania na stanowisko sędziego SN powinna być inna od tej, jaka typowo wyznacza ścieżkę kariery zawodowej pomiędzy sądem rejonowym a okręgowym. Tak więc sędzią SN niekoniecznie powinna zostać osoba, która sama uważa, że jest świetnym kandydatem i w związku z tym zgłasza swoją kandydaturę na wolne miejsce, po czym poddaje się dość schematycznemu procesowi procedowania polegającemu na sporządzeniu opinii oraz głosowaniu przez KRS. W mojej ocenie takim sędzią powinien zostawać ktoś z utrwaloną pozycją zawodową, szanowany w swoim środowisku, doceniany za sprawiedliwe orzekanie, poczytujący to sobie za najwyższy honor i z tych wzglę-

dów zaproponowany przez środowisko, nie zaś ktoś, kto jest zdania, że skoro minęło np. 10 czy 15 lat jego pracy, to należy mu się awans.

Na razie mamy jednak wybory do Krajowej Rady Sądownictwa tych sędziów, którzy sami zgłosili swoje kandydatury. Osiemnaście osób. Część mediów mówi, że tak niewielka liczba kandydatów to dowód na bojkot nowej KRS przez środowisko sędziowskie.

Cała ta sytuacja sprawia mi osobistą przykrość. Bazując na swoim wieloletnim doświadczeniu i funkcjonując w tym środowisku, mogłam przypuszczać, że tak się stanie, także w nawiązaniu do tego, o czym przed chwilą mówiłam. Z moich spostrzeżeń wynika, że raczej rzadko ci, którzy najwięcej pracują, którzy postrzegają ten zawód jako służbę, zgłaszają swoje kandydatury. Zakładałam, że osoby, które nie będą obawiać się ostracyzmu środowiska czy negatywnego postrzegania w otoczeniu, nie będą zainteresowane kandydowaniem tylko dlatego, iż nie są tymi, którzy szukaliby dla siebie poparcia. Miałam jednak nadzieję, i tak odczytuję zapis ustawy, że jeżeli ustawodawca stworzył możliwość zgłaszania kandydatów do

Zamiast tej innej perspektywy, o której pani mówi, były naciski i pogrożki. Organizacje sędziowskie wzywały do bojkotu wyborów do KRS, a opozycyjna PO straszyla poważnymi konsekwencjami sędziów, którzy będą chcieli zastąpić odwołanych prezesów sądów. Czy to nie uderza w niezawisłość sędziów?

Tak jest! I dlatego pozwalałam sobie publicznie mówić, że w tym przypadku zgłaszam zdanie odrębne. Jak to określałam, mając nadzieję, że trafi to do wyobraźni: „Apeluję do apelujących, by formułując takie wezwania, pomyśleli, jak ich treść odbierze zwykły obywatel”. Czy nie pomyśli sobie, że skoro sędziemu można powiedzieć: „Nie rób tego!”, „Zrób tak!”, to w sytuacji, gdy dotyczy to jego istotnej życiowo-zawodowej decyzji, gdy przyjdzie do podejmowania decyzji w sferze orzekania, też można do danego sędziego zaapelować albo go nastraszyć. Sędzia powinien być szczególnie uczulony na to, by każdą ważną decyzję, również życiowo-zawodową, podejmować samodzielnie, na swoją odpowiedzialność. Ja już nawet nie myślę o tych, którzy z tego czy innego powodu mogą sobie wyobrażać swoją przyszłość źle, gdy się zachowają inaczej, niż tego oczekują od nich politycy czy stowarzy-

Sędzia powinien być szczególnie uczulony na to, by każdą ważną decyzję, również życiowo-zawodową, podejmować samodzielnie

KRS przez grupę sędziów, to jednocześnie zagwarantował środowisku sędziowskiemu możliwość wyłonienia takich osób, które co prawda do tego pierwszego szeregu się nie pchają, ale jednocześnie są znane z ciężkiej i rzetelnej pracy. Jeżeli zgodnie z ustawą kandydata do KRS mogłaby zgłosić grupa 25 sędziów, to oczekiwałabym, że to nie sędzia, który widzi w tym możliwość awansu, zacznie szukać dla siebie poparcia i zbierać podpisy, tylko że nasze środowisko, po burzy mózgów, wyłoni, wskaże tych najbardziej zasadniczych, doświadczonych, najbardziej niepokornych i proponuje im kandydowanie, udzielając dużego poparcia. W sytuacji, gdy obywatele słyszą tyle gorzkich słów o możliwości zagrożenia niezawisłości sędziowskiej, to właśnie takie przedłożenie marszałkowi Sejmu kandydatów o silnej pozycji społecznej i zawodowej stwarzałoby całkiem inną perspektywę.

szenia sędziowskie, ale zastanawiam się nad tymi, którzy się pod takimi apelami podpisują. Niech odpowiedzą na pytanie: „Czy ty jako sędzia chciałbyś, żeby ktoś na ciebie w ten sposób wywierał presję?”

W jednym z wywiadów powiedziała pani: „Wreszcie zaczęliśmy mówić o potrzebie reformy wymiaru sprawiedliwości”. Dlaczego w samym środowisku sędziowskim nie zajęto się tym problemem wcześniej?

To jest tak jak w tej sztuce: „Chodźmy, chodźmy i nikt nie idzie”. Problem jest złożony. Wydaje mi się, że przede wszystkim dostrzegając potrzebę reform, zwłaszcza gdy mówią o tym członkowie sędziowskich stowarzyszeń, należałoby przedstawiać społeczeństwu publicznie to, co wymaga zmian, to, jak należy je przeprowadzać. Trzeba być w przestrzeni społecznej obecnym, by obywatel zdzierający się z rzeczywistością w sądzie

■ jednocześnie wiedział, że sędziowie nie zamknęli się w swojej wieży z kości słoniowej, uważając, że wszystko jest wspaniale, a oni nie podlegają krytyce...

Czyli, jak to ujęła pewna pani sędzia, że „są nadzwyczajną kastą”?

Tak. Trzeba poprzez działanie pokazać, że nie są nadzwyczajną kastą, że dostrzegają problemy, które niepokoją społeczeństwo, i w debacie publicznej proponują, jak je naprawić. Natomiast tego nie było i nie ma. A jeżeli nawet stowarzyszenia sędziowskie proponowały zmiany, to najczęściej skupiały się one wokół sytuacji samego sędziego w zawodzie, a nie tego, co należałoby dać obywatelowi, jak pełnić swoją służbę, by była ona dla dobra tego obywatela. Wielokrotnie proponowałam i proponuję swoim kolegom sędziom, gdy jestem zapraszana do mediów czy na publiczne wystąpienia: „Oddam ci to miejsce, swój czas, idź, powiedz, co myślisz, weź udział w dyskusji, nie chowaj się za kurtyną niedostępności”. I wie pan co? Nie znalazłam nikogo, kto by zareagował: „Dobrze, pójdę i podyskutuję”. Nie ma chętnych.

Jest – oprócz pani – jeden sędzia, który chętnie zabiera głos w sprawach dotyczących środowiska sędziowskiego. Ma zdanie najczęściej odmienne od pani. To sędzia Waldemar Żurek, który niedawno sugerował, że po reformie sądownictwa sądy przestają być wolne, niezależne, sędziowie stają się zakładnikami polityków.

A czy ja wyglądam na kobietę zniewoloną? (Śmiech) Wolności mamy tyle, ile sami wywalczymy. Wie pan, niedawno robiąc porządki, sięgnęłam do starych wywiadów ze mną i przeglądając je, stwierdziłam, że pod wszystkim, co kiedyś, nawet 20 lat temu, powiedziałam, mogę się dzisiaj nadal podpisać. A to, że nadal mogę wyrażać swoje poglądy, to, że pan chce ze mną rozmawiać, oznacza, iż jestem wolnym człowiekiem w wolnym kraju i niezawisłym sędzią wykonującym swój zawód.

Gdyby miała pani w kilku zdaniach wskazać zalety i wady reformy wymiaru sprawiedliwości...

A dużo ma pan czasu? (Śmiech). Z zaletami jest trochę gorzej, ale tak, jak powiedziałam, nie można przekreślać wszystkiego, co dotychczas zrobiono, bo plusem jest już to, że zaczęła się dyskusja na temat potrzeby zmian w wymiarze sprawiedliwości. Chyba największym problemem będzie to, że nawet jeśli obecnie zapoczątkowano

reformy, które w dalekiej perspektywie mogą przynieść pewne efekty – zarówno dobre, jak i niedobre – to jednak nie są to zmiany, które w swojej codzienności odczuje obywatel korzystający z pracy sądu. Obawiam się tego, że za pół roku czy za rok ludzie będą jeszcze bardziej rozczarowani. Dyskusja o reformach, wypowiedzi o tym, że będą zmiany, dla człowieka, który czeka na rozstrzygnięcie sprawy w sądzie, mogą być postrzegane przez pryzmat tego, iż „wkrótce mój problem będzie rozwiązany szybko, w sposób bardziej zrozumiały”. Tymczasem tak się nie stanie. Dlatego często przestrzegam: przyjdą rozczarowania, będzie wolniej, zwykli ludzie nie odczują zmiany na lepsze. Gdy mam okazję publicznie mówić na ten temat, podkreślam, żeby ci, którzy pracują nad reformami, informowali, że niezależnie od zmian w Sądzie Najwyższym czy KRS pracują również nad poprawą codziennego funkcjonowania sędziego, żeby padały konkrety dotyczące planowanych zmian, by ludzie wiedzieli, czy przygotowane są, a jeśli tak, to jakie, zmiany w procedurach, w kognicji sądów, zmiany związane z dochodzeniem do zawodu sędziego. Dzisiaj tego nie widzę, nie słyszę, nie zauważam skupienia się reformatorów nad tymi trudnymi, wymagającymi ogromnego doświadczenia i rzemieślniczej dokładności propozycjami zmian.

stron – cóż, kiedy mówię także o drodze dochodzenia do zawodu sędziego, mam na myśli również konieczność innego rodzaju szkolenia niż obecnie, w tym pokazywania aplikantom tego, że dla sędziego nie może mieć żadnego znaczenia, czy staje przed nim człowiek bezdomny, mieszkający np. w kanałach, a mieliśmy takie przypadki adresów doręczeń: „taki a taki, kanał przy Dworcu Centralnym”, czy przyjdzie człowiek z pierwszych stron gazet. Dla jednego i drugiego sędzia ma obowiązek mieć tyle samo czasu, tyle samo cierpliwości oraz uwagi i tak samo jasno wyłożyć mu argumenty uzasadniające orzeczenie. Zawód sędziego musi być postrzegany jako służba, a orzekający sędzia musi mieć odwagę podejmowania trudnych decyzji zarówno w odniesieniu do biednego człowieka, trochę pogubionego w życiu, przetrąconego przez los, jak i tego młodego, pięknego celebryty z okładek kolorowych gazet.

A jak ocenia pani pomysł stworzenia w Sądzie Najwyższym specjalnej izby, instancji, która rozpatrywałaby odwołania obywateli od krzywdzących ich zdaniem wyroków sądów niższej instancji?

Okropnie trudne zagadnienie. Po pierwsze, uważam to za niezbyt szczęśliwy pomysł, bo w ten sposób rozbudza się nadzieje u wielu ludzi, że coś się

Jestem wolnym człowiekiem w wolnym kraju i niezawisłym sędzią wykonującym swój zawód

Dla osób, które muszą w różny sposób korzystać z pracy sądów, największym problemem jest chyba przewlekłość postępowań. Niektórzy mówią o wprowadzeniu zasady rozpoznawania sprawy „day after day”. I zaraz po tym wskazują na bardzo różny sposób traktowania przez sądy tych znanych, wpływowych i tych z małego miasteczka.

Powiem coś niepopularnego, ale przed rokiem 1989 takie orzekanie „dzień po dniu” aż do zakończenia postępowania w większości stosowano w ówczesnych sądach wojewódzkich w poszczególnych sprawach. Tyle że mówiąc o przewlekłości postępowań, trzeba wziąć pod uwagę wiele okoliczności, w tym słabość organów ścigania i – w przypadku karnych spraw – dramatycznie niski poziom pracy na etapie postępowania przygotowawczego. Natomiast co do nierówności w traktowaniu

zmieni, jeśli chodzi o orzeczenia, które już zapadły. A tak się najczęściej nie stanie. Obawiam się, że jeśli te przepisy wejdą w życie, to obywatele z niezadowolaniem stwierdzą, iż np. finał przed sądem znajdują nie sprawy biednego, szarego obywatela, tylko kogoś, kto miał wystarczająco dużą siłę przebicia, by swoją sprawą zainteresować środowiska uprawnione do przedłożenia danej skargi przed SN. A druga rzecz – i tu wracamy do punktu wyjścia – według mnie przede wszystkim powinniśmy dokładać wszelkich starań, by nie dochodziło do sytuacji, w której po wyzerpaniu przewidzianych prawem możliwości zaskarżenia orzeczenia człowiek dalej czuje się skrzywdzony, oszukany, lekceważąco potraktowany przez państwo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczyt marzeń



Łukasz Zboralski

Nanga Parbat to historia Mackiewiczza, który przeszedł drogę od narkomana do himalaisty. Jednak także Bieleckiego, którego przed laty obwiniono o nieudzielenie pomocy kolegom. Jest i trzecia historia – ponownej akcji ratunkowej dla Polaka

Tomasz Mackiewicz próbował zdobyć Nanga Parbat siedem razy. Na zdjęciu: podczas wspinaczki w wyprawie w 2014 r. FOT. MICHAŁ OBRZYCKI/FORUM

W znakomitym dokumencie o Jerzym Kukuczce z 2014 r. („Jurek”) pojawia się rozmowa z Reinholdem Messnerem.

Człowiek, który wygrał wówczas rywalizację z Polakiem i jako pierwszy zdobył koronę Himalajów, mówi: – Jeśli ktoś umiera w łóżku, na zawał serca, to lekarz stwierdza zgon i wszystko wiadomo. A my umieramy daleko, prawie jak na Księżycu. I ludzie snują wtedy różne domysły.

To dość dobrze oddaje atmosferę, z którą mieliśmy do czynienia od momentu, w którym gruchnęła wiadomość o kłopotach pary zdobywającej zimą szczyt Nanga Parbat – Francuzce Élisabeth Revol i Polaku Tomaszu Mackiewicz. A co naprawdę stało się na szczycie?

ZAMARZAŁ NA MOICH OCZACH

Ocalona Francuzka opowiedziała w wywiadzie dla agencji AFP o końcówce wspinaczki, która zakończyła się wzywaniem pomocy. Przyznała, że na atak szczytowy z Mackiewiczem zdecydowali się 26 stycznia mimo późnej pory. Była już godz. 17.15. Wchodzenie na wierzchołek zabrało im mniej więcej 45 minut. Udało się. Jednak euforia trwała bardzo krótko. – Tomek powiedział mi: „Nic nie widzę”. Zaczęliśmy schodzić z góry. Szło nam to jednak bardzo ciężko. Tomek się na mnie opierał, nie mogliśmy poruszać się zbyt szybko – relacjonowała Revol. – W pewnym momencie nie mógł oddychać, zdjął z twarzy maskę zabezpieczającą przed niską temperaturą i zaczął na moich oczach zamarać. Jego nos zrobił się po prostu biały. Tak samo ręce.

Para nie była w stanie dotrzeć do obozu, więc schowała się pod kopułą szczytową. Tam spędzili noc. O świcie Revol była już przerażona stanem Mackiewicza. Miał objawy ostatniej fazy choroby wysokościowej. – Z jego ust stałe ciekła krew – opisywała himalaistka. To wtedy zdecydowała się poprosić o pomoc. Twierdzi, że od organizatorów akcji ratunkowej otrzymała polecenie zejścia w dół na poziom 6 tys. m n.p.m. i informację, iż Tomka zabierze helikopter – z poziomu, na którym zostaje. Powiedziała mu o tym, ale nie ma pewności, czy jeszcze miał świadomość i rozumiał, co mówi.

Francuzka zabezpieczyła partnera i zaczęła schodzić. Nie wzięła ani śpiwora, ani namiotu, bo była pewna, że pomoc nadleci wkrótce. Jednak okazało się, że



Po brawurowej akcji ratunkowej Denis Urubko (z lewej) i Adam Bielecki (z prawej) ocalili towarzyszkę Mackiewicza – Élisabeth Revol. FOT. ADAM BIELECKI/FACEBOOK

musi spędzić jeszcze jedną noc na górze. Wówczas – jak przyznała – zaczęła bać się nawet bardziej o siebie niż o Mackiewicza. Miała halucynacje. Wydawało się jej, że ktoś podał jej gorącą herbatę i w podziękowaniu za to oczekiwał jej buta. Zdjęła but i przez pięć godzin trzymała stopę na mrozie (dziś lekarze walczą o jej stopę i palce obu rąk – jednak szanse na ocalenie przed amputacją są niewielkie).

Gdy uzmysłowiła sobie, że czekać może ją trzecia noc, mimo odmrożeń i wycieńczenia postanowiła dojść do trzeciego obozu na wysokości 6,3 tys. m n.p.m. Tego wieczora zobaczyła latarki czołówki – to wówczas dostrzegł ją Denis Urubko, który z Adamem Bieleckim i dwoma innymi wspinaczami wyruszyli spod K2 na ratunek. Po informacji, że Mackiewicz nie jest w stanie się poruszać, ocenili, iż nie mają szans go sprowadzić. Zeszli z Revol do miejsca, z którego zabrał ich pakistański śmigłowiec.

UPRZEDZENIA I HONOR

Urubko i Bielecki dokonali wyczynu, który światowa prasa określiła jako „heroizm”. Pokonywali trudną drogę Kinshofera od godz. 17.30 do 2 w nocy przy silnym wietrze i odczuwalnej temperaturze ok. –40 st. C w tempie dużo szybszym niż himalaiści wchodzący tamtędy w dzień i przy lepszych warunkach. Ekspersi określali to tempo jako „sprinterskie”.

Ta akcja w przypadku Adama Bieleckiego ma znaczenie podwójne. W 2013 r. był

jednym z czterech Polaków, którzy zimą zdobyli Broad Peak (8051 m n.p.m.). Na szczyt z obozu szturmowego wchodzili pojedynczo. I tak samo schodzili. Z ogromnym trudem. Bielecki i Tomasz Małek dotarli do obozu, z którego atakowali wierzchołek, a potem niżej – do bazy. Ze szczytu nie zeszli już nigdy Maciej Berbek i Tomasz Kowalski. Jeszcze następnego dnia rano był z nimi kontakt, byli wyczerpani. Pakistański zespół ratunkowy, który dotarł do przełęczy, nie znalazł Berbeka, choć zauważono jego ślady. Kowalski nie dotarł nawet do tego miejsca. Potem poszukiwania wstrzymała pogoda. Po dwóch dniach kierownik wyprawy – Krzysztof Wielicki – uznał, że dalsze poszukiwania nie mają sensu.

Wtedy w środowisku wybuchała awantura. Jak zawsze w górach w takich sytuacjach poszło o to, czy najważniejsze to przeżyć czy pomagać słabszym, biorąc pod uwagę, że raczej zginie się wtedy razem. Chociaż ocalało dwóch, to na Bieleckim skupiła się cała złość. Publicznie oskarżano go o zostawienie przyjaciół. Tłumaczył, że po prostu się bał, bo były to chwile na krawędzi walki o własne życie. Uznał, że jedyne, co może zrobić dla kolegów, to zejść i wezwać pomoc przez radiotelefon. Jego wyjaśnienia jednak odrzucano. Powstał nawet obciążający go raport Polskiego Związku Alpinizmu.

Taka sama rysa jest na wizerunku Urubki. I sam ją opisał we własnej książce „Skazani na góry”. To tragedia, do której doszło podczas zdobywania Szczytu Lenina (7134 m n.p.m.) w Pamirze. W czte-

roosobowym zespole jako najsilniejszego do ataku szczytowego wybrano Urubkę. Poszedł. A kiedy wracał, okazało się, że towarzysze też atakowali wierzchołek. Prosił, by na nich poczekał. Odmówił. Wróciło tylko dwóch, jeden zginął.

Wydaje się, że po błyskawicznej nocnej akcji na Nanga Parbat już nikt nie może z wyrzutem patrzeć im w oczy. Tym bardziej że po uratowaniu Francuzki zgodzili się iść jeszcze raz, by szukać Mackiewicza.

MIAŁA BYĆ DRUGA AKCJA

Po uratowaniu Élisabeth Revol powstała nieoficjalna grupa #TomekMackiewicz43, współpracująca z bliskimi polskiego wspinacza, która próbowała organizować dla niego pomoc.

„Inspiracją do podjęcia przez nas jeszcze jednej próby, jeszcze jednego wysiłku dla ratowania Tomasza Mackiewicza była wspaniała akcja ratunkowa zespołu himalaistów z narodowej wyprawy na K2: Adama Bieleckiego, Denisa Urubki, Jarosława Batora i Piotra Tomali. To, co zrobili – przekroczenie własnych ograniczeń fizycznych, żeby ratować drugiego człowieka – zasługuje na najwyższe uznanie i nie ma takiej nagrody, której nie powinni dostać za swoją postawę. Ale najważniejsze, że uratowali Élisabeth Revol, a nam przywrócili wiarę i nadzieję” – tłumaczyli w komunikacie w imieniu grupy Michał M. Lisiecki, prezes MPNG Polskie Media, i Bartosz Czernecki.

Jeszcze w nocy z 28 na 29 stycznia przedstawiciele grupy przez menedżera Adama Bieleckiego, Janusza Niedbała, przekazali wiadomość o inicjatywie polskim himalaistom. Rano 29 stycznia odebrali SMS, który dawał wiele nadziei: „Informacja od Adama i chłopaków: są gotowi iść ratować Tomka”.

Himalaiści zastrzegali, że muszą być spełnione trzy warunki, aby mogli ruszyć z pomocą po raz drugi. Po pierwsze, helikopter musiałby wysadzić ich na wysokości 6500–7000 m. Po drugie, muszą być warunki pogodowe, które temu nie przeszkadzą. I po trzecie, to wszystko musi wydarzyć się w ciągu 24 godzin.

Zaangażowani w działania grupy starali się poruszyć niebo i ziemię, żeby akcja się rozpoczęła. Jak ujawnili, pomagali im m.in. minister sportu Witold Bańka, Tomasz Fill, dyrektor z KPRM, gen. Gro-mosław Czempieński, gen. Waldemar Skrzypczak, płk Piotr Gąstał, wiceminister Bartosz Cichocki z MSZ, wiceminister Tomasz Szatkowski z MON.

Jeszcze 29 stycznia przedstawiciele grupy spotkali się z pracownikami departamentu konsularnego MSZ i po tym spotkaniu polski ambasador w Pakistanie prosił ambasadora USA o sprawdzenie, czy w akcję ratunkową mogą zaangażować się amerykańscy wojskowi.

Ostatecznie wszystko przekreśliła pogoda – utrzymujące się w rejonie Nanga Parbat i K2 silne wiatry oraz pojawiające się burze śnieżne i niski pułap chmur, który uniemożliwiał lot na taką wysokość, o jakiej mówili gotowi do ratowania Mackiewicza himalaiści.

„Znając rzeczywiste ograniczenia miejsca, warunków oraz możliwości ludzi, którzy mogliby podjąć ten wysiłek, mamy świadomość, że gdyby udało się przeprowadzić akcję w 24 godziny od rozpoczęcia naszych działań, od tego ważnego, kluczowego SMS-a – niewykluczony byłby jej sukces i uratowanie życia człowieka” – napisali w komunikacie Lisiecki i Czernecki.

Grupa nadal działa. Chce – dzięki zdobytej wiedzy – pomóc stworzyć schemat działań, które będą podejmowane w podobnych akcjach, gdy potrzeba będzie niesienia pomocy Polakom.

OD ĆPIANIA PRZEZ INDIE DO HIMALAJÓW

Tomasz Mackiewicz wciąż jest na górze, na ok. 7200 m. I, niestety, wygląda na to, że na Nanga Parbat zostanie już na zawsze. Siedem razy próbował zdobyć ten szczyt zimą. Udało się, ale koszt był ogromny – życie.

Jego droga w Himalaje nie była prosta. Największy życiowy zakręt przydarzył mu się w czasach szkoły średniej w Częstochowie. To tam sięgnął po narkotyki i rozpoczął szybką wędrówkę na dno, do pozycji bezdomnego ćpuna. I wydawało się, że z tego się już nie podniesie. Z pierwszej wizyty w Monarze, do którego zawiozła go siostra, nic nie wyszło. Na odwyk przyjechał jednak po raz drugi, kiedy sam uznał, że chce z tym skończyć. Udało się, przetrwał.

Był wolny od nałogu, ale wciąż niespokojny duchem. Ruszył w świat. A dokładnie – zatrzymywał okazje i dotarł do Indii. Nie był jednak, jak to dziś modne, młodym backpackerem, który nagrywa swoje podróże kamerką i próbuje ludziom tłumaczyć świat na YouTube. W Indiach przyciągnął go misyjny ośrodek dla dzieci chorych na trąd. Postanowił pomóc i uczyć maluchy angielskiego. Został tam pół roku.

Mówił potem w mediach, że to tam, w Indiach, z daleka patrzył na ośmiotysięczniki i zapragnął się wspiąć. Najpierw zdobył najwyższą górę w Kanadzie. I już od tej wyprawy pokazał własny styl. Zamiast szukać sponsorów i dopieszczać szczegóły ekspedycji, postawił na publiczne zbiórki. W pewien sposób powrócił do lat 80., gdy polscy alpinisci mogli tylko przyglądać się bogatym wyprawom Messnera, sami malując kominy, by zdobyć pieniądze na wyjazd. Skoro postawił na samodzielność, to musiał tak sobie radzić, żeby wyszło taniej. W związku z tym część lin kupował np. w zwykłym sklepie rolniczym. A potem część sprzętu po prostu rozdawał w himalajskich wioskach, a resztę sprzedawał, by uzbierać na powrót do kraju. Ostatnio wracał do niezbyt łatwego życia. Jego firma splajtowała. Miał problemy finansowe.

Przed Nanga Parbat nie zdobył żadnego innego ośmiotysięcznika, a górę tę próbował zdobyć zimą, bo... wtedy zezwolenie kosztowało najmniej. Blisko sukcesu był już w 2013 r. Wtedy na wysokości ponad 7000 m w śnieżnej jamie przetrwał cztery noce. – Jeśli kiedyś nam się uda, to w dużej mierze będzie to coś, co zrobimy dla Zawady i jego chłopaków, którzy próbowali. Dla wszystkich – mówił w wywiadzie dla Sport.pl.

Chciał być pierwszym, który wejdzie tam zimą. Jednak wyprzedzili go Włoch Simone Moro, Pakistańczyk Muhammad Ali oraz Hiszpan Alex Txikon, którzy weszli w lutym 2016 r. Z tą informacją trudno było mu się pogodzić i chyba wewnętrznie nie pogodził się z nią nigdy. Był pierwszym, który publicznie zakwestionował prawdziwość tego sukcesu. I to mimo zdjęć i nagrań z wierzchołka, które miał Moro. Oskarżał Włocha nawet o to, że dzwonił do pakistańskich służb, aby uniemożliwiły Polakowi wspinanie się na Nanga Parbat. Moro nazwał jego zachowanie żalosnym, ale chyba rozumiał rozżalenie Mackiewicza. – Prawdopodobnie wchodząc na szczyt, tym samym zniszczyłeś czyjeś marzenie dotarcia tam, gdzie sam dotarłeś. Jedynym sposobem kontynuowania realizacji tego marzenia jest zatem zaprzeczenie sukcesowi innych – tłumaczył Moro w rozmowie z Portal-gorski.pl w 2016 r.

Tomasz Mackiewicz zdobył swój szczyt marzeń jako drugi. Gdy Jerzy Kukuczka zdobył Koronę Himalajów jako drugi, Reinhold Messner wysłał do niego krótki telegram: „Nie jesteś drugi, jesteś wielki”.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Portal Wp.pl napisał o panu: „Zamiłowanie do polowań to jedyne, co łączy obecnego ministra środowiska i jego poprzednika. Trzymając się łowieckich porównań, podczas gdy były szef resortu na przeciwników politycznych szarżował niczym dzik, Kowalczyk przypomina raczej żbika, znanego z ostrożności i sprytu”. Jak się panu podoba takie porównanie?

HENRYK KOWALCZYK: Z moim poprzednikiem nie łączy mnie zamiłowanie do polowań. Nie jestem myśliwym. Autor tekstu, który pan cytuje, sugerował się zdjęciem, na którym widać, jak wspólnie z myśliwymi biorę udział w obchodach Hubertusa. To jednak nie tylko święto myśliwych, lecz także leśników i rolników. Nie odmówiłem w nim udziału, bo szanuję pracę leśników i rolników. Bywam też na świętach lekarzy. I lekarzem od tego się nie staję (śmiech).

Tak czy inaczej jest pan w pewnym sensie człowiekiem orkiestrą. Sprawował pan już kilka funkcji w rządzie PiS...

Najwięcej o samym procesie legislacji nauczyłem się, piastując stanowisko przewodniczącego Komitetu Stałego Rady Ministrów. Przez ponad rok procedowaliśmy prawo wodne, do którego zgłoszono ponad 600 poprawek i uwag. To dało mi ogromną wiedzę o problemach, którymi zajmuje się także Ministerstwo Środowiska...

Jedni mówią o panu „Szyszko light”, inni nazywają pana „człowiekiem dialogu”. Podobnie jak pozostali beneficjenci rekonstrukcji rządu jest pan bardziej lubiany niż poprzednik. Czy to zmiana nie tyle jakościowa ile wizerunkowa?

Uważam, że każdy, kto pełni jakąkolwiek funkcję publiczną, jest odpowiedzialny za godzenie różnych grup interesów. Polityka to dążenie do kompromisu. Nie chodzi o to, by chronić jedną grupę, ale by wypracować złoty środek. Taki cel stawiam sobie w ministerstwie.

Czy uda się zawrzeć jakiś korzystny dla Polski kompromis z Brukselą w sprawie Puszczy Białowieskiej?

W tej chwili sytuacja jest o tyle trudna, że mamy postanowienie Trybunału Sprawiedliwości UE i bezdyskusyjnie musimy je uszanować. Natomiast ostateczna decyzja Brukseli w sprawie Puszczy Białowieskiej jeszcze nie zapadła. Postanowienie dotyczące wstrzymania aktywnej gospodarki leśnej do czasu podjęcia ostatecznej decyzji. Wycinka dopuszczona jest jedynie w celach zapewnienia bezpieczeństwa, likwidacji zagrożenia zdrowia i życia. Teraz będziemy roz-



Z Henrykiem Kowalczykiem, ministrem środowiska rozmawia Maciej Pieczyński

Człowiek też jest częścią środowiska

mawiać na temat końcowych zaleceń Trybunału. Jakiegokolwiek by one były, dostosujemy się do nich.

Co próbuje pan wynegocjować w rozmowach z Brukselą?

Chcemy, aby została uwzględniona bardzo destrukcyjna działalność kornika drukarza, który dosłownie zjada Puszczę Białowieską. Posłużymy się w tej sprawie opiniami ekspertów w dziedzinie leśnictwa. Ważne jest, aby wyważyć proporcję między ochroną bierną a ochroną aktywną. Organizacje ekologiczne postulują: „Zostawmy Puszczę w spokoju, nie ruszajmy jej, niech ją kornik zje, a Puszcza sama odtworzy się za kilkaset lat”. Leśnicy proponują, by jednak już teraz chronić drzewa. Będziemy się starali znaleźć kompromis między tymi dwoma stanowiskami.

A może wstrzymanie wycinki było jednak błędem? Musieliśmy ulegać?

Przyczyną tej sytuacji była decyzja podjęta w 2014 r. przez rząd PO-PSL. Ówczesny minister środowiska zgodził się na to, by sześciokrotnie ograniczyć gospodarkę leśną w Puszczy Białowieskiej. W efekcie leśnicy nie nadążali walczyć z kornikiem, bo musieli by przekraczać limity wycinki. W 2016 r. minister Szyszko chciał nie tyle nawet powrócić do poprzedniego stanu, ile dwuipółkrotnie zwiększyć pozyskiwanie drewna, co i tak oznaczało, że tego drewna pozyskiwano by o wiele mniej niż przed zmianami. I to spowodowało nagonkę na resort, a w efekcie



FOT. MIŁOŚ WISNIEWSKI/PIRUS BIZNESU/FOTODISK

interwencję Komisji Europejskiej i wyrok Trybunału Sprawiedliwości.

Gdybyśmy nie zastosowali się do wyroku, może byłaby większa szansa, by uratować puszcę przed kornikiem...

Niezastosowanie się do wyroku spowodowałoby dalsze reperkusje. Bylibyśmy zmuszeni płacić 100 tys. euro kary dziennie. Dlatego, zamiast bojkotować wyrok, postanowiliśmy szukać porozumienia z Komisją i Trybunałem w sprawie możliwości ochrony puszczy...

A może by podzielić Puszcę Białowieską na trzy równe części: rezerwat, park narodowy i część dostępną dla gospodarki leśnej?

Można to rozważyć, ale nie chciałbym w tej chwili proponować konkretnych rozwiązań. Chciałbym, żeby na ten temat wypowiedzieli się specjaliści. Zamierzamy zaprosić do dyskusji na temat Puszczy Białowieskiej ekspertów nie tylko polskich, lecz także zagranicznych.

A gdzie w tym wszystkim interes okolicznych mieszkańców, którzy żyją z gospodarki leśnej? Sam pan przyznał w jednym z wywiadów, że decyzja o przerwaniu wycinki nie jest dla nich korzystna.

Zgadza się, środowisko to nie tylko drzewa i zwierzęta. Człowiek też jest częścią środowiska. O jego potrzebach nie możemy zapominać. Na przestrzeni setek lat wokół Puszczy Białowieskiej ukształtowała się tradycja konkretnych dziedzin gospodarki uzależnionych od korzystania z drewna czy runa leśnego. Puszcza to część dziedzictwa nie tylko przyrodniczego, lecz także kulturowego...

Co zatem z tymi dziedzinami gospodarki?

Niestety, postanowienie Trybunału Sprawiedliwości UE jest takie, a nie inne. Z wyrokami nie zawsze trzeba się zgadzać, natomiast zawsze trzeba je szanować.

Powiększenia Białowieskiego Parku Narodowego ministerstwo nie planuje?

To też może być przedmiotem rozmów. Jest w puszczy pewien obszar referencyjny, czyli taki, który pozostawia się bez ingerencji, i o część tego obszaru park narodowy może być powiększony. Wszystko to jednak zależy od rezultatów konsultacji zarówno z leśnikami, jak i ekologami.

Stwierdził pan, że należy zwiększyć nadzór nad Polskim Związkiem Łowieckim, aby tym sku-

teczniej realizować politykę państwa w zakresie łowiectwa. Rekomenduje pan, by łowczy krajowy był mianowany przez ministra środowiska, nie zaś wybierany przez PZŁ, jak to było dotychczas. Czy konieczna jest taka centralizacja?

Polski Związek Łowiecki nie jest zwykłym oddolnym stowarzyszeniem, grupą pasjonatów, którzy mogą robić wszystko, na co mają ochotę. Po pierwsze, są monopolistami, bo nie można polować, nie należąc do PZŁ. Po drugie, korzystają ze zwierzyny łownej, która jest własnością Skarbu Państwa, a więc powierza się im pewną część własności państwowej. Tymczasem w tej chwili PZŁ jest tak naprawdę poza kontrolą resortu środowiska. Decydowanie o konkretnych planach łowieckich, choćby w kontekście afrykańskiego pomoru świń, powinno być w gestii rządu. Zresztą tak naprawdę to będzie realizacja zaleceń Najwyższej Izby Kontroli, która stwierdziła, że jest zbyt słaby nadzór nad Polskim Związkiem Łowieckim.

Polski Związek Łowiecki będzie określał zasady odstrzału zwierząt w parkach narodowych. Ekolodzy obawiają się, że myśliwi de facto wejdą do parków narodowych.

To fałszywe zarzuty. Polski Związek Łowiecki nie będzie określał zasad odstrzału w parkach narodowych. To minister środowiska zatwierdza plany ochronne parku i w ramach tych planów, które są proponowane przez zarząd parku, a nie przez myśliwych, są też m.in. zalecenia dotyczące liczby zwierzyny. Myśliwi absolutnie nie mają żadnego wstępu do parku narodowego. Chyba że w jakichś nagłych sytuacjach zostaną poproszeni, by pomóc w redukcji zwierzyny, ale wówczas polują pod specjalnym nadzorem pracowników parku. Absolutnie myśliwi żadnej władzy nad terenami parków narodowych nie mają i nie będą mieć.

Osoby przeszkadzające w polowaniu mają być karane grzywną.

Ustawa w tej sprawie wciąż jest procedowana. Kara grzywny będzie stosowana jedynie w przypadku, gdy ktoś utrudnia w sposób celowy, zorganizowany polowanie zbiorowe. To jest przepis podyktowany względami bezpieczeństwa. Myśliwy będzie mógł wezwać policję i to ona oceni, czy utrudnienie jest celowe, czy przypadkowe. Jeśli jadę rowerem i grupa osób specjalnie zastąpi mi drogę, nie pozwalając jechać dalej, to mam prawo zadzwonić na policję. Analogicznie powinno być w przypadku polowań.

Czy jednak teren takiego zbiorowego polowania będzie ogrodzony?

Teren powinien być oznakowany, bo dopiero wówczas można mówić o celowym przeszkadzaniu. Jeśli ktoś zbiera grzyby, jest na spacerze i przypadkiem spotyka myśliwego, to skąd on mógł wcześniej wiedzieć, że w tym miejscu odbywa się polowanie? Dlatego indywidualne polowania nie będą w tym względzie objęte żadną ochroną. Natomiast zbiorowe, ze względu na bezpieczeństwo, będą wymagały oznakowania.

W jaki sposób?

Na wszystkich wejściach na teren polowania będzie się stawiać tabliczki. Chcemy rozporządzeniem ustalić, jak taka tabliczka powinna wyglądać, żeby nikt nie mógł mieć wątpliwości...

Jednak tabliczka może nie wystarczyć, jeżeli teren nie będzie ogrodzony.

Nie będziemy grodzić lasu taśmą. Tablice będą ustawiane przy wjeździe do lasu. Te ograniczenia nie będą dotyczyć rolników, którzy wykonują prace polowe, choćby przebywali na terenie polowania zbiorowego, czy leśników, którzy pracują przy gospodarce leśnej, a także tych, którzy korzystają z lasu – grzybiarzy, zbieraczy jagód, rybaków, którzy na stawach hodowlanych na terenie polowania zakładają sieci albo dokarmiają ryby. To bardzo ważne, bo w dotychczasowych przepisach te kwestie nie są wyjaśnione.

Czy jest jakaś szansa powrotu do „lex Szyszko”? Obecnie, jeśli ktoś chce ścinać zagrażające bezpieczeństwu drzewo na własnej posesji, musi ubiegać się o pozwolenie... Po co ta biurokracja?

Sama idea „lex Szyszko” była słuszna. Dochodziło jednak do nadużyć, wycinano drzewa pod deweloperkę...

Przecież państwo może po prostu nie sprzedawać deweloperom lasów, jeśli nie chce, by zostały wycięte. Skoro ktoś kupuje ziemię, to powinien mieć prawo tę ziemię po swojemu zagospodarować.

Przynajmniej jednak zmniejszyliśmy kary za nielegalne wycinanie drzew. Wcześniej były one drakońskie. Za wycięcie kilku drzew można było zapłacić kilkaset tysięcy złotych. Obecnie taka kara jest tylko dwa razy wyższa niż koszt uzyskania pozwolenia na legalną wycinkę. Być może te przepisy wymagają modyfikacji, ale to nie jest w tej chwili priorytet dla mojego resortu.

Moi adwokaci proszą sąd o proces, w którym to z chęcią weźmiemy udział. Z tym większą radością, że od strony merytorycznej pozew wystosowany przez Wellman to historyczny bełkot – 33 strony maszynopisu w odpowiedzi na tweeta składającego się z 18 słów – mówi Jacek Piekara, dziennikarz i autor powieści z pogranicza fantastyki, horroru i historii, kiedy pytamy, czy stawiliby się do sądu, gdyby wiedział o toczącej się sprawie.

Piekara został pozwany przez dziennikarkę TVN Dorotę Wellman za twitterowy wpis, w którym odniósł się do medialnego wsparcia Wellman dla czarnych protestów. „Do aborcji potrzebne jest zapłodnienie, do zapłodnienia potrzebny jest seks, dobrze wiedzieć, że Dorocie Wellman nie grozi aborcja” – napisał.

Wyrok zapadł w lipcu 2017 r., a pisarz dowiedział się o nim od komornika, który chciał wyegzekwować część zasądzonej kwoty. Sąd bowiem wysłał pisma na adres, pod którym Piekara nigdy nie mieszkał, a widząc niedostarczoną korespondencję, sąd kontynuował proces bez pozwanego. Wyrok wydał zaocznie.

Dlaczego Sąd Okręgowy w Warszawie nie próbował ustalić aktualnego adresu Piekary? Po tym pytaniu przedstawiciele sądu odesłali nas do oświadczenia na stronie internetowej: „Adres pozwanego wskazany w pozwie był tożsamy z adresem zameldowania pozwanego widniejącym w bazie Pesel2-Sad”.

– A według polskiego prawa pisma mają być dostarczane na adres zamieszkania, nie zameldowania – odpowiada Piekara. – Nie próbowano mnie znaleźć w żaden inny sposób, a przecież jestem osobą publicznie znaną jako autor ponad 20 książek i dziennikarz. Znalezione mnie to kaszka z mlekiem. Komornik zrobił to w jeden dzień. Co to za sprawiedliwość, która skazuje człowieka bez jego wiedzy i udziału na rujnujące zobowiązania finansowe – chodzi w sumie o około pół miliona złotych – a potem nie chce dać mu prawa do odwołania?

Z PUSTYM KRZESŁEM

Po telefonie od komornika Piekara zapoznał się ze sprawą i złożył wniosek o przywrócenie terminu do złożenia sprzeciwu oraz o wstrzymanie wykonalności wyroku. Sąd odrzucił wniosek. Prawnicy nie złożyli jednak bronii i zwrócili się do sądu apelacyjnego.



Dorota Wellman po tweecie Jacka Piekary domaga się od niego przeprosin w dwóch gazetach: „Wysokich Obcasach” oraz „Gazecie Wyborczej” FOT. JAN KUCHARZYK/DDTV/EAST NEWS

Ile kosztuje tweet?



Agnieszka Niewińska

Pisarz Jacek Piekara oszacował, że za niewybredny wpis na temat dziennikarki TVN Doroty Wellman będzie musiał zapłacić blisko pół miliona złotych. To efekt przegranego procesu. Pozwany nie wiedział nawet, że w ogóle się on toczył

– Chodzi o to, by mógł się odbyć proces, o którym będę wiedział i w którym będę reprezentowany. Tego właśnie procesu boją się jak ognia pełnomocnicy Doroty Wellman. Tym razem ich przeciwnikiem będzie żywy człowiek, który rozniesie ich argumentację na strzępy, a nie puste krzesło, tak jak do tej pory – tłumaczy pisarz. I dodaje, że przedkładając sądowi stos dokumentów, udowodnił, iż mieszka pod zupełnie innym adresem niż ten, pod który przychodziły pisma.

Po tym, jak pisarz poinformował na Twitterze, że przegrał proces, o którym nie wiedział, w mediach ruszyła lawina komentarzy. Do sprawy odniósł się wielu

prawników. Adwokat Dariusz Pluta na łamach „Rzeczpospolitej” wyjaśniał, że w takiej sytuacji pozwany po dowiedzeniu się o procesie musi niezwłocznie wykazać, iż adres zameldowania, na który wysłano korespondencję sądową, to nie jego miejsce zamieszkania (przedstawiając dokumenty, oświadczenia rodziny). Jeśli uda się to wykazać – jak mówił adwokat – to „z reguły następuje wstrzymanie czynności wykonawczo-egzekucyjnych (gdy sprawa weszła już w takie stadium). Następuje też merytoryczne rozpoznanie sprawy z udziałem pozwanego, w tym z uwzględnieniem jego wniosków”. Mecenass Pluta nie miał wątpliwości, że to na tym, kto składa po-

zew, spoczywa obowiązek podania adresu zamieszkania osoby, którą pozywa.

– Oczywiście jest, że zarówno w tej sprawie, jak w wielu innych, powodowi zależy na prawidłowym wskazaniu adresu pozwanego, i taka od początku była intencja pani Doroty Wellman – informuje „Do Rzeczy” Anna Kruszewska, pełnomocniczka dziennikarki. – Podjęliśmy kroki by ustalić adres pana Piekary, wynikiem tych starań było ustalenie adresu wskazanego w pozwie. Prawdliwość naszych ustaleń weryfikował sąd, który zarządził sprawdzenie bazy PESEL, w efekcie czego potwierdzono ustalony przez nas adres. Z kolei pozwany w toku postępowania o przywrócenie terminu na złożenie sprzeciwu od wyroku nie przedstawił dowodów na to, że mieszka pod innym adresem i w związku z tym sąd oddalił jego wniosek.

Rozgorzała też dyskusja nad tym, czy podawana przez pisarza kwota pół miliona złotych nie jest przesadzona, argumentując, że ogłoszenia w prasie nie są tak drogie, jak ocenia pisarz, a od stawki cennikowej można dostać 80 czy 90 proc. rabatu, kiedy już wystąpi się o wycenę.

Jacek Piekara: – Łącznie Wellman żąda obciążenia mnie kwotą około pół miliona złotych. Za jeden wpis na Twitterze! Suma, do której zapłaty zostałem zobowiązany, dzieli się na kilka części: kosztu procesowe Wellman i kosztu egzekucji to niecałe 6 tys. zł (o tę sumę wystąpił komornik i przez to w ogóle dowiedziałem się o procesie), wpłata na fundację to 25 tys. zł. Jednak zabawa zaczyna się potem. Wellman żąda przeprosin w „Gazecie Wyborczej” i „Wysokich Obcasach”. Reprezentująca mnie kancelaria została poinformowana w oficjalnym piśmie z działu reklamy „Gazety Wyborczej”, że ich koszt to ponad 400 tys. zł. Netto! No to teraz wiedzą państwo, ile kosztuje urażone ego Doroty Wellman i powątpiewanie w jej atrakcyjność seksualną.

– Tweet Pana Piekary miał bardzo duży zasięg, został przytoczony przez liczące się media, wiele osób go komentowało. Pan Piekara nagle stał się osobą cytowaną przez media, publicznie komentował to zainteresowanie i wprost publicznie zadeklarował, że nie przeprosi za swoją wypowiedź – komentuje Kruszewska. – Tymczasem tworząc tego rodzaju skandalizujące wypowiedzi publicznie należy liczyć się z tym, że ewentualne przeprosiny muszą mieć adekwatny zasięg, a zatem pojawić się w mediach. Publiczne obrażanie wymaga publicznych przeprosin, co



Pisarz Jacek Piekara dostawał wezwania z sądu na adres, pod którym nie mieszka. Nie miał szans przedstawić swoich racji FOT. LECH GAWIŃC/REPORTER

może wiązać się z kosztami dla winnego naruszenia. Gdyby obowiązek przeprosin został ograniczony tylko do Twittera pana Piekary, trudno byłoby mówić o jakimkolwiek zadośćuczynieniu, krzywdzie, która została wyrządzona. Inną sprawą jest, że pan Piekara już zapowiedział, iż nie zamierza usunąć tego twitta – a zatem nie chce wykonać wyroku nawet w tej części, która nie kosztuje go ani złotówki.

– Mój tweet informuje o pozwie, procesie i kuriozalnym zaocznym wyroku oraz podaje, od czego to wszystko się zaczęło. To nie jest ten sam tweet, lecz informacja o obecnym stanie prawnym, która oczywiście musi zawierać przyczynę całego incydentu – odpowiada pisarz. I dodaje, że ostre potraktowanie dziennikarki było uzasadnione. – Dorota Wellman jest agresywną i wulgarną uczestniczką życia społecznego oraz politycznego. Proszę przejrzeć Internet, bo tam nic nie ginie. Słownictwo, którego używa, jest – najłagodniej mówiąc – „koszarowe”, a z jej wypowiedzi emanuje pogarda dla ludzi o innym światopoglądzie – twierdzi. I przypomina podobną sprawę, którą niedawno rozstrzygnął sąd. Chodzi o pozew feministki Anny Dryjańskiej przeciwko publicyście Rafałowi A. Ziemiakiewiczowi. Też poszło o tweet, ale sędzia nie przyznał racji feministce. – Bardzo wyraźnie sformułował stanowisko, że osoby używające brutalnego języka i angażujące się w ostre spory muszą być przygotowane na kontrreakcję – zaznacza Piekara. – A przecież media społecznościowe są nie tylko centrum wymiany informacji, lecz także kabaretem, lożą szyderców, miejscem „grillowania”. Mój tweet był złośliwy, jednak nie zawierał ani wulgaryzmów, ani inwektyw. Przed każdym sądem w sprawie o na-

ruszenie dóbr wygram proces bez trudu. I właśnie dlatego trwa ostra walka, by do procesu w ogóle nie dopuścić. Zdaje sobie pani sprawę, jakim potwornym upokorzeniem dla całego tego lewackiego towarzystwa będzie procesowa klęska Wellman? Przecież oni zdążyli już ogłosić ją nie tylko męczennicą, lecz także bohaterką. I bardzo mocno zaangażowali się w jej obronę.

WRAŻLIWOŚĆ PISZĄCEGO

Gdzie jest granica wolności wypowiedzi w mediach społecznościowych? – Jediną granicą może być tu odpowiedzialność i osobista wrażliwość piszącego – mówi Jolanta Hajdasz z Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP. Oczywiście powinny tu obowiązywać te same reguły, które znamy z mediów tradycyjnych, czyli prawo prasowe, etyka dziennikarska, ale w praktyce nie zawsze jest możliwe egzekwowanie tych zasad. Problemem jest tu zdefiniowanie, który wpis jest publikacją, a który jest sprawą prywatną i korzystaniem na własne potrzeby z prawa do swobody wypowiedzi.

Jej zdaniem w sprawie Wellman vs. Piekara największym problemem jest gigantyczna kara, nieadekwatna w stosunku do winy. – Stanowczo podkreślam, że moja ocena nie oznacza akceptacji dla formy, w jakiej pan Piekara wyraził swoje poglądy. Jednak poprzez działania sądu sprawa wychodzi już poza indywidualny spór między dwoma osobami. W działaniu na forum publicznym, w mediach znaczenie mają i czas, w jakim doszło do publikacji tweeta, i okoliczności, a wpis ukazał się w czasie tzw. czarnych protestów – mówi Hajdasz.

Nieśmiertelność zabije duszę



Piotr Gociek

**„Modyfikowany węgiel”
to najważniejsza – oprócz
zapowiadanego „Wiedźmina”
– tegoroczna premiera Netflix**

Ciało to tylko mięso” – przekonywali bohaterowie powieści „Neuromancer” Williama Gibsona, do dziś najbardziej wpływowej książki w gatunku cyberpunk. Nie dlatego, że pierwszej, ale dlatego, iż najlepiej napisanej i zaraźliwie wizjonerskiej. To, co wielu innym, mniej utalentowanym pisarzom zajmowało strony i rozdziały, u Gibsona bywało tylko króciutkim akapitem, jakimś fragmentem prozy, o której polski tłumacz Piotr W. Cholewa mówił mi kiedyś w wywiadzie, że „to takie niemal haiku”. Ciała łatwo się pozbyć, ale trudno je zdobyć – dopowiadają bohaterowie „Modyfikowanego węgla”.

Cyberpunk podbił świat nie dlatego, że wszyscy chcieli być wirtuozami stylu tak jak Gibson. To, co przesiąkło do gier, komiksów, seriali anime oraz niezliczonych powieści i opowiadań, to sztafaż. Zatem: nikną granice między tym, co biologiczne i cyfrowe (bohaterowie bez problemów przechodzą z rzeczywistości do cyberświata), w wirtualu panoszą się sztuczne inteligencje, tam też toczą się prawdziwe batalie o bogactwa, władzę i wiedzę. Świat realny tymczasem ewoluuje w kierunku mrocznych metropolii, do których pasuje najlepiej termin „future noir” – wraz z postępem technologicznym, którego trzonem jest wzrost znaczenia wszystkiego, co cyfrowe, rośnie zorganizowana przestępczość (przenikająca się ze światem korporacji), przyspiesza rozwarstwienie społeczne, a amoralność staje się nową normą.

No i ikonografia: wielkie futurystyczne spluwy, hełmy lub zgrabniejsze instalacje do przechodzenia w wirtual, czasem kapelusze pożyczone z Chandlera i płaszcze podpatrzone u Ricka Deckarda w „Blade Runnerze”. A w przypadku japońskich odnog gatunku koniecznie do tego jeszcze

wielkie roboty, wewnątrz których siedzą kruche dziewczynki. Aha, no i wszędzie seksandroidy. W sumie słusznie, bo ludzkość już wielokrotnie udowodniała, że kiedy tylko pojawia się jakiś technologiczny przełom, to nowinki najszybciej absorbowane są przez seksbiznes.

KASTA NIEŚMIERTELNYCH

Z tego punktu widzenia nowy serial Netflix, czyli wprowadzany na rynek z dużym reklamowym hałasem 10-odcinkowy „Modyfikowany węgiel”, to prawdziwy cyberpunk. Brakuje tylko wielkich robotów (pojawi się za to „mechaniczne ramie” o nadludzkiej sile – rozmaite szczepy i technoulepszenia ciała to także cecha cyberpunku). Jednak w końcu to nie anime, tylko produkcja amerykańska, według powieści Richarda Morgana, wydanej w Polsce w roku 2005, a ostatnio wznowionej. Morgan dopisał do niej prequel („Zbudzone furie”) oraz sequel („Upadłe anioły”), stąd podkreślanie przez Netflix, że widzowie dostają sezon pierwszy – kontynuacja zdaje się nieuchronna. Podobno Laeta Kalogridis, która jest scenarzystką serialu i pomy-



FOT. NETFLIX

ki czas. Bogaci tymczasem zamawiają nowiusieńkie (i cholernie drogie) kopie samych siebie (oczywiście odpowiednio młodych i pięknych), do których przenoszą swoje „ja”, gdy poprzednie ciało się starzeje lub zawodzi. Stają się więc de facto nieśmiertelni, a ich fortuny rosną nieskończenie z każdym kolejnym pokoleniem. Nie dość, że są obiektem powszechnej zazdrości i podziwu, to jeszcze sami zaczynają uważać się za wyjątkową kastę, nieledwie odmienny gatunek.

W klasycznym kryminale noir między niewyobrażalnie bogatymi (i zwykle równie zepsutymi) a tymi, którzy są skrzywdzeni i poniżeni, pojawia się ważny pośrednik – detektyw. „Tymi nędznymi uliczkami musi chodzić ktoś, kto sam nie jest nędznikiem, ktoś, kto nie jest ani zdemoralizowany, ani tchórzliwy” – pisał Chandler w eseju pt. „Skromna sztuka pisania powieści kryminalnych”. U Morgana i w serialu rolę tę odgrywa Takeshi Kovacs. To był funkcjonariusz specjalnych sił Narodów Zjednoczonych, potem dezertier gorliwie zwalczający porządek, którego wcześniej bronił. Stąd w papierach zarzuty: morderstwa, terroryzm, działalność antypaństwowa. Kovacs zostaje wyjęty z cyfrowej zamrażarki (po upływie, bagatela, 250 lat) na życzenie jednego z bogatych nieśmiertelnych – Laurensa Bancrofta – by poprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci... samego zleceniodawcy. Bancrofta – a właściwie jego poprzednie ciało – znaleziono z rozwaloną głową. Dostęp do broni, z której został zabity, mieli tylko on oraz jego żona, a on sam niczego nie pamięta, bo backup danych swej osobowości zrobił 48 godzin wcześniej. Nie wie więc, co się z nim stało. Samobójstwo? Morderstwo? A jeśli to ostatnie, to kto zabił?

Oprócz Kovaca, granego przez Joela Kinnamana (znają go państwo m.in. jako gubernatora Willa Conwaya z „House of Cards”), własne dochodzenie prowadzi policjantka Kristin Ortega (meksykańska aktorka Martha Higareda), wykazująca wielkie zainteresowanie nie tylko sprawą Bancrofta, lecz także ciałem, w którym umieszczono Kovaca. Dlaczego? Zagadek jest tu mnóstwo. Co sprawiło, że Kovacs został wyrzutkiem i terrorystą? Dlaczego niemal natychmiast po wyjęciu z „przechowalni” staje się obiektem polowania ze strony groźnych postaci przestępczego półświatka? Jakie grzechy obciążają sumienie rodu Bancroftów, którzy już na pierwszy rzut oka robią

wrażenie ludzi żyjących wedle własnego spalonego kodeksu? Skąd właściwie wzięła się przełomowa technologia „cyfrowej nieśmiertelności”?

A do tego wszystkiego dochodzi jeszcze podziemny seksbiznes (seria nierozwiązanych zgonów młodych, pięknych dziewcząt), religia (katolicy odmawiają zapisywania swoich osobowości po śmierci, wierząc tylko w jedną śmierć i jedno zmartwychwstanie) oraz polityka (właśnie trwa debata na temat zmiany przepisów, umożliwiającej wykorzystywanie „pośmiertnych” zeznań katolików w procesach o morderstwo). No i żelazny punkt wszystkich cyberpunkowych opowieści – sztuczne inteligencje, które w opisywanej przyszłości nie są tak wszechmocne jak w niektórych klasycznych dziełach gatunku, ale mocno asertywne i obdarzone niemal ludzkimi osobowościami. Ulubieńcem widzów stanie się bez wątpienia hotel Kruk, który należy do SI wcielającej się w Edgara Allana Poe (w tej roli Chris Conner).

ZBRODNIĄ BEZ KARY?

Telewizja kosztuje i upraszcza, więc intensywna, przesycona żargonem i mocno ironiczna powieść Morgana straciła na ekranie trochę swego rozmachu, uroku cyberczarnego kryminału, poszła bardziej w kierunku atrakcji typowych dla „nowych” seriali. Czyli: dużo scen walki zadłużonych u twórców „Matrixa”, a także (zgodnie z regułami wypracowanymi przez HBO) twórcy nie tracą żadnej okazji do pokazania na ekranie nagich kobiet (a czasem pokazują je i bez okazji). Zatem seks, przemoc i future noir. Na szczęście na tym menu się nie kończy.

Pytania, które stoją w centrum tej opowieści, są bowiem ważniejsze od tego, kto wygrał mordobicie i kto kogo na stałe wykasuje z cyberprzestrzeni. Na ile nieśmiertelność (w każdej, nie tylko cyfrowej formie) okaże się wynaturzeniem? Czy postęp biotechnologiczny będzie oznaczał moralną katastrofę, bo ludzie wyjęci z naturalnego cyklu życia i śmierci uznają się za bogów, którzy mogą wszystko? Jak bardzo demoralizująca okaże się ta wszechmoc, gdy przed nikim i niczym się już nie odpowiada – przed innymi śmiertelnikami, przed śmiercią, przed Bogiem?

Jednocześnie inne kwestie – równie palące – są tu nieco ominięte. Owszem, kara dotyka osobowości, nie ciała. Dla tego przestępcy trafiają do wspomnia-

śłodawczynią tej wersji, zainteresowała się prawami do ekranizacji wkrótce po amerykańskiej premierze książki (2002). Myślała o filmie kinowym, ostatecznie wyszedł serial – myślę, że o niejednej takiej zmianie jeszcze będziemy słyszeć w przypadku rozmaitych przedsięwzięć. Serwisy streamingowe i płatne telewizje na dobre zmieniły pejzaż telewizyjnej rozrywki.

Przyszłość, w której rozgrywa się akcja „Modyfikowanego węgla”, to czas, kiedy ludzkość opanowała technologię przechowywania ludzkiej osobowości w formie cyfrowej. Dzięki temu można przesyłać podrózników do innych światów i „wkładać” w nowe ciała wychodzące na miejscu. Ludzkość kolonizuje więc inne światy, rozrasta się w galaktyce. Ważniejsze jednak jest to, jak taka zmiana wpłynęła na kształt przyszłego społeczeństwa. Zwykły śmiertelnik nie ma pieniędzy na to, by kupić sobie nowe ciało, korzysta więc albo z takich, które są dostępne (zdeformowanych, chorych, odebranych przestępcom, których umysły „aresztowano” na czas odbywania kary), przy czym powszechną praktyką jest wypożyczanie ciała na krótko-



„Modyfikowany węgiel” to kawałek dobrej, małoekranowej fantastyki FOT. NETFLIX

nych cyfrowych zamrażarek. Jednak jeśli nie mają wspomnień z owego czasu zawieszenia („Czy cyfrowe kopie bandytów śnią o elektrycznych zbrodniach?” – można by zapytać, trawstując tytuł powieści Philipa K. Dicka), to czy ponoszą karę?

Co z odpowiedzialnością za czyny dokonane w przestrzeni wirtualnej? „Modyfikowany węgiel” pokazuje różne jej oblicza – mamy programy do zaspokajania seksualnych fantazji, a także do prowadzenia psychoterapii. Są i komory tortur – w wirtualu ból i śmierć zadawać można na tysiące sposobów, wciąż od nowa, resetując program. Przecież w takim przypadku osoba krzywdzona nie wyjdzie z cyberprzestrzeni taka sama jak dotąd, nie wspominając o jej oprawcy, świadomym zadawanych tortur. Czynienie zła zmienia nas na gorszych. Jak więc karać za to, co zostało uczynione w wirtualu? Realnych śladów przestępstwa nie ma, ale zmiany w psychice ofiary i kata pozostają. Mamy też pokazany procedurę przebywania skopiowanej osobowości w różnych ciałach. Jak prawo ma traktować taki przypadek? Czy to jedna osoba w wielu kopiach? Czy oryginał ponosi odpowiedzialność za czyny swoich innych egzemplarzy? Co mówi nam moralność: czy kiedy przez przypadek lub w wyniku celowego działania powstanie nas cyfrowych dwóch lub trzech, to skasowanie nadprogramowych osobowości jest zabiegiem technicznym czy zbrodnią?

„Żadne moce obliczeniowe nie zagwarantują mi pewności dobrych wyborów moralnych” – mówił polski fantasta Jacek Dukaj w wywiadzie dla magazynu

„Czterdzieści i Cztery”, rozważając możliwe następstwa nadchodzącej rewolucji transhumanistycznej. Wszystko to, co Morgan w „Modyfikowanym węglu” przeczuwa lub wykorzystuje tylko do zabawy (tak jak twórcy serialu), poddane jest szerokiej analizie w znakomitym numerze tematycznym pt. „Mesjańskie oblicze transhumanizmu”. Serial Netflixa zatrzymuje się na wcześniejszym etapie rozważań, bo to w końcu stylowa rozrywka, a nie filozoficzny traktat.

Jak wspominał Raymond Chandler w cytowanym wcześniej esej: „Jeżeli pisarz kryminałów jest realistą, to pisze o świecie, w którym gangsterzy mogą rządzić całymi państwami i niemal rządzą metropoliami, gdzie eleganckie hotele i drogie restauracje należą do ludzi, którzy dorobili się fortuny na domach publicznych”. Ta charakterystyka idealnie pasuje do świata „Modyfikowanego węgla”, wychodzi więc na to, że mamy do czynienia z kryminałem realistycznym w sztafazu fantastycznym. Ileż to razy autorzy współczesnych opowieści noir podpowiadali nam, że bogacze to niezupełnie tacy sami ludzie jak my, że coś z nimi nie w porządku, że płynnie przekraczają kolejne granice i lądują we własnej krainie, w której dozwolone są rzeczy dla zwykłych śmiertelników niewyobrażalne! „Modyfikowany węgiel” przedstawia tę tezę w formie science

fiction. Forma bogactwa się zmieniła, ale mechanizm zwyrodnienia – już nie.

Władza absolutna korumpuje absolutnie, bogactwo bez granic pozwala na życie w świecie bez granic – także tych moralnych. Takeshi Kovacs, jak przystało na detektywa noir, będzie próbował w tej sodomie i gomorze przywrócić właściwe proporcje. Wiarę w winę i karę.

OTWARTE DRZWI

Produkcja Netflixa otworzy najprawdopodobniej drzwi do telewizji innym cyberpunkowym projektom. To udany, efektowny serial, w którym denerwują jedynie niektóre klisze, zgrane chwytły, które widzieliśmy już wielokrotnie. Operetkowe naiwne podziemie, marzące o „jednym ataku na system, który zmieni wszystko”, standardowi sprzedajni gliniarze i cyniczni adwokaci. Gangsterzy, którzy oczywiście muszą mówić po rosyjsku. Ta opowieść jest najlepsza, kiedy zaskakuje: proszę spojrzeć na scenę, w której babcia Kristin Ortegi odwiedza rodzinną uroczystość w „wypożyczonym” ciele, albo na dyskusje prowadzone przy karcianej rozrywce przez sztuczne inteligencje.

Co dalej? Na pewno inwazja ekranizacji japońskiej cyberpunkowej mangi, kto wie, może i „Neuromancer” Williama Gibsona. Mnie marzyłaby się serialowa

wersja genialnych powieści Neala Stephensona „Diamentowy wiek” i „Zamieć”. Obawiam się jednak, że największe wzięcie będą miały dzieła pośledniejsze, prostsze i ograniczające się do żonglerki rekwizytami: kolejne mordobicia pożyczone z „Matrixa” (koniecznie z akcentami dalekowschodnimi), kolejne cyberburdele. A przecież powiedzieć, że fruwanie w cyberprzestrzeni jest w cyberpunku najważniejsze, to tak jakby powiedzieć, że w prozie realistycznej najważniejsze jest latanie samolotami. Pozostanę więc nieco sceptyczny w oczekiwaniach (jak zawsze), a teraz wrócę do „Modyfikowanego węgla”. To kawałek dobrej, małoekranowej fantastyki, choć udaje produkt poważniejszy, niż jest w rzeczywistości. Och, chyba przez przypadek udało mi się zdefiniować telewizję w ogóle. © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
„MODYFIKOWANY
WĘGIEL”, SEZON 1
(„ALTERED
CARBON”)
USA 2018,
NETFLIX,
PREMIERA:
2 LUTEGO 2018 R.

wyst. Joel Kinnaman,
Renée Elise
Goldsberry, James
Purefoy, Kristin
Lehman, Martha
Higareda

PREMIERA „DO RZECZY”!

NOWA KSIĄŻKA R. ZIEMKIEWICZA

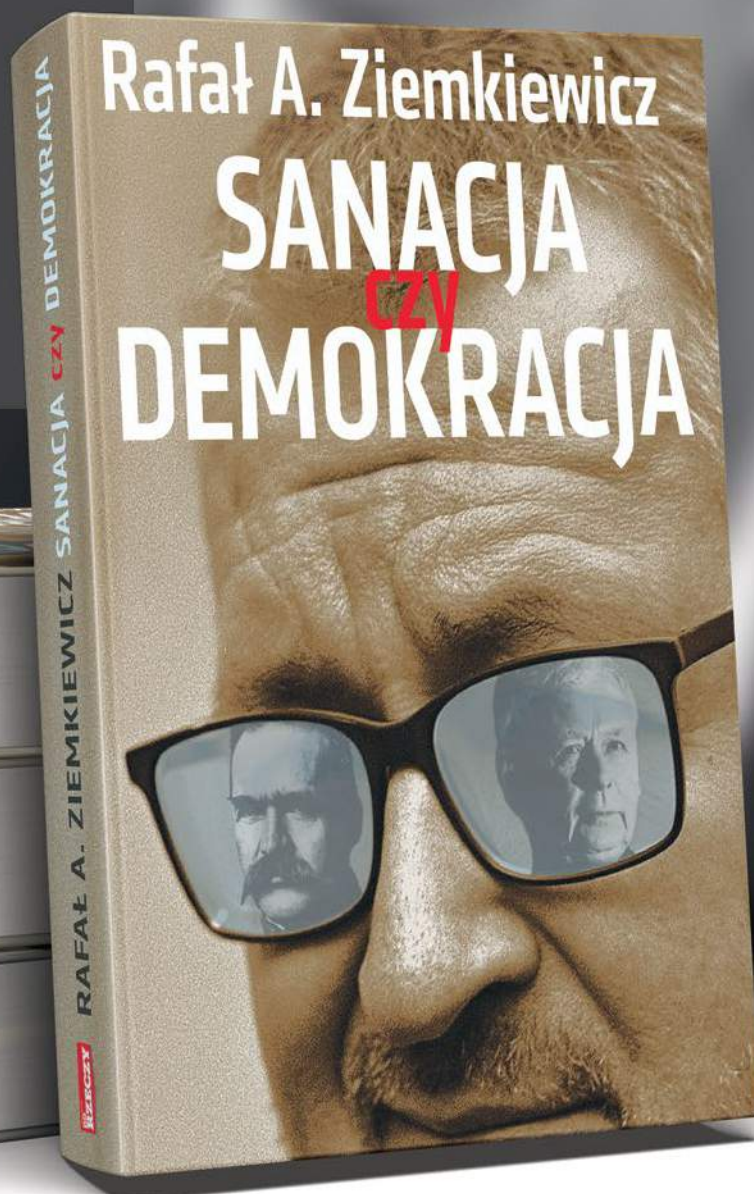
TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

SZUKAJ
W DOBRYCH PUNKTACH
I SALONACH PRASOWYCH
ORAZ NA STOISKACH
POCZTY POLSKIEJ



34⁹⁰
PLN



Również na zamówienie: tel. +48 22 529 12 10, prenumerata@pmpg.pl

Gdybym był kryptopisowskim reżyserem teatralnym i nasycił już sceniczną adaptację reportażu Cezarego Łazarewicza „Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka” naprawdę fajną muzą, w tym paroma kawałkami Lecha Janerki („Lola” towarzysząca scenie pałowania Przemyka oraz „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek” – najpiękniejszy chyba erotyk o naszym młodzieńczym stanie wojennym), to chyba nie oparłbym się pokusie, by zaserwować publiczności pochodzącego z tej samej płyty, „Historii podwodnych”, jeszcze jednego utworu – „Konstytucje”.

Ach, z jaką radością patrzyłbym zza kulis na twarze publiczności, która – kumata przecież – zaczęłaby pojmywać wywrotowe kaczystowskie przesłanie wersów wyśpiewywanych przez Lecha Janerkę na beztroskim słonecznym reggae’owym podkładzie:

*Są wesole konstytucje
Które mają jeden cel
Chcą oddać rewolucję
Ale my to mamy gdzieś
Dokładnie tam
Dokładnie tam.*

Chichotałbym, ale przecież część mózgu wysyłałaby – jakże często lekceważony przeze mnie – sygnał ostrzegawczy, że kładę w ten sposób całe moje dzieło i że tak nie wypada. Czy jednak zdołałbym się powstrzymać?

BRYGADA RR ATAKUJE

Rozumiem więc duet Piotr Rowicki (adaptacja) – Piotr Ratajczak (reżyseria), że nie był w stanie oprzeć się przemożnej chęci upolitycznienia przekazu. Pojawił się zatem chór lekarzy, z mocną aluzją do świeżego sporu z rezydentami i odgłosami szczucia na poszczególne gildie („my lekarze opierdalał się od czasów Mieszka I do dziś... zamknięta kasta... jesteśmy elita, cholerna elita. Ma wykształcenie, doświadczenie, umiejętności, tego się nie wybacza. W kamasze, do pierdła na dyżur!”), pojawiła opowieść zomowca mordercy o jego sentymencie do obecnej władzy („w Polsce to w dobrą stronę to idzie... podoba mi się, że ktoś teraz myśli o ojczyźnie, o naszych interesach...”), mamy podkręcanie tekstu Łazarewicza, by wszyscy pojęli, że historię Przemyka trzeba odczytywać jako memento dla dzisiejszej władzy.

Niepotrzebne te rzeczy, naprawdę. Zaburzają czysty wydźwięk opowieści o tragedii sprzed trzydziestu pięciu lat i paradoksalnie osłabiają perswazyjną moc

Aktualna sprawa Grzegorza P.



Andrzej Horubała



Sześcioro aktorów efektownie inscenizuje reportaż Cezarego Łazarewicza FOT. KATARZYNA KURAL-SADOWSKA

rekonstruowanej historii, która rzeczywistość może być przestrożą dla władzy, próbującej podporządkować sobie wszystkie sfery życia.

POKOLENIOWY DŁUG

Skatowanie na staromiejskim komisariacie maturzysty, Grzegorza Przemyka, to dla Łazarewicza punkt wyjścia do drobiazgowego dziennikarskiego śledztwa w sprawie sfingowanego procesu, nadzorowanego przez „człowieka honoru”, gen. Czesława Kiszczaka, dążącego do oczyszczenia z zarzutów podległych mu milicjantów i obwinienia niewinnych osób o śmierć młodzieńca. Wertowanie akt, kwerenda w archiwach IPN i Karty, rozmowy ze świadkami ówczesnych zdarzeń, przeglądanie prywatnej korespondencji, osobistych zapisków, prasy, materiałów filmowych służy Cezaremu Łazarewiczowi do zrekonstruowania działania zło-wieszczych trybów policyjnego państwa.

Mechanizm jest rzeczywiście zawsze porażający ten sam: media, które – oczywiście w imię wyższych racji – usłusznie drukują czy to własne komentarze, czy teksty dostarczane przez służby, szczucie na poszczególne grupy zawodowe (tu: robienie złej atmosfery wokół załóg

karetek pogotowia, nagłaśnianie epizodów z udziałem lekarzy), dyspozycyjne sądy, no i brutalne działania służb i policji, które szantażem, oszustwem, straszac śmiercią najbliższych, wymuszają składanie fałszywych zeznań czy przyznanie się do niepopelnionej zbrodni.

Wszemchmocy państwa przeciwstawiają się dwaj przyjaciele zakatowanego Grzegorza – Cezary Filozof i Jakub Kotański. Do końca, mimo brutalnych nacisków służb, nie wycofują swych zeznań, świadcząc o prawdzie.

Pamiętam, że nagrodzony w ubiegłym roku Nagrodą Nike kapitalny reportaż Łazarewicza czytałem głównie jako hołd złożony niezależnej jednostce, która w starciu z autorytarnym molochem – płacąc za to potwornie wysoką cenę – odnosi moralne zwycięstwo. Cezary Filozof, choć sam przecież niekryształowy, z trudną przeszłością, rozwibrowany i niestabilny, w chwili próby, w imię przyjaźni i prawdy, otoczony tajnymi współpracownikami służb, naciskany przez najbliższych, którzy także współdziałali z komunistycznym aparatem, nękany przez milicję i prokuraturę, do końca trwa przy swym świadectwie.

W poruszającej książce Cezarego Łazarewicza historia doprowadzona jest

do współczesności: widzimy, jak wielu ludziom proces Przemyska zniszczył życie, jaką cenę zapłacili – jedni za swą nieugiętość, drudzy za to, że akurat się nawinęli pod rękę. Złamani świadkowie, fałszywie oskarżeni pielęgniarze przyznający się do winy pod wpływem szantażu – galeria ludzkich historii i wielki żal, że sprawiedliwości nie stało się zadość, że III RP nie okazała się na tyle mocna, by doprowadzić do końca sprawę Przemyska.

Dziennikarz, choć przecież parę lat wcześniej dał się poznać jako autor podławego tekstu z „Newsweeka” – „Rajmund Kaczyński. Ojciec braci”, tu jest powściągliwy, jeśli idzie o bieżącą nawalankę polityczną i dzięki temu jego „Żeby nie było śladów” można uznać za spłacenie pokoleniowego długu wobec matki Przemyska i bohaterów tamtych dni. Znać w książce Łazarewicza (rocznik 1966, aktywność w WiP) wspólnotę generacyjną i doskonałe wyczucie tamtych czasów. Przynosi nam Łazarewicz wiedzę niesamowitą, drobiazgową, czasem zaskakującą: prof. Zdzisław Marek, pamiętny w sprawie Pyjasa, tutaj sporządza ekspertyzę medyczną jednoznacznie wskazującą na zomowców jako sprawców; prokurator Tadeusz Gonciarz nie ugina się pod naciskami władzy i składa rezygnację; Igor Bieliński, przyjaciel Grzegorza, nie zdradza śledczym informacji o wspólnym ostrym picu i awanturze poprzedzającej wyjście na Stare Miasto.

RZEMIEŚNICZE MISTRZOSTWO

Z tą różnorodną materią, zaburzoną chronologią opowieści, mnóstwem wątków, postaci, bo każdy uwikłany w sprawę Przemyska miał swoją historię, przyszło zmierzyć się Brygadzie R-R. Wykorzystując doświadczenia z poprzednich swoich realizacji, Piotr Rowicki i Piotr Ratajczak wykonali rzeczywiście świetną robotę.

Przedstawienie reportażu Łazarewicza powierzyli sześciorgu aktorom, dwóm kobietom i czterem mężczyznom.

Dwoje z nich – sugestywna Agnieszka Przepiórska i wzruszająco młodzieńczy Adrian Brząkała – ma ściśle przypisane role – matki i syna. Pozostała czwórka, wcielając się w różne postaci, rekonstruuje przebieg tragedii. Przebiegając się, recytując, skandując, wykrzykując swoje kwestie do siebie i do publiczności, często poślukując się ironią, przerysowaniem, cegiełka po cegiełce, na tle ascetycznej czarnej scenografii ograniczonej do schodów zwieńczonych barierkami, buduje obraz tamtych dni.

Grupa rozbawionych maturzystów zmienia się na naszych oczach w zomowców chełpiących się udaną akcją. Za moment zespół aktorów wyłania z siebie rodziców Cezarego Filozofa biadających nad uwiedzeniem ich syna, prawie równolatka Przemyska, przez jego matkę, Barbarę Sadowską – poetkę, opozycjonistkę i pijaczkę. Po chwili grupa przekształca się w chór sąsiadów z ul. Hibnera narzekających na jej złe prowadzenie się. Jolanta Olszewska raz jest przyjaciółką Sadowskiej, przygotowującą ją do pogrzebu, raz złowrogą prokurator Bardonową. Dzwoniący tyżeczkami w szklankach w metalowych koszykach naradzający się milicjanci przebiegają się w kitle, by objawić się jako chór lekarzy. Grupa wykonuje pieśń „Matka, która wszystko rozumie” (inc. „Była cicha i piękna jak wiosna”), parodiując patriotyczno-religijne wzmożenie tamtych lat, a za moment rodzi pielęgniarzy, którzy znaleźli się na celowniku preparujących proces.

Dynamiczna muzyczna oprawa (Janerka, Siekiera, Brygada Kryzys, Madame, Maanam, Cure, A Flock of Seagulls, Joy Division, ale też Lady Pank, Abba, Adriano Celentano) i sprawny montaż poszczególnych scen, efektowny rytm spektaklu nawet z elementami zmyłek, gdy aktorzy podchodzą do mikrofonów, cofają się i robią jeszcze jedną nadprogramową pętlę, nim zaczną swą kwestię – to wszystko dowody rzemieślniczego mistrzostwa w adaptowaniu na scenę literatury faktu. Swobodnie przenosimy się z miejsca na miejsce, z dawnych lat do współczesności, słuchamy opinii ziomków zomowca Ireneusza Kościuka chwalejących jego wyjazd do Warszawy: „Dobrze zrobił, u nas w Czerkasach roboty nie ma... ziemia słaba, V klasa...”, widzimy, jak Barbara Sadowska z synem marzą na głos o zagranicznych podróżach.

Pewne wątpliwości budzi uatrakcyjnienie reportażu Łazarewicza dodatkowymi wątkami. Owszem, wzruszają one, ale powodują, że spektakl rozłazi się nieco i zamiast zmierzać do jednej mocnej puenty, jakby szukał wielu zakończeń. Nagle więc Przymek melorecytuje pieśń „Obława” i startuje z monologiem, że nigdy nie chciał zostać bohaterem, męczennikiem i do głowy mu nie przychodziło, że to na niego będzie obława, która go dopadnie. Zaczyna snuć rozważania, co by było, gdyby nie zbieg okoliczności, który doprowadził go do komisariatu przy Jezuickiej. I wzruszający, młodzieńczy, trochę jakby senny Adrian Brząkała snuje swoją historię w trybie

przypuszczającym, odtwarzając banalną biografię pokolenia: otarcie się o emigrację, załapanie na wolną Polskę, polityka, prasa, a może bycie copywriterem, potem kochanki, alkohol, rozpad małżeństwa, zawał serca przy forsownej grze w piłkę z kumplami, wyfartowanie się i rok 2018: „Mam pięćdziesiąt cztery lata. Nie zostałem bohaterem, może tylko frustratem, może mam do kogoś żal... Nie wiem. Po prostu nie wiem i nigdy się nie dowiem, bo 12 maja 1983 r. skacząc na plecy Czarka i nie trafiając. Leżymy obaj i śmiejemy się jak wariaci, a gdzieś z oddali narasta dudnienie podkutyh milicyjnych butów. Za chwilę zostanę bohaterem...”, ale zanim to się stanie, dajcie mi spełnić jedno marzenie”. No i wzruszeni tym monologiem przekonujemy się, że tym marzeniem, jest wykonanie piosenki zespołu Dezerter „Tchórze”.

Boicie się krzyczeć

Boicie się milczeć

Boicie się marzyć

Boicie się śnić.

Wydaje się, że ten wykon to marzenie nie tyle Przemyska, ile Ratajczaka, bo choć porusza, do opowiadanej historii niespecjalnie przylega.

Inaczej jest z dopisanymi scenami konfrontującymi ofiary – Sadowską i Przemyska – z oprawcami – Bardonową i Kościukiem. Wieńczące spektakl imaginowane rozmowy, matki z okrutną prokurator i chłopaka z zomowcem, są rozpaczliwą, skazaną na porażkę próbą wyłuskania ludzi z ich społecznych ról, które prowadzą do zła. Do współuczestnictwa w zbrodni.

– A jak śpisz? Co ci się śni? – pyta Bardonową Barbara Sadowska, dziwiąc się jej okrucieństwu i odwołując się do wspólnych domniemyanych spotkań na plaży w Dębках czy w kinie.

– Czy sam przed sobą wytłumaczyłeś to, dlaczego zabiłeś człowieka?... Stary, ja naprawdę nie chcę umierać, nie chcę – mówi Przymek do swojego prawie rówieśnika, 22-letniego zomowca, którego ciosy okazały się śmiertelne.

Rozpaczliwe odwoływanie się do oprawców zda się na nic. Prokurator wygłasza swą oskarżycielską mowę, w której jedną z głównych winnych śmierci uczyni matkę Przemyska. Sąd wydaje wyrok uniewinniający zomowców.

A przed widzami, przy dźwiękach „Love Will Tear Us Apart” Joy Division, pojawiają się znów, zmierzający na pl. Zamkowy, Przymek i jego przyjaciele – już na zawsze młodzi. „Nieśmiertelni, niezniszczalni”.

Ukłon Sobolewskiego



Joanna Lichocka

Nie wiemy, czemu Władysław Szulc postanowił pisać pod nazwiskiem panińskiego matki – gdy zadebiutował w 1925 r. w piśmie „Bluszcz” opowiadaniem „Zdrada”, miał 25 lat. Być może uznał, że rozpoczynając karierę prawniczą, nie bardzo może poważny radcowski wizerunek uzupełnić o autorstwo opowiadań i powieści. Może nie był pewien – i nie byłoby w tym nic dziwnego – czy w tych pierwszych opowiadaniach jest rzeczywiście siła talentu i czy, mówiąc po prostu, nie wygłupia się?

Choć przecież od razu za „Zdradę” zdobył nagrodę w konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego.

Być może Władysław Szulc wiedział od początku, że nie chce być Szulcem – ale nic o tym dokładnie nie wiemy, prócz tego, że przeciąganie linii od Szulców do Rymkiewiczów rozpoczął na długo przed ostateczną zmianą nazwiska.

SKĄD CI RYMKIEWICZE?

W domu poety w Milanówku znajduje się tomik opowiadań „Pan swego życia” Władysława Rymkiewicza, wydany w 1929 r. Za ten tomik ojciec autora „Wieszania” otrzymał prestiżową nagrodę „Wiadomości Literackich”. Tomik kupiony w antykwariacie ofiarował

Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi pewien wielbiciel jego twórczości. Jest w nim dedykacja: „Pannie Marychnie Krzyżanowskiej/ tę swą pierwszą książkę/ ofiarowuje/ autor i przyjaciel” i tu podpis: „Wł.SzuRymkiewicz”. Właściwie transkrypcja tego podpisu nie odpowiada do końca temu, jak on rzeczywiście wygląda. Bo po „Wł” zaczyna się „Szu” i widać, że jest tam coś jeszcze, trochę przestrzeni, ale to coś – nierozpoznane, niewidoczne „lc” – natychmiast zmienia się w mocne R i nie ma już wątpliwości, że staje się Rymkiewiczem. Wtapia się w Rymkiewicza. A jeśli tak – to przyjrzyjmy się tej tożsamości, która tocząc bitwę w życiu Władysława Szulca Rymkiewicza – nie bez pomocy Historii,



mo – w jakim charakterze w tej cukierni pracowała: czy jako sprzedawczyni, czy może kierowała nią, czy była współwłaścicielką, jaka była jej sytuacja życiowa – tego wszystkiego w podaniach rodzinnych nie ma. Była najmilsza, piękna, że pracowała w cukierni. I była z Kalisza. I jeszcze że Rymkiewiczowie „to zubożała szlachecka rodzina, chyba o korzeniach litewskich” – jak dopowiedziała w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” Alina Sawicka, siostra poety. Sam poeta, przy okazji wręczenia nagrody „Strażnik pamięci” tygodnika „Do Rzeczy”, o tym, skąd Rymkiewiczowie przybyli do Kalisza, mówił tak: „Może z Wilna, a może – i to wydaje mi się prawdopodobniejsze – z oszmiańskiego powiatu, z małego zaścianka, który istniał tam pod nazwą Rymkiewiczze”.

Herbarze w kwestii Rymkiewiczów prezentują zamęt. Nie ma jednej lub co najwyżej dwóch, trzech rodzin, z tym samym lub jeszcze jakimś jednym innym herbem, z konkretnym, statecznym gniazdem. Żadnego uporządkowania, żadnych wspólnych nici, które prowadzą przez generacje do konkretnego źródła, konkretnej historii. Rymkiewiczowie są na Wileńszczyźnie i Kowieńszczyźnie, na Żmudzi i w okolicach Lidy. Mają herby Pobóg, Pomian, Lubicz, Bożezdarz, Przyjaciół, Jastrzębiec, Bończa. Uruski, próbując jakoś te rody uszeregować, napisał jednak (widocznie zniechęcony) na wstępie: „Że jest kilka rodzin w Litwie tego nazwiska i różnych, a innych herbów, ich rozróżnienie jest niepodobne”. Kacper Niesiecki wymienia dwóch Rymkiewiczów w księstwie żmudzkiem i jednego „cywuna Bierżańskiego w Wileńskim”. Żadnego herbu jednak nie podaje.

Próbuje uszeregować wiedzę o Rymkiewiczach „Herbarz szlachty żmudzkiej” i na kilku stronach rzetelnie wymienia wszystkie wpisy w dokumentach dotyczące Rymkiewiczów – od bojarów z czasów Witolda po wylegitymowaną w 1832 r. „familie urodzonych Rymkiewiczów, starożytnością y prerogatywami stanowi szlacheckiemu właściwemi zaszczyconą” czy ród wymieniony w innym cytowanym wywodzie z 1835 r., podającym, że „familia Rymkiewiczów [...] używała herbu Pobóg i dziedziczyła w Xsięstwie Żmudzkiem liczne dobra ziemskie”. Wymienia też różne gałęzie Rymkiewiczów w księstwie żmudzkiem, legitymujące się też herbem Lubicz. A także herbem Pomian – ci siedzieli

na przykład w Rymkunach w powiecie lidzkim – ale pochodzili ze Żmudzi.

Skąd jednak Rymkiewiczowie przyszedli do Kalisza – i którzy to? Powtórzmy na razie za Uruskim: „Ich rozróżnienie jest niepodobne”.

Jednak czegoś dowiedzieć się jednak można.

CO MÓWIĄ METRYKI

Gdzie szukać? Oczywiście: metryki! O wielki społeczny ruch wolontariuszy poświęcających swój czas indeksacji metryk polskich! O wspaniała Geneteko, portalu Polskiego Towarzystwa Genealogicznego (Geneteka.genealodzy.pl)! O cichy, żmudny procesie przywracania narodowej, rodzinnej tożsamości! Bez was nic prawie nie byłoby w tej historii ułożone. Bez archiwistów z kaliskiego archiwum, bez członków towarzystwa genealogicznego w Kaliszu i bez programów narodowego archiwum publikowania kolejnych milionów kopii aktów urodzeń, zgonów i małżeństw – Szukajwarchiwach.pl – nie posunęlibyśmy się zbyt daleko w tej historii. A tak – proszę tylko poczytać.

Metryka numer 192 z roku 1900 archiwum stanu cywilnego parafii św. Mikołaja w Kaliszu mówi nam, że Władysław Michał Szulc, ojciec poety, urodził się tego roku w tym mieście jako syn Adolfa Brunona Szulca i Ireny z Rymkiewiczów. Ojciec był buchalterem (księgowym) i miał lat 23. Z żoną Ireną, która miała lat 24, mieszkali w Kaliszu. Chrzest w parafii św. Mikołaja w Kaliszu (w kaliskiej katedrze) odbył się w lipcu, dziecko urodziło się 4 maja. Na marginesie metryki dopisano wiele lat później: „Decyzją Prezydenta miasta Łodzi z dnia 17 czerwca 1946 r., Nr XX-0-IV-3-1/47/46, zmienia się nazwisko Szulcowi Adolfowi Brunonowi na »Rymkiewicz«. Kalisz, dn. 23 I 1947 r. Urzędnik Stanu Cywilnego, Mgr. Zbigniew Typrowicz”. Trzeba zaznaczyć, że Adolf Brunon ani myślał podpisywać się imieniem Brunon – pod metryką widnieje odręczne: Adolf Bronisław. Oraz że w urzędowej notatce na marginesie jest pomyłka – w chwili decyzji zmieniającej jego nazwisko, od kilku lat bowiem nie żył. Zapis dotyczy zmiany nazwiska Władysława.

Ale wróćmy do Rymkiewiczów, bo Szulcami jeszcze będziemy się zajmować w innym miejscu. Już wiemy, że Irena była od swego męża rok starsza, potwierdza to metryka ślubu, który odbył się rok

pod której wpływem postanowił ostatecznie przestać nazywać się po niemiecku – zwyciężyła. Skąd ci Rymkiewiczze?

Zacząć trzeba (i wypada) od Ireny Rymkiewiczówny. „Śniła mi się moja babka Irena – prześliczna – jak żywa./ – Jareczku – powiedziała. – Twoja śmierć cię wzywa” – to początek jednego z oktychów z tomiku „Koniec lata w zdziczałym ogrodzie”. Wedle wspomnień matki poety, utrwalonych w zapiskach w jego domowym archiwum „Notatki z rozmów z moją matką”, Irena miała być „najmilszą osobą w rodzinie Szulców”. I była piękna. Pracowała w cukierni w Kaliszu, to tam poznał ją Adolf Brunon Szulc, młody celnik w Kaliszu. Tak właśnie mówi rodzinny przekaz. I nic więcej nie wiado-

FOT. ANDRZEJ HULIWKA

Janinie Marysieńce Rymkiewicz

to swą pierwszą książkę

opiewając

autor - przyjaciel

Wł. Rymkiewicz

Tomik opowiadań Władysława Rymkiewicza (ojca Jarosława Marka Rymkiewicza) z odręczną dedykacją autora FOT. ANDRZEJ HULIMKA

*Warszawa
12. III. 1929 r.*

■ wcześniej. W aktach stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej św. Mikołaja w Kaliszu przechowywanych w Archiwum Państwowym w Kaliszu metryka jej ślubu zapisana jest pod numerem 71 z 1899 r. Co wiemy z niego? Irena miała wtedy lat 23, pan młody 22. Potrzebna była zgoda Włocławskiej Konsystorii Generalnej, bo pan młody był luteraninem. Irena mieszkała wówczas w Kaliszu – „u krewnych w tutejszej parafii”. Oboje jej rodzice, Ignacy oraz Emilia z Malanowskich, nie żyli. Ślub odbył się w kościele w parafii Dobrzec, na co proboszcz katedry wyraził zgodę. Aha – Irena urodziła się wedle tej metryki także w Kaliszu, w parafii Najświętszej Marii Panny, czyli tam, gdzie sanktuarium św. Józefa. Podpisy odręczne – Irena z Rymkiewiczów Szultz i Bronisław Szultz.

Ta śliczna panienka z cukierni była siostrą mieszkającą u krewnych w Kaliszu.

SZUKAMY DALEJ

Mamy metryki zgonu jej ojca Ignacego. I ślubu wdowy po nim, Emilii – z panem Klimkiewiczem, z której dowiadujemy się, że młoda wdowa z córeczką Ireną

mieszkała w Kaliszu na ul. Łaziennej. Metryki chrztu Ireny i jej starszej o dwa lata siostry Zofii. Akt zgonu czteroletniej Zofii – w Warszawie. Akt zgonu ciotki Ireny, Elwiry, rodzonej siostry ojca. I akt ślubu tej ciotki – z Gustawem Nejmanem. Jest też metryka urodzenia ich syna, a ciotecznego brata Ireny, Stefana Nejmana i jego ślubu oraz akt urodzenia jego córki Antoniny w Słomczynie pod Warszawą, wraz z notką na marginesie, że ta kuzynka Władysława Szulca także po wojnie zmieniła nazwisko. Jest w końcu akt śmierci Bogumiły, jej babki, a praprababki poety.

Ale po kolei – sięgnijmy najpierw do metryki ślubu rodziców Ireny – Ignacego Rymkiewicza z Emilią Malanowską. Akta stanu cywilnego parafii św. Mikołaja w Kaliszu, rok 1873. Akt nr 62 mówi nam, że Ignacy – syn Jerzego i Bogumiły z Ordylowskich, urzędników, lat 22, urzędnik trybunału cywilnego, zamieszkały w Kaliszu, urodzony w Lachowie – zawarł ślub z Emilią lat 19, urodzoną i zamieszkałą w Kaliszu córką Nemezego Malanowskiego i Małgorzaty z Zakrzewskich Malanowskiej, młynarzy. Ojciec Ignacego, Jerzy, był obecny przy zawieraniu małżeństwa syna,

matka już nie żyła. Trybunał cywilny był powołanym w Kaliszu w 1810 r. sądem – poprzednikiem sądu okręgowego – i działał tu do 1876 r. Jesteśmy w 1873 r.: represje po powstaniu styczniowym obejmują nawet metryki – muszą być po rosyjsku. Ignacy pod tym aktem także kładzie podpis po rosyjsku. Cyrylicą – „Ignatij Rymkiewicz”. Jego żona po polsku.

A jak to było przy chrztach córek? Przeprowadzono je hurtem – obie dziewczynki, Zofia i Irena, zostały ochrzczone tego samego dnia u św. Józefa w Kaliszu. Zofia miała dwa lata, Irena trzy miesiące. Dowiadujemy się z tych aktów, że Ignacy Rymkiewicz jest wówczas urzędnikiem hipotecznym w Kaliszu (zatem nadal pewnie pracuje w trybunale cywilnym), ale mieszka w Chmielniku, na ówczesnych przedmieściach Kalisza, tam urodziły mu się dzieci. I na obu metrykach (rok 1876, nr 123 i 124) piękne zamazyste podpisy po polsku – Ignacy Rymkiewicz. Także po polsku, ale jeszcze z dodanymi eleganckimi zawijaszami, podpisany jest dwa lata później. Z jakiegoś powodu mieszka z rodziną w Warszawie, przy

ul. Elektoralnej. Tam, 2 listopada 1878 r., umiera starsza córeczka, Zofia. W akcie wpisanym w parafii św. Andrzeja pod numerem 537 Ignacy jest określony jako urzędnik policyjny. Ale z jakichś powodów nie zostaje nim długo. I nie zostaje w Warszawie. Przestaje być urzędnikiem policyjnym, hipotecznym, trybunalskim. Umiera trzy lata później w Księżej Wólce w parafii Niemysłów jako pisarz gminny. To kilkadziesiąt kilometrów od Kalisza, niedaleko Uniejowa. Według tej metryki z grudnia 1881 r. w chwili śmierci ma 29 lat. Mamy konkretną informację o miejscu urodzenia – wieś Wincenta, parafia Lachowo, powiat szczuczynski. Jego ojciec Jerzy wciąż żyje – mieszka kilkanaście kilometrów od Niemysłowa, w Kowalach Pańskich. Czyżby Rymkiewiczowie przybyli do Kalisza z łomżyńskiego? Od razu odpowiem – to był tylko przystanek w ich drodze. Ignacy miał starszą siostrę Elwirę. Z metryki jej ślubu z Gustawem Nejmanem dowiadujemy się, że urodziła się ona nie pod Szczucinem, ale w Mereczu w powiecie trockim w guberni wileńskiej w 1846 r. Zatem Litwa, miasteczko na wysokim brzegu rzeki, tam, gdzie Mereczanka wpada do Niemna. Zupełnie blisko Suwalszczyzny, gdzie autor „Rozmów polskich” co roku jeździł ze swoją rodziną na wakacje i gdzie kazał panu Mareczkowi rozważyć: „Ze czując się Polakami, czujemy się nadal, czujemy się także Litwinami. I dzięki Bogu, że jeszcze wielu z nas – ale czy wielu z nas? – tak właśnie swój los duchowy odczuwa, tak się dwoicie, w duchu polsko-litewskim, ustanawia”.

Wracamy do metryk. Jest akt zgonu Elwiry Nejman, w Głinojecku, zmarłej w 1885 r. Tam jest informacja, że zmarła urodziła się w Kownie. Nie dawałabym temu wiary, ważniejsze, bardziej wiarygodne są informacje o Mereczu, podane przy zawarciu małżeństwa przez samą pannę młodą i pewnie poświadczone dostarczonymi metrykami urodzenia. Jednak ta informacja o Kownie mówi nam coś innego – w świadomości rodziny Nejmanów Elwira Rymkiewiczówna pochodziła stamtąd, nie z Wileńszczyzny.

A co wiemy o ojcu Ignacego i Elwiry, a więc prapradziadku Jarosława Marka Rymkiewicza? Ano to na przykład, że Jerzy żył jeszcze w 1885 r. – to wynika z aktu śmierci Elwiry. Mieszkał w Kowalach Pańskich, ale wcześniej był ważnym urzędnikiem. A konkretnie – to wiemy z kolei z aktu małżeństwa Elwiry (rok

1867, parafia Blizanów, nr 1) – mieszkał w Grodziszczku w parafii Blizanów i był asesorem kolegialnym, dyrektorem „podkomórka celnego” w Grodziszczku. Rok wcześniej, gdy zmarła jego żona Bogumiła Ordyłowska, został opisany następująco: Naczelnik Komory Celnej Grodziszczko. Zatem był celnikiem – w Mereczu zresztą też. Tu z pomocą przychodzi „Rocznik urzędowy obejmujący spis naczelnych władz Cesarstwa oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1852” wydany w Warszawie. Podaje on informację, że w „Komorze Drugiej Klasy Wincenta” pracuje jako „p.o. Nadzorcy Składu i Wagstempelmejsztra S.G. Rymkiewicz Jerzy s. Ign.” (str. 537). Ów wagstempelmejsztra S.G. to urzędnik opieczętowujący wagony stemplem celnym. Wincenta była wsią na granicy Królestwa Polskiego i Prus. Z tego zapisu – raczej na pewno dotyczącego tego Jerzego, dowiadujemy się, że był on synem Ignacego – ów skrót Ign. właśnie to oznacza. Ale jest jeszcze jedna, już prawie ostatnia informacja, którą udało się zacytować z metryk. Żona Jerzego, Bogumiła z Ordyłowskich, która zmarła w 1866 r., urodziła się w miasteczku Kroź, w guberni kowieńskiej. Według aktu jej zgonu było to w 1821 r. Z publikacji dotyczących Kroź wynika, że w tym czasie był tam dom Ordyłowskich, z ogrodem (zaznaczony jest na mapce z 1835 r.) wzniesionym na miejscu dawnej bursy. W Krożach funkcjonowało znakomite kolegium jezuickie, potem gimnazjum pod patronatem Uniwersytetu Wileńskiego. Uczyli w niej lub uczyli się także różni Rymkiewiczowie. Rymkiewicz Eustachy – karmelita – był nauczycielem w latach 1797–1801, Rymkiewicz Onufry uczył się w pierwszej klasie w gimnazjum kroskim w 1829 r., Rymkiewicz Józef, oficer powstania listopadowego, to także uczeń gimnazjum w Krożach, w 1814 r. był w III klasie, a w 1831 r. w jego okolicach organizował oddziały powstańcze. Gdy dodamy do tego informację z „Herbarza szlachty żmudzkiej”, że w powiecie kroskim od najdawniejszych czasów siedzieli Rymkiewiczowie, to można przyjąć hipotezę, że to jest to miejsce, ta okolica, skąd przodkowie Jarosława Marka Rymkiewicza przyszli do centralnej Polski. Jednak dopóki nie znajdziemy metryki zgonu Jerzego Rymkiewicza lub jego aktu ślubu, dopóty to tylko przypuszczenia.

DO KROŻ

Co wiemy? Bogumiła Ordyłowska, praprababka poety, urodziła się (i póź-

niej mieszkała) w domu tuż obok murów gimnazjum w 1821 r. W tym roku pracę rozpoczyna nowy nauczyciel fizyki Jan Sobolewski. Jej rodzice – Wincenty i Antonina – znają nauczycieli gimnazjum, mijają się na uliczkach, widują w kościele – nie wiemy, kim byli, ale w małych Krożach trudno było się nie znać i nie mijać. Pani Ordyłowska pewnie miło się uśmiechała z maleńką córeczką na rękach, pan Sobolewski kłaniał się uprzejmie (choć był niekiedy zamyślony). Nim został zabrany na przesłuchania do Wilna, nim kibitką ruszył z Mickiewiczem na wschód, nim zginął w Archangielsku.

Z tego wynika, że genealogia Jarosława Marka Rymkiewicza prowadzi nas do Kroź, właśnie do punktu w historii, gdzie pojawia się tam Filomata Jan Sobolewski, powstaje bractwo „Czarni Bracia” i z męczeństwa tychże braci syją się potem na papier strofy III części „Dziadów”. „On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył, / I trzykroć krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła«./ Wpadli w tłum; ale długo ta ręka ku niebu, / Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu, / Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną, / Głowa niezawstydzona, dumna, z dała widna, / Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza, / I wystaje z czarnej tyłu głów natłoku, / Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą, / Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku, / I zostaną w mej myśli, i w drodze żywota, / Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota: / Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, / Zapomnij o mnie”.

Tak, to właśnie jest o uczniach z Kroź. Niektórych znali pewnie praprapradziadkowie autora „Żmutu”.

Czy to dlatego pewnego dnia u schyłku PRL Jarosław Marek Rymkiewicz, nie znając przecież powyższego wywodu, postanowił przekazać do podziemnego wydawnictwa maszynopis „Baketu”, książki skonstruowanej wokół procesu filomatów?

Jest jeszcze jedna informacja zaczerpnięta z metryk. Antonina Nejman, prawnuczka Jerzego i Bogumiły Rymkiewiczów, w 1947 r. zmienia nazwisko rodowe. Tak jak jej kuzyn Władysław Rymkiewicz nie chce być Niemką. Przyjmuje nazwisko prababki – tej żyjącej przed nią sto lat wcześniej, Ordyłowskiej rodem z Kroź.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewiczu.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIEŚLAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Być jak James Dean



★★★★★

**REŻ. JAMES
FRANCO**
„DISASTER
ARTIST”
USA 2017

wyst. James Franco,
Dave Franco,
Ari Graynor

Zapomnijcie o Edzie Woodzie, rzekomo najgorszym reżyserze wszech czasów. Nadchodzi Tommy Wiseau! Świat usłyszał o nim w 2003 r., gdy nakręcił kultowy film „The Room” z samym sobą w głównej roli. Miał to być rozdzierający serce melodramat, lecz wyszła brawurowa komedia. „Disaster Artist”, do niedawna murowany faworyt tegorocznych Oscarów, jest – z lekką tylko ubarwioną – rekonstrukcją wydarzeń, które doprowadziły do powstania owego niekonwencjonalnego dzieła.

Wiseau nie był sam. Razem z nim na podbój Hollywood wyruszył nieśmiały model Greg Sestero, który zapragnął zostać aktorem po obejrzeniu „Kevina samego w domu”. Parę outsiderów łączył kult Jamesa Deana oraz całkowi-

ta nieznajomość mechanizmów rządzących kalifornijską Fabryką Snów. W knajpach Los Angeles i Beverly Hills kelnerują lub tyrają na zmywaku niedoszli gwiazdorzy. Jeśli wezmą cię za grubą szyję z wytwórni, zamiast podwójnego cheeseburgera z serem możesz tam zostać poczęstowany monologiem Hamleta.

Mijają miesiące, Greg potulnie czeka na telefon od agentki, lecz w niepokornym Tommym wzbiera słuszny gniew. Mając dość upokorzeń i kpín z jego wampirycznego image’u, pisze scenariusz „w stylu Tennessee Williamsa” oraz montuje ekipę filmową. Jego kieszeń zdaje się nie mieć dna. Katastrofa zbliża się wielkimi krokami, gdyż reżyser debiutant jest rozdarty jak sosna u Żeromskiego: z jednej strony wyobraźnię ma zainfekowaną hol-

lywoodzkimi schematami, z drugiej – chciałby pokazać widzom swą znękaną duszę (i gołe pośladki).

Co począć, gdy twórca rzucający wyzwanie mainstreamowi okazuje się grafomanem? Można się tylko śmiać i „Disaster Artist” dostarcza po temu wielu okazji. Jest też pozytywny przekaz: nie wolno rezygnować z marzeń, a męska przyjaźń warta jest więcej niż 6 mln dol. Mimo wszystko rzecz ma posmak perwersji. James Franco, który wzorem Tommy’ego podjął się podwójnej roli: aktora i reżysera, pierwszy sukces odniósł, wcielając się w Jamesa Deana.

„The Room” z pewnością zyska teraz tysiące nowych fanów. Rozochocony Wiseau (naprawdę nazywa się Tomasz Wiczorkiewicz i pochodzi z Poznania) zapowiada wersję 3D. Za to w obozie „Disaster Artist” panuje żałoba. Franco padł ofiarą kampanii #metoo i z oscarowego pewniaka stał się infamisem, usuwanym ze zbiorowych fotografii. Producentom zabrakło czasu, by nakręcić nową wersję z udziałem lunatycznego Johnny’ego Deppa – pasowałby tu jak ulał. A Franco i jemu podobni mogliby odpokutować grzechy, występując nieodpłatnie w „Koronie królów”. Kontakt przez Wiczorkiewicza. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WINCHESTER. DOM DUCHÓW”

Kolejny krok w karierze reżyserskiego duetu (niemieccy bracia bliźniacy Spierigowie), który specjalizuje się w horrorze, ale błysnął także niedawno intrygującą i inteligentną ekranizacją prozy Roberta A. Heinleina („Przeznaczenie” według opowiadania „Wszyscy wy zmarli wstali”). Teraz proponują opowieść

grozy z Helen Mirren w roli głównej. Czy to możliwe, by zabytkowy karabin był siedliskiem dusz zastrzelonych z niego ludzi? ©

Piotr Gociek

• „Winchester. Dom duchów”,
reż. Michael Spierig, Peter Spierig,
Australia/USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „The Disaster Artist”,
reż. James Franco, USA 2017
(nasza recenzja powyżej)
- „Miłość pisana Braille’em”,
reż. Michel Boujenah, Francja 2016
- „Nowe oblicze Greya”,
reż. James Foley, USA 2018
- „Blask”, reż. Naomi Kawase, Japonia 2017

Nie drażnić szeryfa

Mildred Heyes, kobieta charakterna, pała nienawiścią do księży, Pana Boga, a najbardziej do policjantów, gdyż nie potrafią znaleźć zwyrodnialca, który zgwałcił i zamordował jej córkę. Próba zdopingowania stróżów prawa do bardziej energicznych działań przyniesie skutek, choć nie taki, jakiego oczekiwała. Szeryf Willoughby też lubi mieć ostatnie słowo. Zresztą każdy z mieszkańców Ebbling przy bliższym poznaniu zaskakuje. Od czasu „Twin Peaks” było już sporo okazji, by pojąć, że taka jest uroda amerykańskiej prowincji. Ambicje McDonagha sięgają jednak znacznie dalej niż tropienie dziwactw w małej społeczności, zarażonej przemocą i żądzą odwetu.

Angielski reżyser wszedł na terytorium penetrowane przez twórców westernów, a ostatnio przez Tommy'ego Lee Jonesa – zaludnione przez nieoczywistych bohaterów, którzy zanim na ekranie pojawią się napisy końcowe, potrafią przejść znaczącą metamorfozę. Dla aktorów taki scenariusz to gratka: podejrzewam, że Sam Rockwell zagrał tu rolę życia. Frances McDormand też daje radę, choć trudno się opędzić od myśli, że dekadę temu byłaby bardziej wiarygodna jako matka nastolatków. Jeśli istnieje sprawiedliwość, to „Trzy billboardy za Ebbling, Missouri” nie przegrają boju o najważniejsze Oscary z „Kształtem wody”. ©©

Wiesław Chelminiak

★★★★★
REŻ. MARTIN MCDONAGH
„TRZY BILLBOARDY ZA EBBING, MISSOURI”
USA 2017

wyst. Frances McDormand, Woody Harrelson, Sam Rockwell



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SUBNAUTICA”

Jest XXII w., a ty jesteś jedynym ocalałym z katastrofy statku matki, którzy przemierzył setki lat świetlnych z misją kolonizacji planety 4546B. Tutaj dopiero zaczynają się twoje problemy, ponieważ zamiast twardego gruntu pod nogami masz głębinę niekończącego się oceanu. Od

teraz będzie on dla ciebie schronieniem, miejscem pozyskiwania surowców oraz największym wyzwaniem. Szczególnie gdy zapuścisz się w nieodpowiednią grootę albo obudzisz coś, co do tej pory spało na dnie. Twój cel nie kończy się tylko na przeżyciu, ostatecznie chodzi o powrót



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na Ziemię. To słowo nigdy nie brzmiało lepiej. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Przygodowa/survival
- **Platforma:** PC/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Unknown Worlds
- **Kategoria wiekowa PEGI:** 12+

SZMUGLER BLUES

Umiarkowanie ekscytujący film, który całkowicie przeinacza fakty. Barry Seal nie był ofiarą CIA, które wkręciło go w nielegalny biznes i zęcało się nad nim okrutnie, nakazując mu pracować bez podwyżki oraz ubezpieczenia zdrowotnego. Bohater filmu Douga Limana został wyrzucony z pracy w liniach lotniczych za przekręty, przez wiele lat szmuglował narkotyki, był bliskim kumplem ważnych szczyh z kartelu z Medellin. I dopiero kiedy wpadł, strach przed więzieniem sprawił, że pilot przemitynik błagał wręcz o pracę dla amerykańskiego rządu. Tę szermiraną postać (znaną we właściwej, ponurej wersji m.in. z serialu „Narcos”) Hollywood próbuje przemienić w ofiarę amerykańskiej polityki zagranicznej. Nic dziwnego, skoro dla autora książki, która inspirowała twórców filmu, George H.W. Bush jest równie wstrętny jak Pablo Escobar (w filmie czarnym charakterem jest dla odmiany Ronald Reagan). I tak kręta oraz bandzior bez skrupułów otrzymał twarz ozdobioną chłopięcym uśmiechem Toma Cruise'a. ©©



wyst. Tom Cruise, Domhnall Gleeson, Sarah Wright

★★★★★
REŻ. DOUG LIMAN
„BARRY SEAL: KRÓL PRZEMYTU”
(„AMERICAN MADE”)
USA 2017,
FILMOSTRADA

SPRAWA POWAŻNIE NIEPOWAŻNA

Jak George Lucas podpisał najgorszą umowę w dziejach Hollywood. Jak Ronald Reagan pomógł wskrzesić kultową zabawkę, czyli żołnierza G.I. Joe? Dlaczego feministki nie mają racji, atakując lalkę Barbie? Tego dowiedzieć się można z serii dokumentalnej o najsłynniejszych liniach zabawek. Te plastikowe drobiazgi to wbrew pozorom sprawa poważna: do czasu premiery „Przebudzenia mocy” filmy z serii „Gwiezdne wojny” zarobiły łącznie ok. 7 mld dol. Wpływ ze sprzedaży zabawek wyniosły w tym czasie... 14 mld dol. Wśród pierwszych czterech odcinków serii polskiego widza szczególnie zdziwi ten poświęcony He-Manowi. Książę Eterni i wróg Szkieletora dotarł do nas dzięki serialowi animowanemu. Mało kto wie, że ta wieloodcinkowa produkcja to tylko efekt uboczny burzy mózgów w firmie Mattel, podczas której zastanawiano się nad problemem, „jak skutecznie wypromować nasze zabawki i konkurować z Lucasem”. ©© **recenzuje Piotr Gocięk**



serial dokumentalny

★★★★★
SEZON 1
„THE TOYS THAT MADE US”
USA 2017,
NETFLIX

★★★★★

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Poświęta **utraconego świata**

Po niemal pół wieku Państwowy Instytut Wydawniczy wznowia wydaną w 1972 r. w Klubie Interesującej Książki w przekładzie Jana Zimierskiego powieść Antala Szerba „Podróżny i światło księżycą”, wzbogaconą teraz o znakomity esej Teresy Worowskiej. W chwili polskiej premiery „Podróżny...” nie trafił w swój czas. Dzisiaj zupełnie inaczej patrzymy na Węgry i węgierską kulturę, rozczytujemy się w Sandorze Maraiu, niemal rówieśniku Szerba, cenimy takich współczesnych autorów jak Péter Esterházy czy László Krasznahorkai, popularność zdobył piszący o polskich sprawach György Spiró. A z bliższych epok Szerba warto jeszcze wymienić Csáthi i Kosztolányiego. No w ogóle jest inaczej i tym bardziej warto sięgnąć po reaktywowaną obecnie powieść Antala Szerba, powieść – powiedzmy to od razu – bardzo dobrą.

„Ukształtowały mnie książki; właściwie tylko książki i ludzie, którzy je napisali” – wyznał kiedyś ten węgierski pisarz. Życzył też sobie: „Chciałbym się zestarzyć jak Goethe. Przeżyć długie i zdrowe życie wśród książek”. Stało się zupełnie inaczej, choć do takiego właśnie życia przygotowywał się ten urodzony w 1901 r. humanista, literaturoznawca, wykładowca na uniwersytetach w Szegedzie i Kluź-Napoka, autor interesujących, eseistycznych historii literatur – węgierskiej i powszechnej. Na świat przyszedł w zasymilowanej rodzinie żydowskiej; był katolikiem. „W kręgach literackich lat trzydziestych ubiegłego wieku – pisze Teresa Worowska – powszechnie uważano go za najlepiej wykształconego i najsympatyczniejszego autora, który potrafił być naraz niestrudzonym badaczem, wiecznie ciekawym czytelnikiem, uważnym redaktorem, błyskotliwym pisarzem, sumiennym



FOT. PÉTER LITERARY MUSEUM

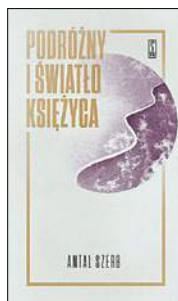
nauczycielem gimnazjalnym i przyjemnym gawędziarzem w towarzystwie”.

Jego sytuacja gwałtownie zmieniła się po rozpoczęciu przez Niemców okupacji Węgier w marcu 1944 r. Przypomniano wtedy pisarzowi o jego pochodzeniu, wyrzucono go z mieszkania, kazano mu nosić żółtą gwiazdę, wcielono go do tzw. oddziału służby pracy. Podobno przyjaciele zaproponowali mu wtedy schronienie, ale odmówił – prawdopodobnie dlatego, że w wymienionym oddziale przebywał z nim jego upośledzony umysłowo brat. Po przejściu władzy na Węgrzech przez strzałokrzyżowców – w październiku 1944 r. – Antala Szerba i inne osoby pracujące z nim w fabryce wywieziono najpierw do Austrii, a następnie z powrotem do obozu utworzonego w Balf koło

miasta Sopron. Tam właśnie 17 stycznia 1945 r. pisarz zakatowany został na śmierć.

„Podróżny i światło księżycą” opowiada o pełnej nieoczekiwanych wydarzeń podróży posłubnej bohatera powieści do Włoch. Mihaly, bo tak ma na imię, żyje jednak przeszłością i to ona decyduje o tym, co robi i jak widzi swoją przyszłość. Dopiero tam, we Włoszech, w trakcie opowiadania o sobie spotkanemu po latach znajomemu, dochodzi do wniosku, „że uważa za chybione swoje życie dojrzałego lub też pseudodojrzałego mężczyzny, małżeństwo [...], że nie wie, czego się ma właściwie uchwycić, czego jeszcze może oczekiwać od przyszłości i w jaki sposób mógłby odnaleźć samego siebie. A przede wszystkim, że niewymownie cierpi z powodu nostalgii za utraconą młodością i przyjaciółmi z tamtych lat”. Jednak przecież powieść Antala Szerba nie jest tylko płaczem za latami, gdy byliśmy piękni i młodzi. To także historia mozolnego poszukiwania innego, alternatywnego dla mieszczańskiego sposobu życia, egzystencji nasyconej czy przesyconej sztuką, usytuowaną na samym wierzchołku hierarchii wartości bohatera „Podróżnego i światła księżycą”.

Bohater Szerba – powiada Teresa Worowska – „należy do pokolenia, które wskutek pierwszej wojny światowej »straciło dach nad głową«. Ich dom nazywał się Europa, miał swoje liczne wady, ale oni jako dzieci czuli się w nim dobrze. Dopiero w latach dojrzewania zaczęli sobie powoli uświadamiać, co utracili. Zareagowali na to buntem wobec wartości wyznawanych przez pokolenie ojców, które obciążała wina za tę wojnę”. I ani się obejrzieli, a u progu ich życia stanęła wojna następna. I ta przyniosła kataklizm jeszcze większy. Jednak to generacja ta dopiero przeczuwała. ©©



★★★★★

ANTAL SZERB
„PODRÓŻNY
I ŚWIATŁO
KSIĘŻYCĄ”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czarodziejka z Ziemiomorza

Zbiór opowiadań „Wszystkie strony świata” Ursuli K. Le Guin był jedną z pierwszych „dorosłych” książek fantastycznych, które przeczytałem. Nie twierdzą, że wszystko od razu zrozumiałem. Byłem 11-letnim chłopcem edukującym się na „Astronautach” Lema, powieściach Verne’a i zeszytach z serii „Stało się jutro”. Rozumiałem jednak przynajmniej, to pamiętałem, że mam do czynienia z czymś niezwykle. A potem było już tylko lepiej. Gdy w 1983 r. ukazał się po polsku „Czarnoksiężnik z Archipelagu”, byliśmy (znaczy my, nastoletni fani) dumni nie tylko z tego, że przełożono na polski kolejną wybitną książkę z fantastycznego kanonu, lecz także z tego, iż tłumaczył ją sam Stanisław Barańczak. Cóż za nobilitacja dla literatury uznawanej pogardliwie za poślednią!

Ci, którzy nie lubią czytać fantastyki, cierpią na „nieufność wobec zmian, nieufność wobec wyobraźni” – pisała Le Guin w obronie gatunku literackiego, który uprawiała. „Nie chcę wiedzieć, że świat istniał przed nimi, że jest większy od nich i że będzie trwał bez nich. Nie lubię historii. Nie lubię fantastyki naukowej. Niech sobie jedzą w McDonaldzie i niech zaznają szczęścia w niebie” – kończy-

ła sarkastycznie. Sama była jednym z nielicznych twórców, którzy rozumieli, że w sformułowaniu „literatura fantastyczna” najważniejsza jest literatura, ale to druga część hasła przynosi cudowną wartość dodaną. A jest to, oprócz wyobraźni, „swawola, różnorodność i siła metafor, wolność od konwencjonalnych literackich oczekiwań i nawyków, moralna powaga, dowcip, czad oraz piękno”. A Ursula swym talentem rozsądzała nawet tak szeroko definiowaną konwencję.

Cytowane słowa pochodzą ze szkicu, który znajdziecie w tomie „Rybak znad Morza Wewnętrznego”, zbierającym w jednym miejscu pięć zbiorów krótkiej prozy Le Guin (włącznie ze „Wszystkimi stronami świata” oczywiście). Wydawnictwo Prószyński i S-ka wykonało znakomitą robotę, wydając w ostatnich latach także omnibusy z jej powieściami. W osobnym tomie mamy sześć powieści składających

się na cykl „Hain” (wraz ze słynną „Lewą ręką ciemności”), a w osobnym – wielotomowe „Ziemiomorze” (rozpoczęte „Czarnoksiężnikiem z Archipelagu”). Kolekcja cudownych literackich korespondencji od przyjaciółki, której nigdy nie spotkałem i już nie spotkam. Ursula K. Le Guin zmarła 22 stycznia tego roku. Przeżyła 88 lat. ©©



★★★★★
URSULA K. LE GUIN
„RYBAK ZNAD MORZA WEWNĘTRZNEGO”
PRÓSZYŃSKI I S-KA 2016

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podsumowanie ważnego nurtu w twórczości świetnego poety. Połączona edycja głośnego tomu wierszy „Łączka” oraz tekstów i wywiadów (także fotografii) inspirowanych pracami IPN na kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach.



PRZEMYSŁAW DAKOWICZ
„KWATERA ZMARTWYCHWSTAŁEJ PAMIĘCI”
SICI!

To już 11. tom serii o Myronie Bolitarze, rozpoczętej w 1995 r. bestsellerową powieścią „Bez skrupułów”. Dziesięć lat po porwaniu dwóch sześciolatków jednego z zaginionych widziano podobno w Londynie. Przełom czy mistyfikacja?



HARLAN COBEN
„W DOMU”
ALBATROS

Powieść historyczna stylizowana na pamiętnik mieszkanki Poznania, obejmująca niemal cały XIX w. W dużym stopniu inspirowana rodzinnym archiwum autorki, badaczki i znawczyni literatury oraz historii.



DONATA DOMINIK-STAWICKA
„TAJEMNICA SEKRETA RZYSKA”
SKRZAT

W sam raz na finał pierwszej części piątego sezonu serialu „Wikingowie” – pięknie napisane wprowadzenie w świat wikingów, członka (wraz z Tolkienem i C.S. Lewisem) grupy Inklings. ©©

poleca Piotr Gociek



ROGER LANCELYN GREEN
„MITY SKANDYNAWSKIE”
ZYSK I S-KA

NAJLEPSZE KSIĄŻKI HISTORYCZNE ROKU 2017: WYBÓR JURY:

1. **Sheila Fitzpatrick „Zespół Stalina. Niebezpieczne lata radzieckiej polityki”** (Wydawnictwo Czarne)
2. **Praca zbiorowa pod red. Melvyn P. Leffler i Odda Arne Westada „Historia zimnej wojny. T. 1. Genezą”** (Napoleon V)
3. **Edward N. Luttwak „Zamach stanu. Podręcznik”** (Wydawnictwo Naukowe PWN)

WYBÓR CZYTELNIKÓW:

1. **Marta Grzywacz „Obrona skarbów. Karol Estreicher – w poszukiwaniu zaginionych dzieł sztuki”** (Wydawnictwo Naukowe PWN)
 2. **Praca zbiorowa „Czas ziemiaństwa”** (Ośrodek Karta)
 3. **Mariusz Wollny „Był sobie król... Poczet Piastów”** (Jama)
- (Konkurs i plebiscyt na najlepszą książkę historyczną „Historia zebrana” jest od 2011 r. organizowany przez redakcję portalu historycznego Histmag.org oraz wortalu literackiego Granice.pl).



MARCIN MAKOWSKI

PRZY GRANIU

Otym, że jako kraj jesteśmy w tej chwili zapędzeni w polityce historycznej do ciasnego narożnika, nie trzeba nikogo przekonywać. Co innego wiedzieć, co innego rozumieć skalę tego zjawiska. Jest jeden przykład, który mówi więcej niż tysiąc podręczników.

To opisywana już w „Do Rzeczy” gra komputerowa „Call of Duty: WWII”. W dużym skrócie zarzuty, które można postawić najpopularniejszemu tytułowi 2017 r., są następujące: w wojennej narracji nie ma ani słowa o Polsce, Niemcy często przedstawiani są jako ofiary własnego systemu, nigdzie nie uświadczymy się swastyk, a do miana największych herosów tamtych lat urastają amerykańscy żołnierze lądujący w Normandii i heroiczny francuski ruch oporu.

Prawdziwe kuriozum i de facto pokazanie miejsca w szeregu polskiej polityce historycznej przyszło 30 stycznia, wraz z premierą dodatku „Resistance”,



FOT. MATERIAL PRASOWE

To w Polsce było jakieś powstanie?

wprowadzającego do rozgrywki europejski ruch oporu. Jego reprezentantami są Francuzi. Armia Krajowa dostępna jest jedynie jako poboczna frakcja, zrównana z przedstawicielami ruchu oporu z Włoch albo Rosji.

Chwilę po zapowiedzi dodatku liczyłem na możliwość gry w ruinach Warszawy i zasłużoną promocję heroizmu naszych rodaków. Przecież nie da się mówić o buncie przeciw Niemcom bez polskiej stolicy, prawda?

Nic z tego. Wśród trzech map dodanych do podstawowej puli w „Resistance” otrzymujemy Paryż, Pragę i... Wilczy Szaniec (operacja „Walkiria”). Czyli, po pierwsze, powstanie na ostatni gwizdek, które uratowali Amerykanie, czeskie pseudopowstanie z maja 1945 r. i zamach na Hitlera, który ma prezentować „niemiecki ruch oporu”, a w rzeczywistości był puczem niemieckich oficerów. W takim miejscu w tej chwili jesteśmy. To dramat. ©©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czarny Urbaniak

Projekt Urbanator powstał w 1989 r. Nasz eksportowy skrzypek był w awangardzie muzyków, którzy połączyli jazz z hip-hopem. Szesnaście lat później narodził się projekt Urbanator Days, czyli warsztaty z udziałem amerykańskich i polskich muzyków.

Album „Beats & Pieces” jest efektem tamtych jamów. Pierwszy od 10 lat album Urbaniaka iskrzy młodością i wszelakimi odmianami współczesnej, czarnej muzyki. Za jazzowy feeling odpowiada mistrz ceremonii, ale jego skrzypce nie tylko nie dominują, lecz wręcz są na drugim planie. Urbaniak za to więcej niż zwykle gra na saksofonie, który świetnie współgra z trąbką Michaela „Patchesa”. Drugą, obok lidera,

najważniejszą postacią projektu jest Marek Pędziwiatr. Muzyk fantastycznego jazzowego zespołu EABS nie tylko zagrał, lecz także wystąpił w roli wokalisty, autora tekstów, aranżera, kompozytora i producenta.

Ten międzynarodowy urbajazz buja wyśmienicie i nie trzeba być miłośnikiem jazzu, by słuchając płyty, doskonale się bawić. Nie jest to nowatorska muzycznie propozycja, ale pod względem wykonawczym i produkcyjnym projekt naprawdę wyśmienity. Podejrzewam, że na scenie zabrzmi to jeszcze lepiej, szczególnie że raper Andy Ninvalle jest rewelacyjnym tancerzem.

I jeszcze jedna rzecz: w kończącym album utworze „Burning Circuits” pojawia się była żona mistrza, Urszula Dudziak. ©©



★★★★★
URBANATOR DAY
„BEATS & PIECES”



★★★★★
JOE SATRIANI
„WHAT HAPPENS
NEXT”
SONY

22. album mistrza świata w bieganiu po gitarze. Satriani wspólnie z weteranami – Glennem Hughesem (eks Deep Purple) i Chadem Smithem (RHCP) – ostro wymiatają w hardrockowej stylistyce. Instrumentale przepelnione solówkami dla wiernych fanów. ©©



★★★★★
POLSKA ORKIESTRA
RADIOWA
„HENRYK WARS
– UTWORY
SYMFONICZNE”
POLSKIE RADIO

Warsa znany jako fenomenalnego kompozytora szlagierów i muzyki filmowej. Utwory symfoniczne, powstałe w USA w latach 1947–1977, odkryto niedawno. Brzmia fantastycznie w interpretacji orkiestry pod batutą Michała Klauzy. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

HISTORIA SKOKÓW NARCIARSKICH W II RP

- Piotr Zychowicz – **Gdzie jest ciało „Śmigłego”?**
Sławomir Koper – **Ucieczka Naczelnego Wodza**
Sławomir Cenckiewicz – **Wałęsa kontra grafolodzy**
Karl Ludvigsen – **Porsche: geniusz w służbie Hitlera**
Mariusz Olczak – **Abwehra kontra Kedyw**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Stalin był wrogiem Rosji**
Marcin Bartnicki – **Skandal pedofilski w II RP**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Tomasz P. Terlikowski

Od jakiegoś czasu po „otwartej stronie” Kościoła trwały nieustanne zachwyty nad tą książką. „Otwieranie drzwi” miało pokazywać głębię tego pontyfikatu, jego otwarcie na ludzi i wreszcie wskazywać ważne uzasadnienia teologiczne reformy Franciszka



Co jest za tymi

Papież Franciszek w Błękitnym Meczezie w Stambule podczas podróży apostolskiej do Turcji, listopad 2014 r. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Sięgnąłem więc po wywiad rzekę, który francuski intelektualista Dominique Wolton przeprowadził z Franciszkiem. I niestety muszę jasno powiedzieć: żadnej z tych obietnic składanych przez zachwyconych nią „liberalnie” nastawionych katolików książka ta nie spełnia. Daleko jej do wywiadów rzek z Benedyktem XVI, Janem Pawłem II czy nawet nieco zapomnianych już rozmów Jeana Guittona z Pawłem VI.

Nie chodzi nawet o to, że Franciszek ma zupełnie inne podejście do wielu spraw, ale o to, że o ile po lekturze tamtych publikacji pewne rzeczy można było uporządkować, lepiej zrozumieć, o tyle po lekturze tej w głowie pozostaje głównie chaos. Tematy wciąż wracają, myśli nie są dokończone.

Wolton podrzuca papieżowi setki pomysłów na nowe encykliki (o Twitterze i Facebooku, o komunikacji, o złu pieniądza), a także formułuje opinie na temat wiary żywcem wyjęte z podręcznika młodego bolszewika (o setkach tysięcy ateistów zabitych przez katolików) i przekonuje, że komuniści przed Stalinem to byli niemal święci (tak, tak Lenin, Dzierżyński, Trocki, choć mają na rękach krew milionów, to byli niemal święci i dopiero Stalin zepsuł idee), a papież albo unika odpowiedzi na te absurdalne stwierdzenia, albo nie polemizuje z nimi wprost, albo – w przypadku mniej absurdalnych stwierdzeń – ostrożnie przyznaje im rację.

Tak jest, gdy dopytywany przez Woltona, czy przypadkiem zamordowanie przez muzułmanów ks. Jacques’a Hamela nie powinno skłonić chrześcijan do odwiedzania meczetów, co miałoby pogłębić dialog międzyreligijny, Franciszek odpowiada, że owszem. „... chrześcijanie nie odwiedzają jeszcze meczetów. Powinni je odwiedzać w dni świąteczne, modlić się trochę z muzułmanami. To byłoby coś dobrego” – mówi. Dlaczego mieliby to robić? Odpowiedzi nie ma, poza rytualnym powtarzaniem, że to konieczne, by budować mosty. Refleksji o tym, dokąd te mosty mają prowadzić, brak.

DYNAMICZNA TRADYCJA

Te surowe słowa wcale nie sprawiają jednak, że książkę tej nie warto przeczytać. Jest wręcz przeciwnie. Taka forma (nieuporządkowana, chaotyczna, wyraźnie nieprzemysłana przez Woltona) sprawia, że pewne kwestie ujawniają się w niej lepiej. Tak jest z wizją „dynamicznej tradycji”, „tradycji w ruchu”, którą przedstawia w kilku rozmowach Franciszek, a która

drzwiami?

– i to trzeba powiedzieć zupełnie wprost – leży u podstaw doktrynalnych zmian, które podejmowane są w czasie jego pontyfikatu. „Tradycja nie może w żadnym wypadku być ideologiczna” – przekonuje Franciszek. „Tradycja, która staje się ideologią, nie jest już tradycją. Jest martwa” – dodaje chwilę później. Co oznaczają te krótkie jak tweety refleksje?

To staje się jasne, gdy przeczytamy fragment o karze śmierci. „Nasi biskupi w średniowieczu nakazywali jej wykonywanie. Dziś Kościół mówi zasadniczo – trwając w tej kwestii prace nad katechizmem – że kara śmierci jest niemoralna. Czy zatem tradycja uległa zmianie? Nie, ale świadomość, również ta moralna, ewoluuje [...]. Prowadząc dialog i słuchając opinii innych, mogę – jak w przypadku kary śmierci [...] – zmieniać swój punkt widzenia. Bez zmieniania doktryny. Doktryna wzrasta ze zrozumieniem. To jest podstawa tradycji” – przekonuje Franciszek.

Czytając ten fragment, można skupić się na jego nieprecyzyjności (bo tak się składa, że to nie tylko biskupi średniowieczni zgadzali się na karę śmierci, lecz także nawet ogłoszony przez św. Jana Pawła II katechizm uznawał ją – w pewnych, ograniczonych warunkach – za karę uprawnioną, i dopiero Franciszek zmienił w jednym przemówieniu tę doktrynę i nakazał prace nad zmianą katechizmu), ale nie byłoby to szczególnie owocne. O wiele istotniejsze jest bowiem to, co z tych słów wynika. A wynika z nich, że jeśli to, co przez wieki było uważane za dobre, uznamy za złe (bo zmieniła się „świadomość moralna”), to nie będzie to zmiana, lecz rozwój. Nie jest to niestety przesada, ale prosta konsekwencja tego, co powiedział papież. Albo bowiem kara śmierci jest moralnie dopuszczalna, albo jest niemoralna. Te tezy są ze sobą sprzeczne, nie można zatem powiedzieć, że jedna wyrasta z drugiej albo że dowodzi rozwoju doktryny.

Innym przykładem takiego rozwoju doktryny jest stosunek papieża do związków osób tej samej płci. Franciszek opowiada się przeciwko nazywaniu ich małżeństwami, ale ostrożnie proponuje, by nazwać je „związkami partnerskimi i...”. No właśnie, co za tym „i” idzie, nie wiemy, bo propozycja nie pada, ale ton rozmowy jest taki, że jeśli nie ma innego wyjścia, to pewnie można jakoś zaakceptować ich wprowadzenie do prawodawstwa. Jeśli zaczniemy myśleć w kategoriach „doktryny dynamicznej”, to nie ma najmniejszych powodów, żeby nie uznać, że świadomość

moralna się zmieniła (a w społeczeństwie się zmieniła), a zatem nie ma powodów, by nie zmienić także „swojego punktu widzenia”. Taką samą argumentację można zresztą zastosować do każdej opinii moralnej głoszonej przez Kościół. Ostatnio dziennik włoskiego episkopatu „Avvenire” zaproponował, by tak podejść do antykoncepcji.

„DOSYĆ APOLOGII”

I biada tym, którzy się z takim widzeniem tradycji nie zgadzają. Dla nich Franciszek (w odróżnieniu od polityków lewicy) nie ma dobrych słów. Oni są faryzeuszami, ideologami, zachowują sztywność i do tego się nie uśmiechają. „Znają na pamięć katechizm” – oskarża ich Franciszek, ale wyznają jedynie „chrześcijańską ideologię”. „To są chrześcijanie bez Chrystusa” – grzmi papież. A słowa te, jak się zdaje, nie dotyczą tylko tych, którzy głoszą „sztywną moralność”, za którą Franciszek nie przepada, lecz także tych, którzy chcą głosić apologię chrześcijańską. Dla nich także nie ma dobrych słów. „Dosyć apologii. Jeśli cię o coś spyta [ateista], to odpowiedz mu zgodnie ze swoim ludzkim doświadczeniem. Dialog należy prowadzić w oparciu o doświadczenie ludzkie. Ja jestem wierzący, ale wiara jest darem, darem Boga. Nikt nie może mieć wiary sam z siebie. Nikt. Nawet gdyby przeczytał całą bibliotekę. To dar. I jeśli nie masz tego daru, to Bóg zbawi cię w inny sposób” – mówi Franciszek.

Trudno tu nie zadać pytania o to, jak mamy głosić prawdy wiary chrześcijańskiej, jak uzasadniać prawdę o Trójcy Świętej czy zbawczej misji Chrystusa bez odwołania się do apologetyki i apologii. To nie są prawdy, które ogarnąć można naszym ludzkim doświadczeniem, i mieli tego świadomość wszyscy wielcy mistrzowie wiary – od Orygenesza przez św. Tomasza z Akwinu i św. Bonawenturę aż do Benedykta XVI. Nie jest więc jasne, dlaczego teraz mamy z tego rezygnować. Dlaczego mamy rezygnować z wielkiej tradycji Kościoła na rzecz naszego, z konieczności bardzo skromnego, ludzkiego doświadczenia? Jeszcze mniej jasne jest to, skąd Franciszek wie, że jeśli nie uwierzymy, to Bóg zbawi nas w inny sposób? I Jezus w Ewangelii św. Jana oraz św. Paweł w swoich listach wskazują na zupełnie co innego. Kościół zaś jak dotąd,

choć nigdy nie potępił niewierzących, to zawsze bardzo ostrożnie wypowiadał się na temat tego, w jaki sposób mogą być oni zbawieni. Wiara w Chrystusa jest bowiem – i jest to prawda obowiązująca nie tylko katolików, lecz także wszystkich chrześcijan – jedynym sposobem, w jaki Bóg zbawia świat i człowieka. Nie istnieje także „prawo do zbawienia”, które zdają się sugerować słowa Franciszka.

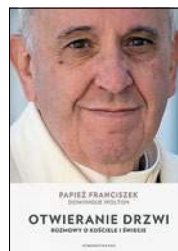
O fundamentalizm zaś oskarżeni są ci wszyscy, którzy wyrażają wątpliwości wobec sugestii, by udzielać komunii rozwodnikom w ponownych związkach.

CZY DOKTRYNA TO ZWYCZAJE?

„Ten sam problem istniał w czasach Jezusa, gdy zaczął On przemawiać. Ludzie rozumieli Go doskonale i radowali się, gdyż mówił z mocą. Natomiast ówczesni »doktorzy Kościoła« byli zablokowani. Byli fundamentalistami. Dotąd można, ale dalej nie. To jest walka, którą prowadzę w związku z adhortacją »Amoris laetitia« . Niektórzy bowiem jeszcze mówią: »To można, tego nie można«. Ale istnieje inna logika. Jezus Chrystus nie przestrzegał zwyczajów, które stały się niemal przykazaniami: dotykał trędowatych, kiedy nie wolno ich było dotykać, nie chciał kamienować cudzołężnicy, co inni robili” – wyjaśnia papież.

I aż się prosi, by zapytać w tym kontekście, czy fundamentalista i osoba zblokowaną był także Jezus, gdy w Ewangelii jasno wskazywał, że: „Każdy, kto oddała swoją żonę, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo; i kto oddaloną przez męża bierze za żonę, popełnia cudzołóstwo”? Albo czy istnieje jasna i wyraźna granica między przykazaniami Dekalogu a zwyczajami? Niestety, pytania te nie padają, a papież niekrepowany żadnymi niewygodnymi pytaniami zmierza ku innemu tematowi, choćby tłumacząc, że „lud jest kategorią mityczną”. Odpowiedzi na te – zapewne faryzejskie, fundamentalistyczne i ideologiczne pytania – nie poznamy. A szkoda, bo nie wynikają one z ideologii, ale z dwóch tysięcy lat Tradycji, nauczania Pisma Świętego. Można oczywiście zapewniać, że zmieniła się „świadomość moralna” i że papież wytycza nowe szlaki, ale... trudno to uznać za uzasadnienie mogące mieć znaczenie dla poważnej debaty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PAPIEŻ FRANCISZEK, DOMINIQUE WOLTON „OTWIERANIE DRZWI. ROZMOWY O KOŚCIELE I ŚWIECIE” TŁUM. M. CHOJNACKI, WAM 2018

**POD WĄS**

Meksyk

IGOR ZALEWSKI

Mam przyjemność, nie ukrywam, że sporą, podróżowania teraz po Meksyku. Z powierzchownego oglądu wynika, że Meksykanie to wielcy patrioci. Zielono-biało-czerwonych flag jest zatrzęsienie. Liczne święta narodowe są tu podobno obchodzone hucznie i entuzjastycznie. Pomników historycznych mężów jest bez liku. Meksykanie są bez wątpienia bardzo dumni z Meksyku.

Sę w tym, że Meksyk to klasyczny przykład państwa dysfunkcyjnego. Czyli takiego, które nie bardzo radzi sobie z byciem państwem. Dlatego kartele narkotykowe są tu tak silne. Policja bywa do tego stopnia skorumpowana i zinfiltrowana przez świat przestępczy, że jej funkcje niekiedy musi wypełniać wojsko. Wymiar sprawiedliwości nie zawsze jest sprawiedliwy. Politycy czasem służą wyborcom, ale czasem gangsterom. Są widoki na to, że Meksyk odbił się już od dna, ale wcześniej pogrążony był tak głęboko, że dystans do powierzchni jest wciąż daleki.

Ta dysfunkcjonalność jest tym bardziej przynębiająca, że Meksyk sąsiaduje ze Stanami Zjednoczonymi, które są równie pobudzone patriotycznie, ale zarazem stanowią doskonale działającą maszynę państwową. Nie tylko państwową: parę lat temu Amerykanie ograli tutejszą reprezentację w piłkę nożną, co było dla Meksykanów prawdziwą traumą, bo

futbol był jedyną przewagą, jaka im pozostała nad gringos. Na tle bogatszego, ale przede wszystkim lepiej zorganizowanego kuzyna z północy Meksyk jawi się dość ponuro, a odpowiedź na pytanie o to, dlaczego po jednej stronie rzeki Rio Grande jest tak dobrze, a po drugiej tak źle, jest oczywista i pojemna.

Przyczyn jest wiele, ale ja zmierzam do czego innego. Do tego, że sam patriotyzm nie wystarcza do zbudowania dobrego, skutecznego państwa. I na przykładzie tego północno-amerykańskiego duetu widać to idealnie. Oba kraje są do siebie podobne, jeśli chodzi o poziom dumy narodowej oraz dziarski – z europejskiego punktu widzenia trochę infantylny – styl demonstrowania tej dumy. Jednak na tym podobieństwa się kończą. Samo rozbudzenie ducha patriotycznego, narodowa celebra i strojenie się przy każdej okazji w ojczyźniane barwy w żaden sposób nie przekłada się na siłę i pozycję zakochanego w sobie narodu.

Te biorą się zupełnie skądinąd. To „skądinąd” wymaga niestety więcej wysiłku i talentu niż podniosła retoryka. Zresztą – jak pokazują ostatnie wydarzenia – nawet w promowaniu treści narodowych i patriotycznych same treści narodowe i patriotyczne nie wystarczą. Trzeba jeszcze coś zaplanować, wykreować i popracować. Patriotyzm nie może być alibi dla nicnierobienia, bo wtedy jest bardzo niepatriotyczny. ©

**KRÓTKO PO WOLSKU**

Scenariusz

MARCIN WOLSKI

Nie wiem, kto zaplanował ten scenariusz i co gorsza, czy jego biurko znajduje się na wschodzie czy na zachodzie, ale od jakiegoś czasu wszystko postępuje zgodnie z ponurym planem i z przerażającą konsekwencją. Kiedy wielu zaczęło się wydawać, że dobra zmiana jest bezalternatywna i nic nie może powstrzymać Polaków w pędzie do lepszego jutra, zaczęły się dziać rzeczy bardzo dziwne.

Jeśli oskarżenia o faszyzm miotane zaraz po Marszu Niepodległości były groteskowe i ośmieszały oszczerców, ko-

o cenzurę i tłumienie wolności badań naukowych, nawet jeśli nie o to chodzi.

Jakie mogą być dalsze kroki tej niewątpliwie wojny hybrydowej? Scenariusz może jeszcze nas zaskoczyć. Osobiście znam tylko stałe elementy gry: nagłaśnianie niemądrych spontanicznych wypowiedzi, nagonka w prasie. A jeśli jeszcze dojdzie do demonstracji pod ambasadą Izraela? Do kompletu brakuje hasła na murach i beczeszczonych nagrobków. Przez kogo? Nieznani sprawcy żyją przecież wśród nas. Kogo jednak interesują szczegóły. Już teraz określają nas – żeby było zabawniej, Niemcy – „stolicą światowego rasizmu i antysemityzmu”. Złapali wiatr w żagle. A my co na to? Spokój, spokój i jeszcze raz spokój! Lanie wody na gorące głowy i tłumaczenie mechanizmu prowokacji. Nie brakowało ich w naszej historii. Jeden tumult antyprotestancki w XVIII w. dał argumenty państwu zaborczym do interwencji w Polsce i propagandowo zniszczył tradycje trzech wieków tolerancji...

Kiedy krzywdzą nas, opluwają i oskarżają niestusznie, istnieje naturalna chęć, aby się odwinąć, wałnąć tak, by w piętę poszło. Rozsądek wszelako postuluje wcześniejszy bilans ewentualnych strat i zysków. Nie mówię, żeby od razu nadstawiać drugi policzek. Jednak można cofnąć się o krok i porozmawiać. Przecież autorem „scenariusza” wcale nie musi chodzić o interes tych, których się na nas napuszcza. A wręcz przeciwnie! ©

Nieznani sprawcy żyją przecież wśród nas

lejna odsłona już tak śmieszna nie jest. Oto znalezione zostaje nagranie grupki młodocianych idiotów fetujących Adolfa Hitlera, nieważne, że stare, to bez znaczenia, ale zostaje nagłośnione w odpowiednim czasie. Cokolwiek historyczna reakcja władz upewnia organizatorów prowokacji, że trafili. Idą za ciosem.

Czy zły duch podsunął parlamentowi ustawę o IPN w tym właśnie momencie? Intencje były słuszne – oburzenie z powodu wycierania sobie gęby polskimi obozami zasadne. Tylko dlaczego ustawa nie ograniczała się do „kłamstwa obozowego”? Ktoś przedobrzył, pospieszył się, rozszerzył – i nieszczerście gotowe. Jak łatwo zaraz szermować oskarżeniami

Lipiec 2016 r. – Hillary Clinton oskarża Rosjan o atak na serwery Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej.

Kwiecień 2017 r. – Brytyjczycy 10 miesięcy po brexicie orientują się, że ktoś grzebał im w dostępie do strony rejestrującej wyborców. Czerwiec 2017 r., wybory prezydenckie we Francji – sztab Emmanuela Macrona wścieka się na hakerów, którzy wykradli 9 GB danych z serwerów ruchu En Marche! i opublikowali je miesząc z fałszywkami. I wreszcie październik 2017 r. – wychodzi na jaw, że Rosjanie, rok przed wyborami i rok po nich, dotarli ze swoją wizją świata do 126 mln Amerykanów za pomocą postów na Facebooku.

Można się spierać, czy miało to wpływ na wybory. Pewne jest, że wywoływało chaos, którym ktoś mógł zarządzać.

POLSKA „SZYBSZA”

Podczas ostatnich wyborów samorządowych w 2014 r. polskie instytucje same wprowadziły chaos, stawiając wiarygodność regionalnych głosowań pod znakiem zapytania. Przetarg na program informatyczny wspomagający liczenie głosów z dość tanią ofertą (429 mln zł) wygrała firma Nabino z Łodzi. – Okazało się, że firma niewiele wiedziała na temat systemu i prawa wyborczego – przyznaje dziś Beata Tokaj, szefowa Krajowego Biura Wyborczego. System się posypał, miał błędy, a audytorzy potwierdzili, że zabezpieczenia zastosowane w programie były słabe i mogły stanowić poważne zagrożenie.

Dzisiaj, według Beaty Tokaj, w szkolnej skali od 1 do 6 ryzyko ataku hakerskiego wynosi 2,5, natomiast zabezpieczenia przed atakiem zasługują na szóstkę. – Nauczona tym, co się stało w 2014 r., podjęłam decyzję o utworzeniu jednego wspólnego i spójnego systemu wspomagającego pracę organów wyborczych. Stworzone zostały oddzielne moduły do obsługi wyborów powszechnych prezydenta RP, Sejmu i Senatu, do Parlamentu Europejskiego i jednostek samorządowych samorządu terytorialnego, a także do referendum ogólnokrajowego. Wszystkie one muszą się jednak zająć w ramach wspólnej platformy wyborczej – mówi szefowa KBW.

WARUNEK DLA PROPAGANDY

Aby dezinformacja i wpływanie na czyjeś poglądy mogły odnieść skutek, muszą być spełnione trzy warunki. Pierwszy z nich to masa krytyczna, czyli odpowiednia liczba propagatorów przekazywanych



Sławomir Cedzyński

Polska jest cały czas atakowana w cyberprzestrzeni i przy wyborach samorządowych ta ofensywa się z pewnością nasili. Czy będziemy gotowi?

informacji. Chodzi o to, by tłumy przyjęły narzucone przesłanie jako własne.

Drugim warunkiem powodzenia dezinformacji jest odpowiedni nurt, moda, która pomoże bezrefleksyjnie podążać za wskazaną informacją, byleby utrzymać się w dobrym tonie i towarzystwie.

Wreszcie trzecim czynnikiem umożliwiającym wprowadzenie w obieg dezinformacji jest czas. To proces, którego nie da się zakorzenić z dnia na dzień.

Jakiego więc przekazu należy się spodziewać? Według Kamila Basaja z fundacji Bezpieczna Cyberprzestrzeń w skali makro cele dwóch głównych wektorów ataku to MSZ i polityka obronna. Ma to prowadzić do utraty wiarygodności państwa, a co za tym idzie – do poczucia zagrożenia i osamotnienia. Z drugiej strony skłania do poszukiwania innych gwarantów bezpieczeństwa. – Dlatego obok straszenia wojną i swoimi możliwościami militarnymi kolejnym wektorem ataku będzie ukazywanie siebie jako gwaranta stabilizacji i pokoju. Te trzy wektory to skrywane formy agresji, która sama w sobie jest kształtowaniem środowiska dezinformacji – twierdzi ekspert.

Czy w Polsce podobna narracja może trafić na podatny grunt? W czasie inten-

sywnej wojny na wschodzie Ukrainy w mediach coraz częściej pojawiały się wątki dotyczące możliwości realnego ataku na Polskę. W marcu 2015 r., w czasie gdy przyglądaliśmy się walczącym Ukraińcom, przez Polskę przetaczała się dyskusja: Czy warto się bronić i nawet zginąć za swój kraj? Oto wypowiedzi niektórych ówczesnych liderów opinii.

Andrzej Olechowski, współtwórca PO, były minister finansów, potem szef MSZ, dwukrotny kandydat na prezydenta, stwierdził na antenie TVN24: – Założenie jest takie, że Rosjanie też nie chcą otwartej, na dużą skalę wojny. Takie jest założenie, ale ono może być kompletnie fałszywe. Jeśli Rosjanie są gotowi i są chętni do wojny, to trzeba się pakować, daję słowo. Trzeba się pakować i wyjeżdżać... do Australii.

Janusz Palikot, ówczesny kandydat na prezydenta, na pytanie portalu Wp.pl, co by zrobił, gdyby wybuchła wojna, odpowiedział bez wahania: – Zostałbym, ale nie walczyłbym za kraj. Nie pozwoliłbym na rozlew krwi. Lepiej się poddać, niż prowadzić wojnę.

Maria Peszek, popularna aktorka i wokalistka: – Gdyby moja ojczyzna popadła w jakieś tarapaty, myślę tu o sytuacji zbrojnej, to ja natychmiast zostaję dezertorem.

na wybory



FOT. FOTOLIA72 KREDEK

Nie zostaję sanitariuszką, nie schodzę do kanału. Pierwsza rzecz, jaką robię, to spier...m po prostu.

(NIE) WARTO SIĘ BRONIĆ...

Mirosław Maj nie ma wątpliwości, że pytanie: „Czy warto się bronić i walczyć za swój kraj?” idealnie nadaje się do operacji informacyjnej. – Wolałbym jednak mówić o wypowiedzi Andrzeja Olechowskiego, abstrahując od jej autora. Podobne stwierdzenie nie musi oznaczać uczestniczenia w akcji informacyjnej. Może też świadczyć o tym, że ma się zbieżne poglądy ze zleceniodawcą całej akcji i nieświadomie przekazuje podobne informacje. Taka wypowiedź może też być wynikiem prowadzonej operacji na jej autorze – mówi Maj. – Uważam jednak, że masa krytyczna w przypadku takiej operacji informacyjnej w Polsce nie jest przekroczona. Pogląd, że nie warto bronić kraju i w razie czego rozglądać się za walizkami, na pewno nie jest dominujący. To nie znaczy, że nie może do tego dojść i nie musimy nic w tej sprawie robić – zaznacza.

Wygłaszając publicznie sądy w stylu Olechowskiego czy Palikota, niejako zachęca się wroga do agresji. Może jednak pojawić się przynajmniej formalne pytanie:

Kto jest wrogiem? – W przypadku cyberataku na poziomie bezpieczeństwa państw bardzo często może wystąpić tzw. problem atrybucji, czyli kłopot z ustaleniem, kto właściwie jest winny. Świat zmaga się z tym problemem od strony politycznej i prawnej. Jeżeli w rzeczywistości na oczach wszystkich dało się wprowadzić na teren innego państwa oddziały zielonych ludzików i z prawnego punktu widzenia skutecznie temu zaprzeczać, to przeprowadzenie podobnego ataku w sieci jest o wiele łatwiejsze i trudniej to udowodnić. Co więcej, może dojść do paradoksalnej sytuacji, w której my, próbując się bronić i zneutralizować źródło ataku, sami przekroczymy granice prawne i zostaniemy zidentyfikowani jako agresor – mówi Mirosław Maj.

Zachód stworzył narzędzia, dzięki którym można głosić m.in. propagandę i dezinformację. Internet nadaje się do tego idealnie. Problem w tym, że jego przydatność zdecydowanie szybciej doceniła Rosja. Oczywiście w żaden sposób nie można powiedzieć, by propaganda i dezinformacja były obce Amerykanom, Francuzom czy Niemcom. Jednak efekty ich cybernetycznych działań nie są obecnie w stanie poruszyć mas Rosjan.

Efektywność obecnych działań w przestrzeni cybernetycznej związana jest m.in. z jej strukturą. Cyberprzestrzeń jest inaczej skonstruowana w Rosji czy w Chinach. – Na Zachodzie działa oddolnie, zwykle jest to inicjatywa prywatna, czasem sponsorowana przez rządy, ale jednak dla potrzeb społeczeństwa. Na Wschodzie Internet jest organizowany głównie dla potrzeb aparatu państwa, w celu utrzymania władzy. Dlatego w tym przypadku zdolności poruszania się w sferze informacyjnej są szczególnie rozwinięte. Myślę, że gdyby Rosjanie mieli wybierać, mocniej zainteresowałoby się wojną informacyjną niż cyberatakami. A właściwie cyberwojna jest dla nich bardziej elementem wojny informacyjnej – uważa Maj.

KTO SIĘ NAMI INTERESUJE?

Działania informacyjno-operacyjne widać zarówno za wschodnią, jak i zachodnią granicą, ale napływają one również z odległych miejsc. – Ostatnio w polskiej infosferze aktywizują się Chiny. Zaczynają klasycznie, od pozytywnego kształtowania swojego wizerunku, przybliżenia kultury, historii oraz wskazywania elementów wspólnych. Pojawiła się sieć blogerów, którzy rzekomo nadają po polsku z Chin, i ta blogosfera systematycznie się rozrasta. W ten sposób powoli Rosja kształtowała swój wzorzec dystrybucji, czyli sieć obiektów informacyjnych, poprzez który później zaczęła oddziaływać – opisuje Kamil Basaj.

Przyznaje też, że innym krajem podejmującym operacje informacyjne w Polsce są Niemcy, ale oni posługują się innymi narzędziami niż Federacja Rosyjska. Rosjanie wykorzystują do tego dość skomplikowane procesy, które można zakwalifikować do operacji wywodzonych z ośrodków państwowych, służb specjalnych i niepaństwowych. Z kolei Niemcy kształtują własny wizerunek, wykorzystując public affairs, ale jest to również element narzucenia własnej narracji i interpretacji wydarzeń w Polsce. – Ogromną rolę odgrywają teraz energetyka i sprawa Nord Stream 2. Z jednej strony przekaz idzie z Rosji, ale z drugiej widać, że otwartym partnerem na współpracę z nią są Niemcy. Kształtują oni środowisko informacyjne, które ma za zadanie wywrzeć na Polakach przekonanie, że ta inwestycja nie jest dla Polski zagrożeniem. Są to raczej działania skierowane na dialog, ale w oparciu o te informacje kształtowana jest publicystyka przedostająca się do polskiej infosfery – mówi Basaj.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Kamuda

W XVII w. trudno było odróżnić pojedynek od karczemnej zwady. Ten honorowy obyczaj dopiero się kształtował

Bij się ze mną!

Do dziś nie wiemy, jak wyglądała staropolska sztuka walki szablą. Oczywiście w naszym kraju działa przynajmniej kilkanaście grup kultywujących lub odtwarzających jej tradycję. Większość z nich uważa, że wypracowana przez nich szkoła jest jedyna, słuszna i najlepsza. Czteryście lat temu ich słowa zweryfikowałaby rzeczywistość. Słabi szermierze skończyliby na cmentarzu albo porębani i ośmieszeni.

Nie zmienia to faktu, że nie znamy żadnego oryginalnego traktatu szermierczego z XVII–XVIII w., choć w dawnych pamiętnikach i przekazach zachowały się opisy wielu pojedynków. Żaden ze staropolskich rębajtów nie pokusił się

o spisanie umiejętności, która była powszechna jak jedzenie widelcem: walki szablą. Dzisiaj możemy jedynie podejmować próby jej rekonstrukcji. Współcześni szermierze mają jednak różne podejście do tego odtwórstwa. Jedni posiłkują się traktatami angielskimi, francuskimi i niemieckimi, inni włączają do rekonstrukcji techniki chińskie oraz japońskie. Największa kontrowersja dotyczy zaś tego, czy słuszne jest wykorzystywanie do tego szermierki sportowej.

„Zasady nowoczesnej szermierki wywodzą się w prostej linii ze sposobu walki prawdziwą szablą – napisał Wojciech Zabłocki, który badał tę tematykę jako pierwszy. – Wydawałoby się, że szermier-

ka prawdziwą szablą [...] nie przypomina współczesnej sportowej walki. A jednak... [...] relacje starszych kolegów, którzy walczyli prawdziwą szablą w czasie wojny, zdawały się przeczyć temu pogładowi”.

Innego zdania jest Tomasz Abramski prowadzący własną szkołę szabli.

– Szermierka sportowa nie pojawiła się znikąd, wyrosła z prawdziwej walki – twierdzi. – Jednak najważniejszą różnicą jest system zabezpieczeń w sporcie, których w prawdziwej walce nie ma. Na planszy szermierczej zawodnik może poświęcić kilka punktów, aby ostatecznie zwyciężyć. Tymczasem w prawdziwej walce zostałyby kilkakrotnie ranny i padł z wykrwawienia – dodaje.



„Pojedynek z Jasińskim” – ilustracja z „Pamiętników” Jana Chryzostoma Paska
FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Pierwszy polski traktat szermierczy Michała Starzewskiego wydany został w 1836 r. Kłopot jednak w tym, że jest mało czytelny, a opisane w nim określenia nie mają odpowiedników w staropolskich źródłach historycznych. Jak zatem było naprawdę? Elementy staropolskiej sztuki walki odnajdziemy najłatwiej w opisach dawnych pojedynków. Toczonych spontanicznie, często bez reguł czy zasad.

PRZED PYTANIEM... JEST ODPOWIEDŹ

Już w XVI w. z pojedynkiem związana była instytucja tzw. odpowiedzi będącej zwykłą groźbą pozbawienia życia. Co ciekawe, odpowiedź była usankcjonowana

ówczesnym prawem, bo wysyłana przez woźnych i wpisywana do akt. Stanisław Stadnicki zwany „Diabłem” przesyła swemu wrogowi Łukaszowi Opalińskiemu pismo, w którym po wyliczeniu wielu słusznych w jego mniemaniu krzywd zapowiada: „Abyś mię się strzegł na wszelakim miejscu, chodząc, śpiąc, w kościele, w łaźni, bo się na twym gardle mścić będę, gdyż już nazbyt cierpliwością zażywałem”. W odpowiedziach znajdowały się obelgi i połajanki, tak jak w tej, którą przesłał Stanisław Malawski Stanisławowi Chinowskiemu za to, że strzelił do niego w czasie polowania: „Siła takich rycerzy, co z krzaków strzelają, poćwiartowano, ciebie to nie minie. A kiedy żeś Turczyzna, Tatarczyzna, Moskwiczina

w polu do boju stojącego widział? Cóżże ty za rycerz, żeś rok albo dwa, żołniersko służąc, kokosze dławiał?!”. Czasem zamiast odpowiedzi wysyłano kartusze. Stanisław Żółkiewski, zanim został hetmanem koronnym, wyzwał na pojedynek Jana Herburtę, śląc mu pismo, a potem podjechał pod dwór, ale adwersarz nie wyszedł. Wyzwano też przez znajomych – posyłając przyjaciół z ustnym posłaniem – tak jak Stefan Strzemeski, wyjeżdżając w większym towarzystwie do Adama Kuczyńskiego i oznajmiając wyzwanie pod groźbą pistoletów. Bardzo często jednak osobiście, wymawiając uświęconą zwyczajem formułkę: „Bij się ze mną!”.

Pojedynek był w Rzeczypospolitej zakazany w konstytucji sejmowej z 1588 r. pod groźbą odsiadki w wieży przez sześć miesięcy i grzywną 60 grzywien. Jednak zwykłe bójkę trafiały do sądów tylko wtedy, kiedy padł trup albo któryś z pozwanych bić się nie chciał.

O co się pojedynkowano? O wszystko: żony, panny na wydaniu, dziewczki, obrazy – prawdziwe i domniemane, konie, psy, świnie – np. zagarnięte przez Strzemeskiego Kuczyńskiemu, o miejsce w rejestrze chorągwi, tak jak u Poczobuta-Odlanickiego, o przepicie w czasie uczty nie tym samym winem i nie tą ręką, o postrzelenie konia, znieważenie sługi, o krzywdy chłopów albo też zniszczenia przez nich dokonane, za rabunki, za złe spojrzenia. Z czystej fantazji i bluźnierstwa, tak jak pewien szlachcic, który – jak podaje Władysław Łoziński – zatrzymał się przed figurą Chrystusa przy kościele franciszkańskim we Lwowie (dziś to ul. Łyczakowska), wołając: „Jeśliś Bóg, bij się ze mną!”.

Gdzie się bito? Zwykle w otwartym polu. Pod lasem, u krzyża, pod kapliczką, za karczmą, między chałupami wsi. Na lodzie zamarzniętego stawu pod Gródkiem – gdzie Łukasz Dzierżek zabija rotmistrza Rafała Lipnickiego i odsiaduje potem więź. Na kładce, gdzie Jan Chryzostom Pasek dostaje w łeb od tyłu od Jasińskiego.

OSTRZE NA OSTRZE

Typowy szlachecki pojedynek przedstawia pamiętnik Jana Chryzostoma Paska w obozie pod Kozieradami w 1660 r. Zaczyna się od pijackiej uczty w szałasie z Marcejanem Jasińskim i panami Nuczyńskimi, z których jeden zaczął pamiętnikarzowi „dawać okazje”. Kiedy Pasek, nie chcąc się bić, wyszedł, Nuczyński dogonił go, krzycząc: „Bij się ze mną!”. Bohater nie miał szabli, więc chciał odłożyć pojedy-

nek do następnego dnia, ale przeciwnik nie ustępował. „Musiałem wyiść – podaje Pasek – szablę wzięwszy. Co on mnie przytnie, to mówi: Zginiesz. [...] Za drugim czy trzecim ścięciem dosięgłem mu palców i mówię: Widzisz, żeś znalazł, czego szukał”. Nuczynski jednak nie ustępował; ścięli się jeszcze ze dwa razy, wreszcie pamiętnikarz ciął go „przez puls”, czyli w szyję, ale nie zabił.

Awantura jednak się nie skończyła, bowiem do walki włączyli się bracia poranionego, najmłodszy z nich zwał się z Paskiem, po czym „ręka i szabla upadła”. Teraz przyczepił się do niego sam gospodarz Jasiński, który chciał się bić pod lasem, poza obozem. Jednak nie zdzierzył i kiedy Pasek przechodził przez kładkę, ciął go z tyłu w głowę, aż bohater spadł w wodę. Potem pojedynek kontynuowano na miejscu: „Ścieliśmy się z dziesięć razy; nic ani temu, ani temu”. Wreszcie – jak pisze pamiętnikarz – „samym końcem szabli dosięgłem go przez jagodę [policzek]”. Pasek odskoczył, a kiedy przeciwnik wciąż rwał się do walki, uczynił: „Urwę go w łeb, jakby nie był na nogach. Dopiero go płazem pocznę walić na ziemi, wzięwszy w obie ręce szablę. A tu dopiero kompania leci [...], mówiąc: Stój! Nie zabijaj”.

Analiza pojedynku pokazuje kilka szczegółów. Po pierwsze – nie było ustalonych reguł, starcie stało się kwestią przypadku i pijackiej fantazji Nuczynskich oraz Jasińskiego. Zwarcia trwały krótko – Pasek i Nuczynski ledwie wymienili ciosy: ścięli się, dwa, trzy razy – co w przełożeniu na walkę oznacza mniej niż dwie sekundy. Pojedynek z Jasińskim był dłuższy – do 10 cięć, przy czym nie jest jasne, czy owe „ścieliśmy się” oznacza wymianę ciosów na zasadzie: Pasek ciął, Jasiński odbił, po czym Jasiński odpowiedział, a Pasek zasłonił się, czy też po prostu kolejne ciosy. Tak czy owak walka nie trwała więcej niż 10 sekund. Krótko.

Funkcję późniejszych sekundantów na razie pełnili przyjaciele i kompani walczących – owo „towarzystwo”, które nie dopuszczało, aby walczący pozabijali się, a w tym przypadku Pasek dobił powalonego przeciwnika. Na szczęście pojedynki rzadko kończyły się śmiercią; zwykle znoszono z pola porąbanych, pokrwawionych rywali. W najgorszym razie bez palców i bez rąk.

Podobnie wyglądały starcia opisywane przez Jana Władysława Poczobuta-Odlanickiego, towarzysza chorągwi husarskiej hetmana Wincentego Gosiewskiego.

„Wychodziłem na pojedynek z panem Kazimierzem Jurewiczem. Z którym mocno pociąwszy się i uciąwszy mu krzyż u szabli, byłbym go przy łasce Bożej ukontentował, gdyby towarzystwo nie przypało, które mnie [...] rozsiekać chciało” – podaje. Opisując pojedynek z niejakim Jąłożą, wspomina świadków – towarzyszy; można by ich zwać „rozwarzającymi”, którzy nie dopuszczali, aby pojedynek przybrał zbyt krwawą formę. „Musiałem zwadzić się i pociąć z jednym i samem nie wiedział z kim, którego w rękę raniłem. Gdzie nas rozerwano i wprowadzono mnie w izbę...”

Być może w staropolskiej szkole walki zadawano wiele cięć z góry – na rękę i na głowę – skoro Odlanicki podaje, że w kolejnym pojedynku „pofolgowawszy w pocięciu, przyparkszy go [wroga] w opłotki przy kacie, że się i składać nie mógł od dachu, pod który podpadł...” – aż oderwano go od przeciwnika. Jednak zaraz pociął się z jednym z towarzyszy wroga – Snarskim. Czasami też owo powstrzymywanie walczących kończyło się tragicznie. Jak

Młodzież szlachecka ćwiczyła się od najwcześniejszych lat w walce na drewniane palcaty, studenci zaś tworzyli własne „koła bijące się w kije”

pisze Odlanicki: „Niejaki Unichimowski [...] wyzywał [mnie], łajac ciężko na pojedynek. W którym pocięciu dostało mu się w łeb dużo i w rękę. W którym razie koledze swemu, panu Samuelowi Zabuskiemu, [...] uciąłem w rozwarzaniu nieumyślnie rękę lewą, że tylko na skórcie zawisła. Gdzie się i mnie sztychowy raz w rękę dostał”. Z opisu wynika, że przy walce szablą czasem stosowano sztychy, a większość ran zadawano w rękę, w dłoń, w palec i w głowę walczących. Potwierdzają to inne źródła. Jak podaje Albrycht Stanisław Radziwiłł: „Tegoż dnia starosta opaski Jerzy Zenowicz obciął rękę Tomaszowi Sapieżu, [...] stało się to w pojedynku (nieuczciwie jednak, jak mówią Niemcy, non redlich, stoczonym)”.

Nie zawsze pojedynki odbywały się na szablę. W 1608 r. na Rusi Czerwonej odbyła się walka dwóch husarzy – kiedy Piotr Łaszcz wyzwał Joachima Ślaskiego do walki na kopie i zabił go. Inne pojedynki odbywały się na pistolety. Jeden z nich opisuje Hieronim Chrystian Holsten,

niemiecki najemnik na służbie polskiej, który walczył ze szlachcicem z Wielkopolski. Konne starcie przypominało harce przedbitewne: „Rozbiegliśmy się dobrym polskim zwyczajem, dość szeroko, wytrzymałem dwa jego rozrzucone strzały i atak z szablą w rękę. Przejeżdżając koło niego, oddałem strzał tak, że wyleciał z siodła i spadł na ziemię”.

Jak podaje Bartłomiej Sztyndler, za czasów Sobieskiego zaostrozono prawo o pojedynkach – w konstytucji sejmu grodzieńskiego z 1678 r. zawarto ostrzeżenie, aby nikt nikogo nie ważył się wyzywać na pojedynek. Najciekawsze, że Jan III, który mawiał, iż „odwaga dowodzi się w utarcce z wielu, a nie w potyczce z jednym obywatelem”, sam nie stosował się do tych praw. Na wspomnianym sejmie, oburzony postępowaniem wroga, Michała Pacy, złapał za szablę, krzycząc: „Nie wywołuj ciężaru ramienia mego!”. Na co wyzwany odpisał: „Pomnij, żeś był sprawny, gdyśmy byli równi!”.

Wiek XVIII przyniósł wykształcenie się pełnego obyczaju pojedynekowego w Polsce. Za panowania ostatniego króla przed starciem podpisywano już rewersy, w których krewni pojedykowiczów oświadczały, że w przypadku śmierci nie będą skarżyli rodziny zabójcy. Wysyłano sekundantów, którzy ustalali warunki pojedynku i pilnowali jego przebiegu. Poza szablą zaczęto wyzywać się na pistolety, na szpady i do walki konnej. Takim właśnie modelowym starciem, jak podaje Bartłomiej Sztyndler, stał się pojedynek Adama Tarły z Kazimierzem Poniatowskim na Marymoncie pod Warszawą, gdzie przeciwnicy walczyli najpierw na szpady, a kiedy nie odniosło to skutku – konno na pistolety. W ostatnim najeździe Tarło, chcąc dać wrogowi nauczkę, zabił pod nim konia. Ogromnym rozgłosem w całej Europie rozszedł się pojedynek na pistolety i szpady sławnego uwodziciela Giovanniego Casanovy z Franciszkiem Ksawerym Branickim, późniejszym targowiczaninem, przyjacielem króla Stanisława Augusta. Casanova został lekko ranny, Branicki ciężko, jednak zachował się honorowo. Spodziewając się, że przeciwnik będzie miał z tego powodu kłopoty, nie tylko powstrzymał służbę, chcąc rozsiekać cudzoziemca szablami, lecz także poradził mu, aby uciekał, i nawet zaofertował własną kieszę z pieniędzmi na drogę. Casanova pieniędzy nie przyjął i ucałował przeciwnika na pożegnanie w czoło, schronił się w klasztorze Reformatów, gdzie opatrzone mu ranę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

MocARTY

RMF CLASSIC

2017

15
RMF
Classic



Wejdź na
www.rmffieldclassic.pl

Zagłosuj i wygraj
zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele innych
cennych nagród!

Mój „Seba”

SEBASTIAN RYBARCZYK
NIEWIDZIALNA
WOJNA
SZPIEGÓW



Sławomir Cenckiewicz

Sebastian Rybarczyk był niezwykle otwartym i pogodnym człowiekiem. Będzie mi go brakować jak rzadko kogo. Był jakby częścią mnie

Sebastiana poznałem bodaj na przełomie roku 1988 i 1989. Było już na pewno po kapitulacji strajkowej w sierpniu 1988 r. i zainicjowaniu rozmów w Magdalence. Obaj byliśmy zaangażowani w konspirację antykomunistyczną w szeregach Federacji Młodzieży Walczącej. Jednak słowo „byliśmy” jest tu mylące, ponieważ „Seba”, pomimo tego że był zaledwie rok starszy ode mnie, już wówczas był legendą, a ja wciąż żółtodziobem w FMW.

IMPONOWAŁ I ONIEŚMIELAŁ

Legenda Sebastiana miała poważne podstawy. Swój antykomunistyczny światopogląd realizował na poważnie. Był jakby starszy od nas, a na pewno dojrzałszy. Więcej wiedział, czytał i znał. Górował nad nami. Z racji metryki był wciąż „walczącą młodzieżą”, ale mając lat 16, działał już wśród „dorosłych”, imponując nam kontaktami z czołówką Konfederacji Polski Niepodległej (której był członkiem) i Solidarności Walczącej. Miał za sobą zatrzymania, areszty, pobicia, relegowania ze szkoły, a dziś wiem także, że mimo młodego wieku był „figurantem” sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Mikołaje”, w ramach której spadały na niego te wszystkie represje aż do 1990 r.

Był bardzo oczyniany. Jeszcze przed przełomem 1989 r., kiedy w Federacji nastąpił rozłam na tle stosunku do Zgromadzenia Okrągłego Stołu i pseudowyborów 4 czerwca, znów byliśmy po jednej stronie. Wspólnie z Solidarnością Walczącą, Polską Partią Niepodległościową, Liberalno-Demokratyczną Partią „Niepodległość” ogłosiliśmy bojkot wyborów w imię hasła wypisanego na najważniejszej z naszych trójmiejskich „szmat”: „Dość paktów z czerwonymi”. Jednak „Seba” już wówczas myślał perspektywnie. Związał się ze wspomnianą LDP „Niepodległość” i zyskał zupełnie nowe horyzonty intelektualne, przez co

jeszcze bardziej mnie, nas zdeklasował. Poznał mianowicie Jerzego Targalskiego („Józef Darski”), który był dla wielu z nas wielkim autorytetem, bo jako pierwszy pisał o sowieckiej dezinformacji, międzymorzu, Anatoliju Golicy-nie i „maskirowce” jako moskiewskiej metodzie uprawiania polityki. Przez to Sebastian stał się w moich oczach jeszcze większą legendą, bo w dyskusjach „strzelał” tak niewyobrażalnym dla mnie potencjałem wiedzy – faktów, nazwisk, zdarzeń, że czułem się coraz bardziej onieśmielony. Rozważania o „geopolitycznym podbrzuszu Rosji” i potrzebie budowy bloku izolującego Sowieców od Europy – to był dla mnie prawdziwy kosmos! Nie pamiętam dokładnie, kiedy opowiedział o swojej wizycie w Paryżu u obłożonego książkami i pracującego po nocach „Darskiego”, ale było to powtarzane w środowisku FMW i PPN z niemałą dumą, że jeden z nas mógł tego wszystkiego zasmakować i zmienić niejako wektory myślenia z politycznej „bieżączki” w stronę przyszłości.

Dlatego „Seba” nas zdystansował i piął się coraz wyżej po szczeblach kariery, choć słowo to ze względu na pejoratywny wydźwięk, zupełnie nie pasuje do jego osobowości. Był człowiekiem ideowym. Wierzył, że solidarnościowy i antykomunistyczny zaciąg do tajnych służb zmieni Urząd Ochrony Państwa i spowoduje usunięcie stamtąd bezpiekniaków. My, jego koledzy z czasów FMW, nie dawaliśmy mu wiary, zwłaszcza po eksperymencie z rządem Jana Olszewskiego, na którego zapleczu funkcjonowało przecież wielu kolegów z FMW i PPN. On tę wiarę miał, co pewnie wiązało się z jego bliskimi relacjami z Konstantym Miodowiczem i Adamem Ostoją-Owsianym, wschodzącymi wówczas gwiazdami UOP. Tak Sebastian „wylądował” na krótko w kontrwywiadzie UOP, co pozostawiło w nim jakąś traumę do końca życia. Związana była z pewną trudną operacją ofensywną na Wschodzie, z której po wpadnięciu w „kocioł” zastawiony przez KGB (bo jeszcze nie Federalną Służbę Bezpieczeństwa) szczęśliwie powrócił, ale stracił na zawsze bliźniego kolegę, którego Rosjanie w brutalny sposób zamordowali. Od tego czasu „Seba” był już inny pod każdym względem... Era postkomunistów u władzy ostatecznie wyleczyła go z wiary w możliwość

zmiany od wewnątrz. Przywróciło mu ją w 1997 r. zwycięstwo Akcji Wyborczej Solidarność. Został wówczas pracownikiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i jednym z najbliższych współpracowników koordynatora do spraw służb specjalnych Janusza Pałubickiego. To doświadczenie też pozostawiło w nim niesmak i wyostrzyło pogląd na temat systemu III RP.

ŁÓDZKI PATRIOTA

Sebastian był wyjątkowo odważny, twardy i życiowo doświadczony przez choroby, biedę, wczesną stratę rodziców, a nawet, w gruncie rzeczy, bezdomność. Pamiętam, jak w którymś z pisemek FMW w Trójmieście przeczytałem wiosną 1988 r., że Sebastiana zatrzymano i ciężko pobito w komisariacie kolejowym MO na dworcu Łódź Kaliska. Wyrzucono go ze szkoły i siłą wcielono do LWP. Kiedy poznałem go niecały rok później w Warszawie (dzięki mojemu szefowi z FMW – Mariuszowi Romanowi), to pomyślałem właśnie o tym pobiciu i represjach, jakie na niego spadały. Chudy, z dłuższymi włosami, pod wąsem, otwarty, uśmiechnięty i bardzo gadatliwy. Byłem sparaliżowany tą legendą, zwłaszcza wtedy, kiedy coś do mnie bezpośrednio powiedział. Nic nie mówiłem, tylko powtarzałem sobie po cichu: „Kurczę, chciałbym być taki jak Sebastian!”. Po ponad 20 latach od pamiętnego pobicia na Kaliskiej, wyjeżdżając z Łodzi, piłem z Sebastianem kawę na tym obskurnym dworcu. Zapytałem „Sebka”: „Jak ty możesz mieszkać w tym zdegradowanym przez komuny i postkomuny mieście? Chodź do Warszawy!”. „Kocham to miasto! Nawet z Kaliską mam tyle fajnych wspomnień. Zostaję” – powiedział.

No właśnie! Sebastian był łódzkim patriotą. Pokazał mi jasne i ciemne strony tego miasta. Po wykończeniu mnie w IPN we wrześniu 2008 r. byliśmy ze sobą bardzo blisko. To on się do mnie pierwszy odezwał po wieloletniej pauzie. Wiele mi wówczas dał, tłumacząc, że przecież istnieje też życie poza instytutem. Trzeba tylko chcieć. W listopadzie 2008 r. Sebastian zorganizował mi w Łodzi promocję książki o Wałęsie. Przyszło sporo ludzi. Przeważali młodzi, ciekawi i inteligentni, dla których „Seba” był prawdziwym autorytetem, skupiając ich w Stowarzyszeniu „Projekt Łódź”. To było dla mnie zaskoczenie. Od tego czasu regularnie bywałem w Łodzi.

Włoczyliśmy się po nocnych knajpach, a w dzień pokazywał mi ruiny zakładów włókienniczych, fragmenty getta, cmentarze, katedrę... Świetnie gotował i urządzał dla mnie kolacje, które kończyły się nad ranem! Oddychał tym miastem i był mu do reszty oddany w całym jego znoju, ludzkim upadku i ruinie. Był wówczas jednym z dyrektorów w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej (od 2006 r.). Mówił, że jego „Projekt Łódź” będzie kiedyś rządził Łodzią, pokonując SLD, PO i PiS. Takie miał ambicje.

Plany „Seby” ostatecznie pogrzebały wydarzenia z wiosny 2010 r. Jak grom z jasnego nieba spadła na nas wówczas informacja – wydrukowana na pierwszych stronach łódzkich gazet – że Sebastian został aresztowany przez ABW pod zarzutem udziału w „zorganizowanej grupie przestępczej”, która wyłudziła 70 tys. zł, zawierając fikcyjne umowy z państwowymi spółkami. Według śledczych „Seba” „usiłował stworzyć grupę przestępczą, której celem było bezprawne przejęcie nieruchomości należących do firmy Textilimpex”. Te zarzuty okazały się później nic nie warte, ale zrujnowały życie Sebastiana i jego rodziny. Bardzo długo był trzymany w areszcie wydobywczym, gdzie został potwornie upokorzony i pobity! Starał się jemu, jego żonie Sylwii i córce Karolinie, jakoś pomóc. Ale jak można do końca pomóc okredytowanej rodzinie na dorobku? To była zbrodnia wobec Sebka! Wokół tej sprawy panowała jakaś ściana niemocy i zмовy. Kiedy wreszcie wyszedł na wolność, po kilku dniach się z nim spotkałem, będąc przejazdem w Łodzi. Siedziałem naprzeciwko prawie bezżębnego Sebastiana w McDonaldzie na Widzewie i nie mogłem pojąć, dlaczego tak go skrzywdzono! Ale cieszył się, że wyszedł z „pierdła”, dużo opowiadał, chciał nawet napisać zbeletryzowaną opowieść o tym, jak wyglądał jego areszt wydobywczy. Pokazał mi ciekawy dokument podpisany

przez prokuratora, że Sebastian nie może w areszcie czytać książek Sławomira Cenckiewicza, stąd książka „Anna Solidarność” powinna zostać w depozycie lub odesłana do nadawcy. Był przekonany, że „załatwił” go wpływowi polityk łódzkiej Platformy Obywatelskiej, zresztą nasz były kolega z FMW, który obawiał się konkurencji „Projektu Łódź” w wyborach samorządowych. Jak było naprawdę, nie wiem do dzisiaj.

ŻEGNAJ, PRZYJACIELU

W każdym razie znów się przyjaźniliśmy. Polubił tę samą co ja muzykę i zasłuchiwał się w Marco Beasleyu, a nawet kupił sobie psa tej samej rasy – gończego polskiego. Kiedy rozstał się z Sylwią, jego gończa Fredzia, którą z córką Karoliną bardzo rozpieścili, towarzyszyła mu na co dzień w trudach. Teraz ja nad nim pracowałem, tłumacząc, że razem jesteśmy bez pracy, ale powinien zacząć poświęcić czas swojej książce o tajnych służbach – które były pasją jego życia – i w ten sposób próbować się utrzymać na powierzchni. „Seba” był pod tym względem trudny, bo zdrada kolegów, areszt, późniejszy rozpad rodziny, wyzwolił w nim wiele goryczy... i chorób, które ignorował do ostatnich swoich dni. Trawiła go od lat łuszczyca, później pojawiły się problemy kardiologiczne, przeszedł nawet zawał, a do tego nieszczęsny alkohol... Pomimo tego przełamał się jednak. Miał olbrzymią wiedzę o służbach i sporo kontaktów w świecie. Imponowała mi jego biblioteka! Pracowaliśmy wspólnie nad wydaniem fenomenalnej książki Tenna Bagleya „Wojny szpiegów” (2014). Pisaliśmy też razem, publikując wspólne artykuły o służbach. Wreszcie Sebek sam zaczął publikować ciekawe teksty, które po uzupełnieniu w 2014 r. ukazały się w formie jego pierwszej książki „Niewidzialna wojna szpiegów” (dedykowana Sylwii), do której napisałem słowo wstępne pod jakże znamienne tytułem:

„Korepetycje u Rybarczyka”. Mógłbym tutaj każde swoje słowo powtórzyć! Z jaką pasją „Seba” pisał o Jamesie Angletonie i zdradzie Kima Philby’ego! „Rybarczyk jest bezkompromisowy w tropieniu błędów i wpadek w szeregach tych, z którymi – jako antykomunista – zwyczajnie sympatyzuje, w strukturach amerykańskich CIA i FBI oraz brytyjskich MI6 i MI5” – tak pisałem i taki był Sebastian. Rok później we Frondzie wydał jeszcze dojrzalszą książkę „Najtajniejsza broń wywiadu”, dedykowaną z kolei Błażewi Moderowi, młodszemu druhowi, który był przez lata prawdziwym oparciem dla „Sebka” w Łodzi.

Miał przed sobą tyle planów intelektualnych, osobistych, politycznych i książkowych... Wychodził na prostą. Miał pracę i swoją audycję o tajnych służbach w Polskim Radiu. Uczył się systematyczności i zarabiał, co pozwalało mu „ogarnąć” swoje sprawy osobiste i egzystencjalne, no i mieć marzenia i plany. Nie zdążył! Cieszył się z sukcesu Pawła Kukiza, bo z list Kukiz’15 weszli do Sejmu jego wychowankowie narodowcy i – jak mawiał – „dzieci”. Najbliżej współpracował z posłem Tomaszem Rzymkowskim, którego został społecznym asystentem. „Seba” był wolnościowcem, przeciwnikiem wszelkiej cenzury i ingerencji prawa w wolność badawczą, a poza tym nie znosił duopolu Platformy i PiS, chociaż pałał niezwykłą wręcz sympatią do Antoniego Macierewicza, którego zawsze publicznie bronił i dla którego zachował dożgonny szacunek. Był zirytowany jego usunięciem z MON.

Sebastian Rybarczyk był niezwykle otwartym i pogodnym człowiekiem, czego mu zawsze zazdrościłem. Będzie mi go brakować jak rzadko kogo. Był jakby częścią mnie, dlatego tak ciężko mi się pogodzić z jego śmiercią. Nawet ostatni jego post na Facebooku to właśnie ten, który chwilę wcześniej zamieściłem u siebie. Nie ma takich słów, które oddadzą moją wdzięczność dla tego człowieka. Mogę jedynie zadedykować Sebastianowi jedną ze swoich książek, które ukażą się w tym roku. „To dla mnie prawdziwy zaszczyt móc w ten skromny sposób odwdziżyć się za wszystko, co Tobie zawdzięczam!” – pisałem we wstępie do „Niewidzialnej wojny szpiegów”. Dzisiaj z całą mocą powtarzam te słowa. Żegnaj, Przyjacielu! Dopóki żyjesz w naszych sercach, dopóty Polska o Tobie nigdy nie zapomni!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Książki Sebastiana Rybarczyka:

- „Niewidzialna wojna szpiegów” LTW 2014
- „Najtajniejsza broń wywiadu” Fronda 2015



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wzloty i upadki wywiadu PRL

Wreszcie! Po wielu latach badań Witold Bagieński zakończył pracę nad swoim opus magnum. Bardzo czekałem na tę książkę. I się nie zawiodłem. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że „Wywiad cywilny Polski Ludowej” to jedna z najważniejszych i najwybitniejszych monografii w dziejach Instytutu Pamięci Narodowej.

To nie tylko kompendium wiedzy na temat wywiadu PRL – jego organizacji, struktury i kierujących nim oficerów. To także barwna opowieść o szpiegach i operacjach wywiadowczych. Witold Bagieński ma bowiem tę – rzadką u zawodowych historyków cechę – że stara się nie zanudzić swoich czytelników. Pisz w sposób wartości i przystępny. Tak aby zainteresować nie tylko wąskie grono kolegów po fachu, lecz także szerokie rzesze czytelników.

A temat jest rzeczywiście fascynujący! Wykradanie tajnych informacji, werbunek agentów, koronkowe operacje wywiadowcze, zabójstwa zdrajców i ucieczki oficerów, którzy utracili wiarę w komunizm. Do tego wewnętrzne czystki i rozgrywki między frakcjami. Naruszenia dyscypliny, wielkie sukcesy i wielkie porażki. Niezwykle wyraziste

postacie, wielkie ludzkie dramaty.

Bagieński w swojej książce pokazuje również, jak układały się relacje z radzieckimi towarzyszami. Dowodzi, że wywiad PRL powstał nie jako „służba polska”, ale jako kolejna ekspozytura międzynarodowego systemu komunistycznego. Nie przez przypadek książkę otwiera cytaty z Joanny Sierp, funkcjonariuszki wywiadu MBP:

„Nasz wywiad nie jest wywiadem kapitalistycznym, gdzie się gromadzi wszelka szumowina. U nas mogą pracować tylko uczciwi ludzie. Dobry partyjniak przy pomocy nauki marksistowsko-leninowskiej będzie siłą rzeczy również dobrym wywiadowcą”.

W praktyce nie wyglądało to tak różowo. Czytając książkę, trudno uwierzyć, że część oficerów czerwonego wywiadu wykazywała się aż taką nieudolnością i niekompetencją.

„Pierwsze piętnastolecie istnienia wywiadu cywilnego Polski Ludowej – pisze Bagieński – to czas nieustających wzlotów i upadków”. No właśnie – pierwsze piętnastolecie. Z niecierpliwością czekamy na ciąg dalszy. Czyli kolejne tomy dotyczące działalności wywiadu PRL w latach 1962–1989. Witku! Pisz dalej. ©



★★★★★

WITOLD BAGIEŃSKI
„WYWIAD
CYWILNY POLSKI
LUDOWY
W LATACH
1945–1961”, T. 1–2
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Reputacja królowej Sonki

Władysław Jagiełło nie miał szczęścia w życiu prywatnym. Trzy z jego czterech żon posadzano o wiarołomstwo, a największa afra wybuchła przy okazji ostatniego małżeństwa władcy. 7 lutego 1422 r. 71-letni król ożenił się z 17-letnią córką własnej bratanicy, Sonką (Zofią) Holszańską, panna młoda

skie początkowo ze spokojem przyjmowało nadzwyczajną płodność sędziwego Jagiełły, ale gdy Sonka po raz trzeci zaszła w ciążę, wybuchł skandal. Królową oskarżono o niewierność. Jagiełło wpadł w szał i polecił uwięzić, a następnie poddać torturom dwórki Sonki, które wskazywały sześciu (!) rycerzy, z którymi ich pani miała zdradzać męża.

„Hińcza z Rogowa, który był najbardziej podejrzanym o nierząd, usiłował zbiec – relacjonował Długosz. – Schwytany podczas ucieczki, kiedy popadł w większe podejrzenie, wtrącony głęboko do brudnej wieży w Chęcinach i omal nie wyzionął ducha od smrodu w więzieniu”.

Ucieczka powiodła się Janowi z Koniecpola oraz Piotrowi i Dobiesławowi ze Szczekocin. Mniej szczęścia mieli natomiast: Piotr Kurowski, Wawrzyniec Zaremba i Jan Kraska, którzy podzielili los Hińczy i powędrowali do lochu.

Sonka po urodzeniu kolejnego syna (przyszłego Kazimierza Jagiellończyka) stanęła przed sądem i złożyła przysięgę oczyszczającą. Uznało to za wystarczający dowód jej wierności małżeńskiej.

Władysław objął tron w Krakowie, w czerwcu 1434 r. Sześć lat później został również królem Węgier, a jesienią 1444 r. zginął w bitwie pod Warną. Bohaterska śmierć w walce z niewiernymi zadecydowała, że niewiele mówiło się o jego erotycznych upodobaniach. Warneńczyk okazał się bowiem pierwszym homoseksualistą na polskim tronie. Jednak to już zupełnie inna historia... ©

„Uroda piękniejsza od obyczajów” sygnalizowała mocno podejrzaną reputację

wcześniej przeszła za prawosławia na katolicyzm.

„Z wielkim przepychem urządzono w Nowogródku zaślubiny między nierównymi partnerami – pisał złośliwie Jan Długosz – zgrzybiałym już królem Władysławem i młodzieńką wówczas [...] Zofią, której uroda piękniejsza była od obyczajów”.

Średniowieczni kronikarze używali specyficznego kodu. Gdy pisali, że księżniczka była „piękniejsza przymiotami serca niż urodą”, to oznaczało, że poddani na widok jej oblicza natychmiast rzucali się do ucieczki. Natomiast „uroda piękniejsza od obyczajów” sygnalizowała mocno podejrzaną reputację.

W październiku 1424 r. Sonka urodziła następcę tronu, Władysława. A rok później kolejnego syna, Kazimierza, który jednak zmarł po kilku miesiącach. Otoczenie królew-



Postmodernistyczne krucjaty kontra dżihad



Witold Repetowicz

Turecki dżihad przeciw Kurdom to nie tylko osłabienie NATO. Może także oznaczać więcej krwi na ulicach europejskich miast

Dzisiaj jesteśmy w Afrin, bo nie możemy rozwinąć się bez dżihadu – mówi szef tureckiego parlamentu İsmail Kahraman.

– Nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że miejsce Turcji jest w Europie. Poparcie Polski dla tureckiego członkostwa w Unii

Europejskiej pozostaje bardzo wysokie – tego samego dnia mówi polski ambasador w Ankarze. Tymczasem w ok. 900 meczetach w Niemczech i prawdopodobnie w kilku w Polsce setki tysięcy „Europejczyków” wznosi modły do Allaha w intencji wymordowania syryjskich Kurdów. Kurdowie zaś wychodzą na ulice europejskich miast w proteście przeciwko tureckim zbrodniom. Konfrontacja wisi w powietrzu.

Rozpoczęta 19 stycznia turecka inwazja na niewielką kurdyjską enklawę w Syrii, tj. kanton Afrin, nie wzbudza w Polsce większego zainteresowania i emocji. Syria jest daleko i wszyscy się przyzwyczaili do tego, że toczy się tam wojna. Jednak ten pozornie peryferyjny konflikt może mieć dla naszego kraju znacznie większe znaczenie,

niż się wydaje. Już teraz toczy się wokół niego gra mocarstw, której rezultatem jest osłabienie spójności NATO. Turecka inwazja nie byłaby bowiem możliwa bez zgody Rosji, która kontroluje niebo nad Syrią. Bez zielonego światła Moskwy tureckie samoloty nie mogłyby bezkarnie bombardować Afrin, a bez wsparcia powietrznego siły lądowe nie miałyby szans. A i tak przez pierwsze 10 dni inwazji Turcja zdobyła zaledwie parę wiosek.

Rosyjska zgoda jednak kosztuje, a ceną była finalizacja dwóch umów turecko-rosyjskich. Pierwsza dotyczy budowy drugiej nitki Tureckiego Potoku, czyli gazociągu łączącego Rosję z europejską częścią Turcji, poprowadzonego przez Morze Czarne. Spowoduje to przekierowanie tam



Przeciwnikiem Turcji są kurdyjskie oddziały, które od prawie dwóch lat są w Syrii lojalnym sojusznikiem USA
FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

przesyłu gazu, który obecnie płynie do Europy przez Ukrainę i Polskę. Ponadto najprawdopodobniej Turecki Potok zostanie zintegrowany z TANAP, czyli Gazociąg Transanatolijskim, który był nadzieją Europy na dywersyfikację dostaw. Jeśli tak się stanie, to żadnej dywersyfikacji nie będzie, bo kaspijski gaz popłynie razem z rosyjskim. Druga umowa dotyczy natomiast zakupu przez Turcję rosyjskiego systemu obrony przeciwrakietowej S-400, co – zważywszy na członkostwo Turcji w NATO – brzmi niczym kiepski dowcip.

Jednak to niejedyny element osłabiający spójność sojuszu północnoatlantyckiego związany z turecką inwazją na Afrin. Tamtejszy przeciwnik Turcji to kurdyjskie oddziały, które od prawie dwóch lat są

w Syrii lojalnym sojusznikiem USA, tocząc zwycięską walkę ze wspólnym (również dla nas) wrogiem, tj. tzw. Państwem Islamskim. Teraz Turcja grozi USA konfrontacją zbrojną w Syrii, jeśli nie pozwolą jej na bombardowanie Kurdów, a turecki prezydent Erdoğan sugeruje nawet, że jego walkę z Kurdami w Syrii powinno wesprzeć NATO. Czy polski żołnierz będzie tam ginął, bo „druga armia NATO” jest zbyt słaba, by zrealizować sułtański sen Erdoğan o nowym imperium? Żyjemy w świecie absurdów, gdzie już wszystko jest możliwe.

TYKAJĄCE BOMBY

Przywódcy europejscy na razie schowali w tej sprawie głowę w piasek,

obawiając się powtórki z 2015 r., gdy Turcja nasłała na Europę milionową falę migrantów. Turcja od czasu do czasu szantażuje Europę zerwaniem umowy, na mocy której ma wstrzymywać nową inwazję migrantów w zamian za 6 mld euro. Problem w tym, że przywódcy europejscy nie chcą zrozumieć dwóch rzeczy. Po pierwsze, to nie umowa z Turcją, lecz zamknięcie szlaków bałkańskich powstrzymało napływ nowych migrantów z Turcji. Po drugie, uległość wobec Turcji w kwestii kurdyjskiej też będzie miała swoją cenę. Walka Kurdów syryjskich i ich arabskich oraz chrześcijańskich sojuszników zjednoczonych w koalicji o nazwie Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF) przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu doprowadziła m.in. do tego, że do niewoli kurdyjskiej dostało się wielu tzw. foreign fighters. To zagraniczni, w tym europejscy, ochotnicy, którzy pojechali do Syrii i Iraku, by walczyć w szeregach „kalifatu”. Wielu z nich chce teraz wrócić do domu, a wymiar sprawiedliwości w większości ich krajów pochodzenia nie jest w stanie poradzić sobie z ich skazaniem. Wiele spraw już skończyło się umorzeniem z braku dowodów, bo europejskim prokuratorom trudno zebrać je w Syrii, a dowody znajdujące się w posiadaniu władz syryjskich czy też SDF uznawane są za niewiarygodne.

Rezultat jest taki, że na ulice wypuszczone są dżihadystyczne tykające bomby, gotowe do kontynuacji swej misji, np. poprzez zorganizowanie jakiegoś zamachu. Trudno się zatem dziwić, że po cichu niektóre państwa europejskie mają nadzieję, iż terroryści ci nie wrócą do swego starego domu. Niestety, zrobiło to już ponad 1 tys. spośród ok. 5–6 tys., które wyjechały. Jednak może wrócić znacznie więcej. Nie wiadomo dokładnie, ilu spośród nich znajduje się w więzieniach SDF, ale wiele wskazuje na to, że jest to pokaźna liczba. Jeśli Kurdowie poczuć się zdradzeni, to nie będą dalej poczuwać się w obowiązku wyświadczenia Europie przysługi i po prostu odeślą swych jeńców do krajów ich pochodzenia. A to oznaczać będzie wzrost zamachów terrorystycznych w Europie.

TURECKI DŻIHAD

Na europejskich ulicach może pojawić się jednak znacznie więcej krwi w związku z tym, co obecnie dzieje się w Afrin. W Europie mieszka bowiem kilka milionów Turków i co najmniej 1,5 mln

■ Kurdów. Tylko w Niemczech mieszka ok. 4 mln Turków, z czego ponad połowa ma niemieckie obywatelstwo. Kurdów za Odrą jest natomiast co najmniej milion, a może ich być wkrótce znacznie więcej, jeśli ludność Afrin zacznie uciekać przed Turkami do Europy. Do niedawna niemieccy Turcy nie skłaniali się ku islamskiemu ekstremizmowi. Jednak to już historia. Problem w tym, że ok. 900 meczetów w Turcji należy do Turecko-Islamskiej Unii Spraw Religijnych, znanej też jako DITIB, faktycznie podlegającej tureckiemu Diyanetowi, czyli urzędowi ds. religijnych w Turcji, który jest agendą tamtejszego rządu. Przed przejściem władzy przez islamistyczną partię AKP obecnego prezydenta Turcji Recep Tayyipa Erdoğan Diyanet, a co za tym idzie – również DITIB, zwalczały islamski ekstremizm. Jednak od kilku lat polityka rządu tureckiego i Diyanetu całkowicie się zmieniła. Turcja zaczęła się islamizować, a Niemcy coraz częściej przyznają, że meczety DITIB szerzą nienawiść religijną i propagują polityczną agendę Erdoğan w Niemczech, a tamtejsi imamowie wysyłają donosy tureckim służbom specjalnym na politycznych oponentów tureckiego reżimu.

„Będziecie niebawem wezwani przeciwko ludowi odznaczającemu się groźną dzielnością. Będziecie walczyć z nimi albo się całkowicie poddadzą [...]. A kto się odwróci plecami, tego On ukarze karą bolesną [...]. Bóg obiecał wam liczne łupy, które weźmiecie. [...] Ci, którzy są razem z Nim, są gwałtowni wobec niewiernych, a miłośni względem siebie”. To fragmenty koranicznej sury Al-Fath, czyli Zwycięstwa, którą turecki Diyanet kazał głosić we wszystkich podległych mu meczetach po rozpoczęciu inwazji na Afrin. Kilka dni później przewodniczący tureckiego parlamentu İsmail Kahraman w wywiadzie dla rządowej agencji Anadolu powiedział wprost, że to jest dżihad. I nie chodziło mu o żadną walkę wewnętrzną czy pokonywanie słabości, jak tłumaczą dżihad zwolennicy politycznej poprawności. Chodziło o zbrojną konfrontację z „niewiernymi”, za których Turcy uważają Kurdów związanych z SDF. „To kolaboranci postmodernistycznych krucjat chrześcijańskich atakujących nasz region” – tak dzień wcześniej oddziały syryjskich Kurdów nazwał sam Erdoğan w czasie publicznego wystąpienia, obszernie następnie cytowanego przez rządowe media.

Niemcy wpadli w panikę i nic dziwnego, bo turecki dżihad przeciwko „kolaborantom postmodernistycznych krucjat” prowadzony jest przy użyciu niemieckich czołgów typu Leopard. Tego samego dnia, gdy Kahraman mówił o dżihadzie, w hamburskim teatrze gościł niemiecki wicekanclerz i minister spraw zagranicznych Sigmar Gabriel. Czekala tam na niego niespodzianka w postaci potężnego prokurdyjskiego protestu, w czasie którego minister nieudolnie bronił się przed oskarżeniami o to, że ponosi on osobistą odpowiedzialność za sprzedaż Turkom leopardów i dokonywane obecnie w Afrin zbrodnie. Podobnych protestów jest zresztą w Niemczech (i całej Europie) znacznie więcej. W sobotę 27 września na prokurdyjski protest w Kolonii przyszło co najmniej 20 tys. osób. Dla zabezpieczenia demonstracji Niemcy wysłali aż 2 tys. policjantów. Nie może to dziwić, zważyw-

Niemcy wpadli w panikę i nic dziwnego, bo turecki dżihad przeciwko „kolaborantom postmodernistycznych krucjat” prowadzony jest przy użyciu niemieckich czołgów typu Leopard

szy na to, że po „puczu” w Turcji w 2016 r. na wiec poparcia dla Erdoğan przyszło prawie 50 tys. Turków. Dziesiątki tysięcy niemieckich Kurdów nie ukrywa swojej sympatii do Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), czyli kurdyjskiej partyzantki w Turcji, podczas gdy wśród niemieckich Turków łatwo spotkać sympatyków skrajnie nacjonalistycznej organizacji Szarych Wilków, mającej na swym koncie liczne mordy na Kurdach, a także inne akcje terrorystyczne. To właśnie z tej organizacji wywodził się niedoszły zabójca Jana Pawła II – Ali Ağca.

Na razie protesty te są raczej pokojowe, a przynajmniej bezkrwawe, bo już czwartego dnia tureckiej inwazji doszło do kurdyjsko-tureckiej bijatyki na lotnisku w Hanowerze, w której uczestniczyło 180 osób. Tego samego dnia zdemolowane zostały dwa tureckie meczety w Minden i Lipsku. Nikt nie miał wątpliwości, że nie zrobiły tego środowiska antyimi-granckie, lecz była to zemsta za kurdyj-

skich cywilów mordowanych w Afrin i odpowiedź na to, iż w meczetach tych czytana jest wspomniana wcześniej sura Al-Fath. O tym, że w tureckich meczetach w Niemczech wznoszone są modły za pomyślność antykurdyjskiego dżihadu, jako pierwszy poinformował „Der Spiegel”. Wyjaśnienia DITIB nie przekonały ani niemieckich mediów, ani niektórych polityków. Volker Beck z Zielonych stwierdził na Twitterze, że rzekomym „modłom za wolność” w kolońskich meczetach towarzyszą zdjęcia czołgów i recytacja sury Al-Fath, i zapytał, czy Turcy mogą oszukać niemiecką opinię publiczną, stosując taką strategię.

POLSKA POPIERA ZBRODNIARZY?

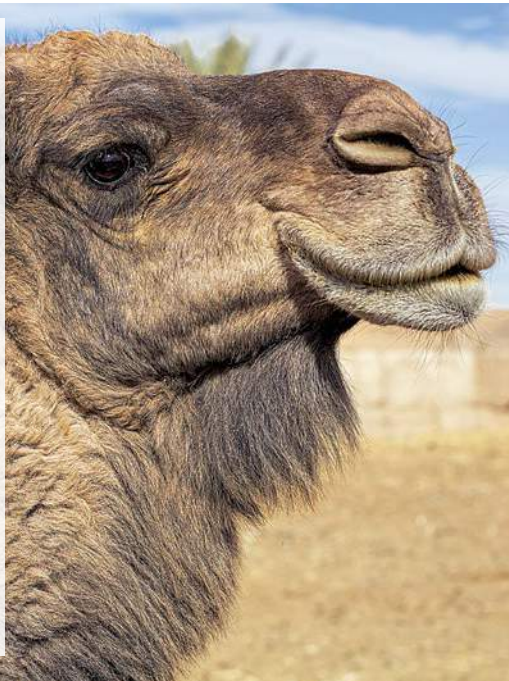
W Polsce zarówno liczba Kurdów, jak i Turków jest nieporównywalnie mniejsza niż w Niemczech, a jedyny dotąd protest przeciwko tureckiej agresji na Afrin zgromadził zaledwie kilkadziesiąt osób i miał w pełni pokojowy charakter. Jednak w Warszawie są dwa meczety powiązane z Diyanetem, w których prawdopodobnie również odczytywana jest teraz sura Al-Fath. W tym samym czasie, gdy Kahraman mówił o dżihadzie, Erdoğan opowiadał o postmodernistycznych krucjatch, UNESCO o minimum 11 dzieciach zabitych w Afrin przez Turków, media donosiły o użyciu napalmu przez Turków w Afrin, a całkowita liczba ofiar cywilnych sięgnęła 80, polski ambasador w Ankarze Maciej Lang stwierdził w wywiadzie dla tureckiego odpowiednika „Trybuny Ludu”, tj. dziennika „Sabah”, że „nie ma wątpliwości, iż Turcja jest częścią Europy”, a polskie poparcie dla tureckiego członkostwa w UE jest „bardzo silne”.

Lang, chwalać Turcję w czasie, gdy jej wojska popełniają zbrodnie, wpisał się w tradycję, którą zapoczątkował Donald Tusk, który również wychwalał humanitarny wkład Turcji w czasie, gdy jej wojska paliły żywcem kurdyjskich obywateli Turcji w mieście Cizre. Można mieć jednak wątpliwości, czy to tradycja godna pielęgnowania. W Krakowie jest jednak już plan budowy pomnika żołnierzy osmańskich, którzy jako sojusznik Niemiec w czasie I wojny światowej walczyli na galicyjskim froncie. To, że była to ta sama armia, która mordowała w tym czasie Ormian w Turcji, a których nie mało było również w Galicji, obchodzi pomysłodawców tyle co to, że powstawałaby ona w czasie, gdy Turcja dokonuje nowych zbrodni. Czyli nie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

BOTOKS W KONKURSIE WIELBŁĄDÓW

W Arabii Saudyjskiej z „konkursu piękności” wielbłądów wykluczono 12 zwierząt. Wstrzyknięto im bowiem w wargi i szczęki botoks, aby pyski wydawały się większe. Tymczasem regulamin tego konkursu – odbywającego się w pobliżu Rijadu – zabrania „zmian naturalnej postaci wielbłąda”. Festiwal, podczas którego odbywają się m.in. wyścigi wielbłądów, pokazy wyszkolenia i wspomniany konkurs piękności, przyciąga do stolicy Saudów nawet pół miliona gości, a pula nagród w konkursach sięga 57 mln dol. Nadzia- nych botoksem wielbłądów oczywiście szkoda, ale trzeba zauważyć, że zwierzęcy konkurs jest uczciwszy od tych ludzkich – w których kobiety konkurują własnym wyglądem. Bo do tej pory nie słychać było o dyskwalifikacji za implanty piersi lub pośladków czy botoks w ustach.



odkryły zaś, że EUGT miała też testować szkodliwość spalin na ludziach. Jednak za to na pewno nie płacili Niemcy, to musieli być jacyś nieludzcy „samochodźści”.

OPASKA ZAMIAST SZPIEGA

Opaski do fitnessu są fajne dla komputerowych geeków i hipsterów. Żołnierzom raczej je odradzamy. „The Washington Post” podał właśnie, że przez umieszczenie w Internecie mapek swoich fizycznych aktywności ujawniono wrażliwe dane o lokalizacji i tym, co robią żołnierze w bazach wojskowych usytuowanych w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Okazało się, że możliwe jest sprawdzenie nie tylko trasy patroli, punktów zgromadzeń, lecz także określenie lokalizacji wyrzutni Patriot. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że to Pentagon w 2013 r. rozdał wojskowym 2,5 tys. opasek fitness w ramach pilotażowego programu walki z otyłością. © © **Łukasz Zboralski**

A MAŁPCE DAMY... SPALINY

Niemieckie koncerny nie okrzepły jeszcze po aferze „dieselgate” – czyli ujawnieniu, że za pomocą

oprogramowania samochody oszukiwały na testach badania spalin – a już mają kolejny wizerunkowy problem. „The New York Times” ujawnił, że sponsorowana m.in. przez VW, Daimlera i BMW grupa badawcza EUGT prowa-

dziła doświadczenia, które miały zakwestionować decyzję WHO o uznaniu spalin z silników Diesla za rakotwórcze. Badacze zamaskowali małpy w pomieszczeniach, w których przez cztery godziny wdychały spaliny. Niemieckie media



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Scheiss art

Biały Dom chciał z Muzeum Guggenheima wypożyczyć obraz van Gogha, ale nie dostał go. Kurator Nancy Spector zaproponowała w zamian inny eksponat: toaletę ze szczerego złota autorstwa włoskiego artysty Maurizio Cattelana. Złośliwy gest pani Spector poziomem wyżej sedesu nie sięga, ale posiada jeden ogromny atut: uderza w Trumpa. W związku z tym kolportowany jest przez media jako żart roku.

Jednak o wiele smutniejsze jest to, że złoty, za przeproszeniem, sracz w ogóle trafił do Muzeum Guggenheima. Jak zagubiona musi być współczesna sztuka, skoro jej

słynna nowojorska świątynia celebrowała nabożeństwem tani, choć wart milion dolarów greps? Intelaktualna wartość tego produktu jest żadna. Wydawałoby się, że dowcipy tego rodzaju lęgną się jedynie w Niemczech, gdzie pierwiastek poczucia humoru ma ciężar właściwy większy niż ołów.

Tymczasem okazuje się, że szczególną predylekcję do scheiss artu mają krajanie Rafaela i Leonarda. Naturalnie prekursorem tego wyszukanego kierunku sztuki był Marcel Duchamp ze swoim pisu- arem (1917), ale wszystko wskazuje na to, że ten wysublimowany gatunek współczesnej sztuki narodził

się w Mediolanie. W 1961 r. artysta Piero Manzoni zapakował swoje odchody do 90 ponumerowanych puszcerek. Poszły jak świeże bułeczki, a pewien Japończyk sprawił sobie jedną za ponad 150 tys. dol., co wskazuje, że świat sztuki bardzo na tego rodzaju idee czekał. Inny geniusz, nowojorczyk Andres Serrano, nasikał do słoika i włożył do środka krucyfiks.

Te wyczyny żyruje intelektualno-artystyczny bełkot krytyki. Podejrzewam, że hochsztaplerzy, widząc zachwycających się ich dziełami totalnie zesnobowanych cmokierów, śmieją się w kułak. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Metafora Exodusu bardzo przydaje się do opisu Polski po 1989 r. Jest niewola i są różni prorocy, a Stwórca rozlał Morze Czerwone jakby specjalnie tam, a nie gdzie indziej, aby czekało na ponowne przekroczenie po tysiącach lat przez nasz naród niczym żydowski, tym razem w przenośni. Często zapomina się jednak, że między wyjściem z Egiptu a wejściem do krainy Kanaan przez 40 lat było „coś jeszcze”. Może więc III RP to nie ziemia obiecana, lecz pustynia właśnie?

Taka wizja coraz bardziej przebija się do opinii publicznej – i to zarówno w wydaniu prawicowo-antypostkomunistycznym, jak i lewicowym. Miała być ziemia obiecana, ale jakoś jej nie ma. Wciąż kręcimy się w kółko, wszędzie tylko piach i piach. Prowadzi nas stetryczący Mojżesz, który wątpiających okłada laską po głowie, mówiąc, że nikt nie musi być głodny, wystarczy schylić się i zebrać mannę, która spadła z nieba. Tyle że to nieprawda, bo co bardziej „przedsiębiorczy” (część z nich u faraona robiła za strażników) wysługują się innymi i magazynują mannę, która – inaczej niż w Biblii – nad ranem nie znika. Skale w Kadesz sprywatyzowano, a ludzie umierają pod wydumą, bo wąż na kiju wypowiedział klauzulę opt-out (zgodę na ponadnormatywny czas pracy), a w soboty i święta i tak ma wolne.

W OBRONIE PRACY

W tym momencie pojawia się Rafał Woś i wydaje książkę (zostawmy na chwilę starotestamentową metaforę) „To nie jest kraj dla pracowników”. Można ją czytać na dwóch poziomach. Pierwszy z nich to diagnoza „błędów i wypaczeń” III RP w zakresie podejścia do ludzi zarabiających na życie pracą najemną. Wtedy pochylimy się nad losem pracowników hipermarketów i fabryk samochodów pozbawionych pomocy związków zawodowych, sprzątaczek pracujących za liche pieniądze czy ochroniarzy bijących rekordy przepracowanych godzin. Będziemy pomstować na rządzących przez ostatnich 30 lat, że na to pozwolili, może wyrazimy nadzieję, że minister Elżbieta Rafalska będzie teraz to wszystko odkręcała. Tylko że nie rozumiemy tej książki w pełni, jeśli nie zdamy sobie sprawy z tego, iż napisał ją socjalista. I że ma to swoje konsekwencje.

Nazwanie Rafała Wosia socjalistą to nie denuncjacja, tylko stwierdzenie fak-

Socjalizm XXI w.



Stefan Sękowski

„To nie jest kraj dla pracowników” Rafała Wosia może pomóc w znalezieniu kapitalistycznej odpowiedzi na „kwestię robotniczą”. Jako sygnał ostrzegawczy, jako wskazanie pomysłów na rozwiązanie problemów i jako... zarys granicy dopuszczalnych zmian

tu. Na skrzydełku książki pozuje w koszulce ze Stefanem Okrzeją – PPS-sowskim bojowcem straconym na stokach warszawskiej Cytadeli jeszcze przed rozłamem PPS na część „niepodległościową” i „internacjonalistyczną”. Woś nie powie za wiele dobrego o kapitalizmie, oprócz tego, że istnieje. Píše co prawda, że „oczywi-

ście nikt nie może zane-gować faktu,

iż ten system pomógł ludzkości ogromnie się rozwinąć”, jednak trudno to traktować jako pochwałę. Dalej czytamy bowiem, że na

tym stwierdzeniu opiera się mit założycielski współczesnego kapitalizmu. Ten ma ogromny problem z pracą, którego do tej pory nie był w stanie rozwiązać. „Powiedzmy sobie szczerze





– pisze Woś – dopóki trwa kapitalizm, kapitał będzie nad pracą górował. A ponieważ pamięć porażki sowieckiego komunizmu wciąż jest żywa, trudno oczekiwać, by w dającej się przewidzieć przyszłości ponownie uznano socjalizm za alternatywę ustrojową. Cóż więc pozostaje? Żmudne poprawianie” – pisze nierzadym rasowy XIX-wieczny reformista, który chciałby socjalizmu, ale nie przez rewolucję czy czekanie, aż sam się zrobi.

ZA KOMUNY BYŁO LEPIEJ?

Ta książka dużo mówi o zmianach w dyskusji o gospodarce w Polsce. Woś nie jest przecież niszowym publicystą: były dziennikarz „Dziennika Gazety Prawnej” obecnie w „Polityce”, laureat Grand Press Economy, to przedstawiciel publicystycznego głównego nurtu. Jeśli taka książka jest dyskutowana, a na okładce zachwala ją Piotr Skwieciński z pravicowych przeciw „Sieci”, to oznacza to, że coś się w Polsce zmieniło. W „Folwarku zwierzęcym” prosiak Squealer ma gotową odpowiedź na wątpliwości zwierząt: „Z pewnością żadna z was nie chce powrotu Jonesa?”. George Orwell pisze, iż „koza i klacz natychmiast zapewniły go, że nie chcą Jonesa, i stąd nikt już nie kwestionował tego, iż świnie śpią w łózkach”. Dzisiaj jednak coraz mniej kóz i klaczy pamięta Jonesa i bardzo chętnie dyskutują o tych czy innych nadużyciach świni.

To dobra zmiana w dyskusji, bo dzięki niej jest ona ciekawsza i bardziej twórcza. Jednak i trudniejsza, podważająca rzekome dogmaty. Przykładowo Woś, patrząc na rzeczywistość socjalistycznymi oczyma, z punktu widzenia nieustannie gnębionego – jego zdaniem – świata pracy, dochodzi do wniosku, że... za Jonesa było pod pewnymi względami lepiej. Praca została wówczas „relatywnie wzmocniona”, a komuna podczas „bitwy o handel”, „wybiła kapitałowi prawie wszystkie zęby”. Dlaczego praca pracownika najemnego miałaby być co do zasady ważniejsza od tej, którą trudniły się tysiące młynarzy, piekarzy czy sklepikarzy,

którym komuna nie raz dosłownie „wybiła zęby”, Woś nie wspomina. Jednocześnie do realnego socjalizmu podchodzi w sposób zniuansowany, pisząc, iż „piętą achillesową PRL była raczej słabość polityczna, a konkretnie fakt, że jednowładztwo PZPR nigdy nie zdołało się wobec większości własnych obywateli solidnie zalegitymizować”. Słowem, gdyby istniały „demokratyczne mechanizmy samokontroli elit” i konflikty byłyby rozładowywane „drogą politycznej zmiany”, wówczas wielu problemów, zdaniem Wosia, można by uniknąć.

Wątpię, by tak było. O potrzebie reformy gospodarki PRL (w duchu Wosia!) poprzez budowę spółdzielni czy wzmocnienie rad robotniczych pisali na bieżąco Mirosław Dzielski czy... młody Leszek Balcerowicz. One jednak nie naprawiały zasadniczego źródła problemów realnego socjalizmu, jakim był monopol państwa na kapitał. Empirycznym dowodem na prawdziwość tego jest z jednej strony zacofanie naszej gospodarki w porównaniu z ówczesnymi zachodnimi, a z drugiej rozwój, który jest naszym udziałem po 1989 r., kiedy został (z grubszą) ten potencjał uwolniony. Rozwój, którego owocami nie cieszą się wszyscy, na czym skupia się Woś w dalszej części książki.

JAK MĄDRZE WZMOCNIĆ PRACĘ

Kasjerki wyrzucane z pracy za zakładanie związków zawodowych, choć mają do tego pełne prawo, studenci bez perspektyw na dobrą pracę czy pracownicy na „wiecznej umowie czasowej” bez poczucia stabilizacji – to wszystko się dzieje, a z faktami się nie dyskutuje. Można za to dyskutować z ich interpretacją.

W wydaniu Wosia jest mocno jednostronna. Dobrze widać to po sposobie, w jaki Woś opisuje konflikt, przedstawiając go za pomocą metafory konfliktu małżeńskiego. Kapitał jest w nim przedstawiony jako wściekły damski bokser i faktycznie trudno nie stanąć odruchowo po stronie zakrwawionej żony-pracy, leżającej u jego stóp. Jednak rzeczywistość wygląda inaczej – kapitał nie jest w lepszej sytuacji z zasady (warto porozmawiać z tymi, którzy bezskutecznie szukają specjalistów do pracy), a tylko wtedy, gdy jest silniejszy. Gdy więc jednostronnie będziemy wzmacniać w nieskończoność pracę, może przerodzić się ona w zręczną manipulator-

kę trzymającą „kapitał” w szachu, np. reglamentowaniem kontaktów z dziećmi czy fałszywym oskarżeniem o gwałt. W tle zaś czai się jeszcze pomocny przemysł rozwodowy, który chce także swoje na tym ugrać (politycy).

Woś twierdzi, że kapitalizm gryzie własny ogon, a on chce go ustrzec przed odgryzieniem. I daje rady dopasowane do rzeczywistości XXI w., w którym coraz większą rolę odgrywa technologia. Ostatnia część książki jest zbiorem pomysłów – realizowanych lub pozostających na razie możliwościami – od bezwarunkowego dochodu podstawowego, przez system flexicurity, w którym elastyczność rynku pracy balansuje siatka bezpieczeństwa socjalnego, do wzmocnienia związków zawodowych, spółdzielczości czy rad pracowniczych. I tu w zadziwiający sposób spotkać się mogą poglądy rynkowe oraz socjalistyczne. Lewica nie ma bowiem monopolu na zauważenie tego problemu czy proponowanie rozwiązań. Już Adam Smith w „Bogactwie narodów” utyskiwał na przewagę, jaką ma (częściowo dzięki wsparciu prawodawstwa) kapitał nad pracą. Katolicka nauka społeczna stawiała sobie jeszcze za Leona XIII za cel rozwiązanie „kwestii robotniczej”, a Jan Paweł II w „Laborem exercens” pisał, że „praca ludzka stanowi klucz, i to chyba najistotniejszy klucz, do całej kwestii społecznej”. Swoje rozwiązania proponowali zwolennicy mediacji między światem pracy i kapitałem, niemieccy ordoliberalowie, noblista z ekonomii Edmund S. Phelps chcący dotacji do najniższych pensji (przy jednoczesnym braku płacy minimalnej) czy ideolog akcjonariatu pracowniczego Louis Kelso. Część z nich jest realizowana na świecie w tej czy innej formie, w Polsce dość kulawo. Książka Wosia może pomóc w znalezieniu kapitalistycznej odpowiedzi na „kwestię robotniczą”. Raz jako sygnał

ostrzegawczy, dwa jako punkt odniesienia i wskazanie kierunków, w jakie można pójść, trzy jako... zarys granicy dopuszczalnych zmian. Od tego, jak zmierzmy się z tym problemem, zależy, czy w końcu dojdziemy do ziemi obiecanej (w której będziemy toczyć dalsze niekończące się boje, jak stoi w Piśmie) czy zawrócimy do Egiptu. Bo na pustyni raczej nie zostaniemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinktine'u
Nowa Konfederacja.



RAFAŁ WOŚ
„TO NIE JEST KRAJ DLA PRACOWNIKÓW”
W.A.B.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska w pułapce Brukseli?

Zodgłosów docierających z Brukseli coraz więcej wiadomo o szczegółach konstruowanego właśnie planu „dyscyplinowania” Polski. Mechanizmem, który ma zmusić rząd naszego państwa do ukorzenia się przed Komisją Europejską, mają być fundusze unijne. W związku z tym, poczynawszy od nowej perspektywy budżetowej – na lata 2020–2027, będą one przyznawane na nowych zasadach. Już nie, jak dotychczas, na cały okres i w pełnej wysokości, lecz przeciwnie – w pulach, i to – w odniesieniu do części z nich, podobno niemałej – wypłacanych pod warunkiem przestrzegania „europejskich wartości państwa prawa”, w tym „posiadania efektywnego i niezależnego wymiaru sprawiedliwości”. Nic zaś nie wskazuje na to, by o ostatecznych kryteriach rozdziału tych pieniędzy mieli decydować nie ci sami, którzy decydują o tym w UE „od zawsze”.

A sytuacja będzie o tyle trudniejsza, że z powodu wystąpienia Wielkiej Brytanii z UE jej budżet będzie wtedy co roku uboższy niż teraz o ok. 13 mld euro. To spory niedobór; a jego dokładne rozmiary poznamy niedługo – do ogłoszenia projektu wieloletniego budżetu ma dojść w maju. Natomiast w drugiej połowie 2018 r. dowiemy się, na ile miliardów euro po 2020 r. mogą liczyć poszczególne kraje UE, a raczej – precyzyjnie rzecz ujmując – na ile MNIEJ miliardów euro niż teraz mogą liczyć po 2020 r. poszczególne kraje UE. I jak dużo z tych

pieniędzy – odmiennie niż do tej pory – znajdzie się w puli na pewno dostępnej, a ile w tej drugiej, do której państwo zyska dostęp dopiero po zweryfikowaniu przestrzegania przez nie „europejskich wartości państwa prawa”, czego warunkiem ma być „posiadanie efektywnego i niezależnego wymiaru sprawiedliwości”.

Jaki plan na taką ewentualność ma PiS? Zapewne właśnie zamiar przeciwdziałania temu – czarnemu – scenariuszowi był jednym z głównych powodów zrekonstruowania rządu, na którego czele stanął Mateusz Morawiecki, a szefem dyplomacji został Jacek Czaputowicz. Co jednak jeśli ten plan się nie powiedzie? Co jeśli tej ekipie nie uda się przekonać unijnych komisarzy i szefów głównych państw UE, na czele z Niemcami, do zaniechania budżetowej agresji na Polskę?

Innymi słowy: co w przypadku ziszczenia się owego czarnego scenariusza? Co gdyby okazało się, że w latach 2020–2027 Polska ma dostawać z UE jeszcze mniej pieniędzy, niżby to wynikało ze skutków brexitu i konsekwencji wzbogacenia się naszego kraju w ostatnich latach? I w dodatku utrzymanie tej sumy – co najmniej w odniesieniu do jej części – będzie uzależnione od niezależnej od nas oceny „stanu praworządności w Polsce”?

Co – jeśli tak by się stało – zamierzają zrobić PiS i jego rząd? Co zamierzają ogłosić i uczynić szef PiS Jarosław Kaczyński, prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki? ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Nanoglut wszytkomogący

Większość czytelników z pewnością żachnie się, czytając dzisiejszy felieton. Podobnie zżymali się czytelnicy 50 lat temu, gdy pisano o tym, że w małym, płaskim komputerze może być kilkadziesiąt gigabajtów pamięci operacyjnej i terabajt pamięci dyskowej.

Konkretne przykłady rozwijanych technologii można znaleźć w książce K. i Z. Weinersmith pt. „Soonish”. W felietonie ograniczę się do pewnych trendów. Inspiracją dla jednej z technologii było... origami. Wyobraźmy

dostawcy nanoglut, wybieremy w Internecie odpowiedni projekt, każemy nanoglutowi przybrać taką formę i po kilku minutach mamy mebel. A jeśli nam się znudzi, to każemy nanoglutowi zmienić formę na inną, z wersalki na sofę lub fotel na biegunach. Oczywiście będą tradycjoniści, którzy od stołu uformowanego z nanogluta będą woleli tradycyjny dębowy. Jednak gdy tradycjoniści będą się gnieździć w święta przy ciasnym stole, postępowcy powiedzą: „Powieksz się i nakryj”, i nanoglut stół powiększy się dwukrotnie, nakryje nanoglutoobruszem i ustawi nanoglutotalerze. W szafach nie będziemy mieli dziesiątek lub setek ubrań, tylko nanoglut, który codziennie będzie zmieniał formę na taką, jaka nam pasuje tego dnia. I nanoglutoubranie zawsze będzie leżało jak szyte na miarę. Odkrywczy nanogluta zmonopolizują świat, a większość tradycyjnych firm upadnie.

Pojawią się jednak problemy. Nanoboty będzie można zhakować. Pewnego dnia możemy się zdziwić, gdy nasz nanoglutostół ucieknie z krzesłem albo nanoglutfotel zadusi naszego ukochanego kota. Pojawi się pytanie: Czy wolno będzie wejść w nanoglutoubranie do samolotu? A jeżeli terrorysta przemieni swoje nanoglutokalesony w karabin maszynowy lub bombę?

Sam już pierwsze przykłady samouczących się nanoglutów. Wiek XXI będzie bardzo ciekawy. Tylko czy potem będzie jeszcze wiek XXII? ©

**Za 20–30 lat
kupimy nanoglut,
wyberemy projekt,
każemy przybrać
pożądaną formę
i po kilku minutach
otrzymamy mebel**

sobie, że mamy supercienki i wytrzymały materiał, który potrafi sam się składać – albo pod wpływem komend wydanych przez człowieka, albo pod wpływem zmian w otoczeniu. Albo mamy nanoboty, które mogą się łączyć w różne struktury, o różnym kolorze, stopniu twardości, elastyczności czy nawet wilgotności. Prace nad takimi materiałami trwają. To nanogluty.

Dzisiaj jedziemy do IKEA, wybieramy mebel, zawozimy go do domu i składamy. Za 20–30 lat kupimy od wybranego

TEST „DO RZECZY”: TELEWIZOR LG 4K OLED

Niesamowita jakość obrazu, ciekawy design oraz szerokie kąty widzenia – to największe zalety jednego z najlepszych i najdroższych telewizorów na polskim rynku.

65-calowy model 65E7 został wykonany w technologii OLED. Kinomaniacy docenią niesamowity kontrast, bogactwo kolorów, idealną, głęboką czerń oraz rozdzielczość Ultra HD (3840 x 2160). Zapaleni gracze z kolei będą zachwyceni dużą szybkością matrycy, która jest ponad tysiąc razy wyższa niż w przypadku standardowych telewizorów LED.

Po stronie plusów trzeba też wpisać szerokie kąty widzenia, dzięki czemu ten model sprawdzi się nie tylko w specjalnie zaaranżowanych salach kina domowego, lecz także w typowych salonach z szeroką kanapą i dwoma fotelami. Ten model dobrze nadaje się do oglądania seriali i transmisji sportowych. Można go też z powodzeniem wykorzystywać do pracy w charakterze monitora PC.



Niesamowicie smukła matryca OLED jest naklejona na specjalne przezroczyste tworzywo (technologia Picture-on-Glass). Wraz z elegancją, minimalistyczną szklaną obudową model ten ma grubość nowoczesnego smartfona (w najgrubszym miejscu, w którym umieszczono cztery wejścia HDMI, trzy porty USB, gniazdo

LAN, wejście słuchawkowe, wyjście optyczne oraz złącze uniwersalne CI współpracujące z dekoderni satelitarnych platform cyfrowych, ma zaledwie 6 cm grubości). Telewizor obsługuje też wi-fi oraz Bluetooth.

W podstawę telewizora wbudowana jest listwa nagłośnieniowa. Cztery głośniki działające w standardzie Dolby Atmos brzmią nie tylko dużo lepiej niż w standardowych telewizorach tego typu, lecz także dobrze radzą sobie ze stworzeniem efektu stereo. Jeśli ktoś nie jest audiofilem, to spokojnie może oglądać filmy czy serie nawet bez podłączania dodatkowego zestawu kina domowego.

Na pochwałę zasługuje także prosty w obsłudze, długi i smukły pilot Magic Remote, na którym znajdują się m.in. przyciski przeznaczone dla miłośników seriali Netflix'a nagranych w rozdzielczości 4K czy filmów z Amazon Prime.

Wady? Piękna obudowa jest bardzo podatna na zarysowania. Dla wielu podstawowym minusem będzie jednak wysoka cena. Za ten telewizor trzeba zapłacić 16 999 zł. ©

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)



RADIO Z PRZESZŁOŚCI

Uwaga, mam pytanie. Pytanie do grupy wiekowej, która nie wychowywała się na japońskich mangach, paradoksalnie krzykliwych ninjach, agresywnych

minionkach, za to świetnie pamięta Załogę G, Misia Yogi i „jaskiniowców”. No właśnie, pamiętacie „Flintstonów” z ich „yabadabadoo” i retrogadżetami? No to na portalu Indiegogo za równowartość ok. 300 zł znajdziecie coś całkiem jakby z tej bajki, w dodatku funkcjonalne i nawet, jeśli chodzi o wrażenia estetyczne. To – jak przekonuje chiński producent – ręcznie wykonany, głównie z drewna, „głośnik radiowy”. Gadżecik po naładowaniu działa ok. 10 godzin.

Niewątpliwą jego zaletą jest bardzo dobrej jakości dźwięk zapewniony przez drewnianą obudowę. Urządzenie oczywiście wyposażone jest w funkcje FM, Bluetooth oraz trzy typy wejścia audio. Dostawa od marca tego roku.

NIE DLA WEGETARIAN

Mięso. W tym tekście będę rzucał mięsem. Będzie go sporo, dlatego wrażliwców bojkotujących knajpy ze skrzydełkami z kurczaka i ekoterrory-

stów uwalniających cielaczki, zanim staną się cielęcinką, uprasza się o jego pominięcie. A dla tych, którzy lubią swoich gości przyjąć krwistym befsztykiem, schabowym z kiszoną kapustą, no ewentualnie pieczonym pstrągiem, ale zdarza im się zapomnieć w porę rozmrozić rzeczne mięso, mam kilka słów nadziei. Brzmią one: YT Touch. Taca rozmrażająca... no właśnie mięsiwo. Zaletą YT Touch jest rozmrożenie (producent nazywa to odszronieniem) ryby, golonczki czy schaboszczaka w zaledwie 20 min. Woda po rozmrożeniu jest dokładnie odprowadzana do naczynia pod tacą – główną



częścią urządzenia, sporządzoną z aluminium lotniczego z powłoką emalio-

waną. To właśnie w aluminium kryje się sekret gadżetu – szybko przyjmuje temperaturę pokoju i oddziałuje nią na mięsiwo. Konstrukcja odlewana aluminium dosłownie – jak twierdzi producent – wyciąga zimno

i mróz z pożywienia. Cena nie zmrozi miłośników gadżetów – zamawiać można na Kickstarterze w cenie ok. 120 zł z dostawą w maju. O mięso trzeba postarać się samemu. ©

Wojciech Wybranowski

Jan Pieniążek

W Polsce w obiegu są blisko 2 mld banknotów, z czego ponad połowę stanowią stułotówki.

Aby rozpoznać ich autentyczność, NBP poleca trzy proste zasady: popatrz, przechyl, dotknij

Dobrze jest być sławnym. Jednak pewniejsze jest mieć pieniądze – zauważył znany rzymski filozof Seneka Młodszy. Trudno się z nim nie zgodzić. Pieniądz w systemie gospodarczym pełni kilka istotnych funkcji. Przede wszystkim jest to środek płatniczy, przyjmowany w zamian za towary i usługi. To również miernik, który umożliwia dokładne określenie wartości oferowanych towarów oraz usług. Pieniądz pełni też funkcję tezuraryzacyjną, czyli umożliwia gromadzenie oszczędności.

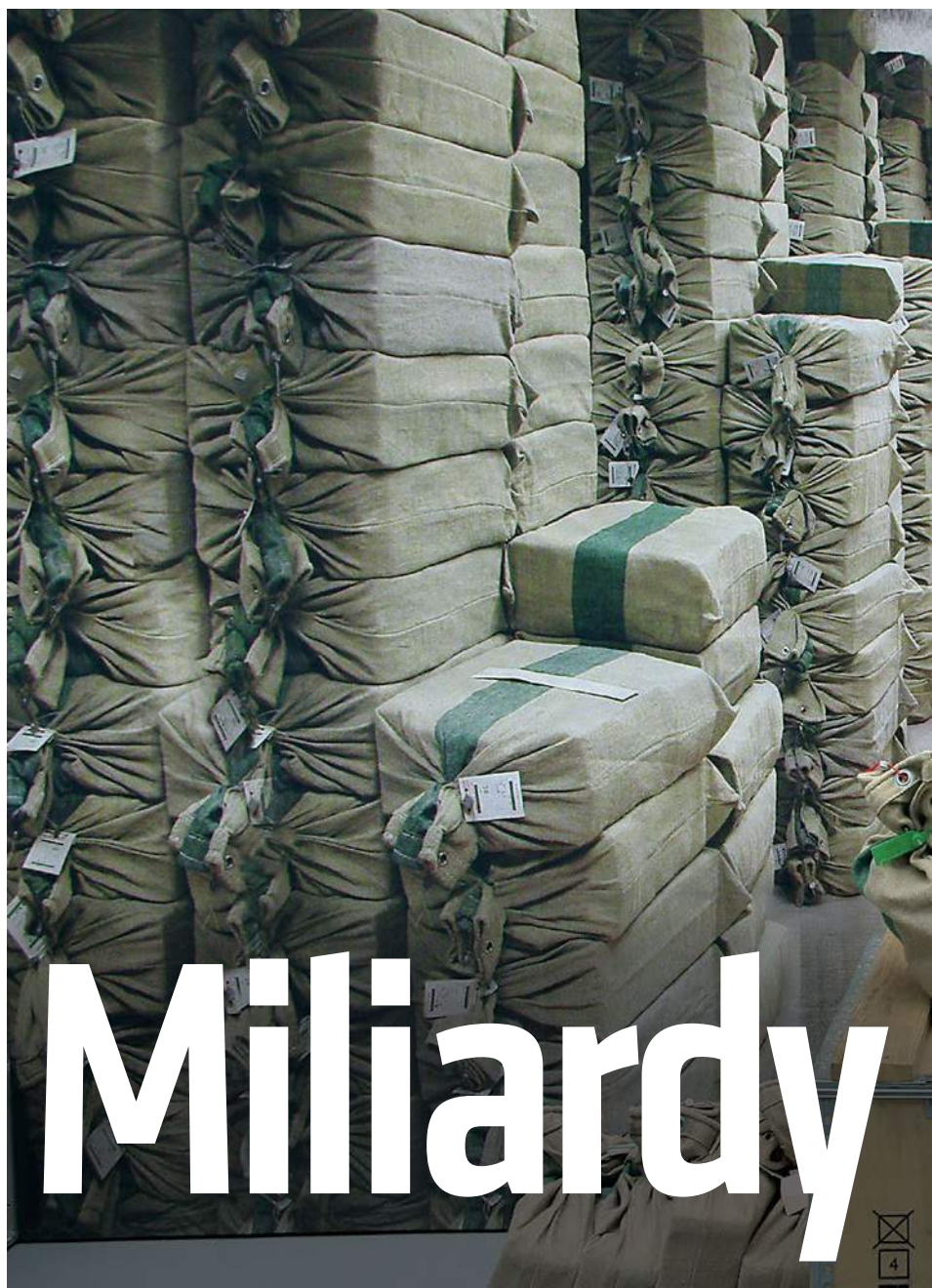
MONOPOL NA EMISJĘ

Zgodnie z konstytucją w Polsce wyłączne prawo emisji pieniądza – zarówno banknotów, jak i monet – ma Narodowy Bank Polski. Żadna inna instytucja nie ma takich uprawnień. Na każdym banknocie znajduje się napis: „Banknoty emitowane przez Narodowy Bank Polski są prawnym środkiem płatniczym w Polsce”. Nikt w Polsce nie może więc odmówić ich przyjęcia jako zapłaty.

NBP, jako polski bank centralny, odpowiada m.in. za wartość polskiego pieniądza. Chroni więc m.in. przed skutkami nadmiernej inflacji, czyli szybkiego wzrostu cen. Jako emitent pieniądza oraz bank banków Narodowy Bank Polski prowadzi szczegółowe analizy ilości pieniądza będącego w obiegu i dba o to, aby tzw. podaż pieniądza była odpowiednia w stosunku do potrzeb uczestników obrotu gotówkowego.

Eksperci NBP prognozują m.in., jaką ilość pieniądza banki zamierzają zamienić na banknoty lub monety. Określają też wielkość poszczególnych emisji oraz moment wprowadzenia ich do obiegu.

Banknoty na zlecenie NBP drukowane są w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych SA. Wszystkie polskie monety bite są obecnie w Mennicy Polskiej SA.



Aby pieniądz mógł spełniać swoje podstawowe funkcje, musi być nie tylko powszechnie akceptowany, lecz także trudny do podrobienia. Jeśli bowiem łatwo go będzie sfalszować, to ludzie stracą do niego zaufanie, a sam pieniądz szybko straci na wartości. Kłopot w tym, że proceder fałszowania pieniędzy jest niemal tak stary jak same pieniądze. Dawniej, gdy posługiwano się jeszcze pieniądzem kruszcowym, fałszerze zarabiali na tym, że ich monety zawierały mniej złota od tych bitych przez królewskie mennice. Chociaż – jak pisaliśmy w poprzednich odcinkach cyklu – zdarzało się i tak, że sami królowie czerpali

korzyści z wybijania monet o zaniżonej ilości drogiego kruszcu.

Żeby sprawdzić wartość monet, kupcy je nagryzali. Ponieważ złoto jest stosunkowo miękkie, jeśli moneta była wykonana z czystego złota, to zostawał na niej ślad po zębach.

Ten gest można współcześnie oglądać podczas relacji z wręczenia medali igrzysk olimpijskich. Wielu najlepszych sportowców po otrzymaniu złotego krążka często udaje, że go nagryza. Niestety, w złotych medalach kruszcu o czystości 99 proc. jest zaledwie 6 g, a pozostałe 494 g stopu stanowi srebro o czystości 92,5 proc., przez co medale są o wiele twardsze.



w obiegu

FOT. MARNEK BAZAN/EAST NEWS

Aby zapobiec podrabianiu monet, średniowieczni władcy skazywali fałszerzy na najokrutniejsze kary (od gotowania w oleju do palenia na stosie). Śmiałków i tak jednak nie brakowało.

Współcześnie do weryfikacji autentyczności najpopularniejszych złotych monet bulionowych wykorzystuje się tzw. linijkę menniczą (można ją kupić za niecałe 100 zł). Posiada ona otwory odpowiadające szerokości i grubości monet oraz przeciwwagę 1 uncji. Moneta o wadze jednej uncji powinna się zmieścić w dwóch szczelinach testowych, a włożona do wagi musi ją przeciążyć. Tak prosty sposób działania

umożliwia potwierdzenie autentyczności monety w ciągu zaledwie kilku sekund.

Obecnie ze względu na mniejszą opłacalność o wiele częściej niż monety podrabiane są jednak najpopularniejsze banknoty. Za najwybitniejszego fałszerza banknotów uważany jest mieszkający we Francji Polak Czesław Bojarski. Jego fałszywki były tak dobrze przygotowane, że Bank Francji musiał podjąć bezprecedensową decyzję: wycofać z obiegu oryginalny stufrankowy banknot i zastąpić go innym. I chociaż technologia się zmieniała, banknoty są coraz lepiej zabezpieczone, to nadal

nie brakuje chętnych do podrabiania najważniejszych walut świata.

ZADBAĆ O WARTOŚĆ PIENIĘDZY

Aby utrudnić życie fałszerzom, a przez to zadbać o wartość pieniędzy i zwiększyć bezpieczeństwo obrotu gotówkowego, banki centralne stosują wiele zabezpieczeń, poczynając od tajnej receptury papieru (np. wiadomo, że do produkcji dolarów stosowany jest papier składający się w ok. 75 proc. z bawełny i w ok. 25 proc. z lnu, ale dokładny skład papieru to pilnie strzeżony sekret), poprzez stosowanie znaków wodnych oraz mikrodruków,



W kwietniu 2014 r. do obiegu trafił banknot o nominale 100 zł z ulepszonymi zabezpieczeniami. Na zmodernizowanym banknocie można dostrzec: **1.** wzbogacony znak wodny przedstawiający wizerunek władcy oraz cyfrowe oznaczenie nominału na odkrytym polu, **2.** farbę zmienną optycznie, która w zależności od kąta patrzenia płynnie zmienia kolor ze złotego na zielony, **3.** ulepszony druk obustronny (tzw. zabezpieczenie recto-verso), **4.** nitkę zabezpieczającą z cyfrowym oznaczeniem nominału „100” i skrótem „ZŁ”, **5.** efekt kątowy, w którym w zależności od kąta patrzenia widoczna jest zmiana obrazu. W prawym, dolnym rogu banknotu widoczny jest nominal lub korona. Natomiast z lewej strony portretu słowne i cyfrowe oznaczenia nominału, a pomiędzy nimi skrót „NBP”. **6.** Nowe banknoty nadal chronione są też za pomocą mikroдруку. **7.** Mają również zmodernizowane zabezpieczenie widoczne w ultrafiolecie.

■ a kończąc na nitkach zabezpieczających i wypukłych nadrukach, które zmieniają kolor w zależności od kąta, pod jakim ogląda się banknot.

Banki centralne systematycznie wprowadzają też nowe zabezpieczenia. Europejski Bank Centralny w 2013 r. rozpoczął wprowadzanie nowej serii banknotów, począwszy od nominału 5 euro (zastąpiły one banknoty wprowadzone w roku 2002). W 2017 r. do obiegu weszły nowe, lepiej zabezpieczone „pięćdziesiątki” – najpopularniejszy banknot strefy euro (w Europie w obiegu jest ponad 9 mld banknotów o tym nominale i za ich pomocą dokonuje się niemal 50 proc. wszystkich transakcji gotówkowych w strefie euro). Według policji najczęściej fałszowane są banknoty o nominałach 50 i 100 euro.

Na początku przyszłego roku wydane będą zaś lepiej zabezpieczone banknoty o nominałach 100 i 200 euro.

Aby być o krok przed fałszerzami, w 2013 r. Amerykanie wprowadzili z kolei do obiegu nowy banknot studolowy, który zawiera m.in. znak wodny,

nitkę zabezpieczającą, która w ultrafioletowym świetle świeci na różowo, pasek zabezpieczający wykonany w technologii trójwymiarowej (przy zginaniu banknotu można zobaczyć, jak widoczne na nim dzwony zmieniają się w liczbę „100”), wypukły wydruk, mikrodruck oraz farbę zmienną optycznie.

ROZPOZNAĆ ORYGINAŁ

W Polsce poziom fałszerstw banknotów jest niski. Szybki postęp technologiczny sprawił jednak, że Narodowy Bank Polski w 2013 r. zlecił Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych SA produkcję banknotów o nominałach 10 zł, 20 zł, 50 zł i 100 zł ze zmodernizowanymi zabezpieczeniami. Do obiegu zaczęły one trafiać od kwietnia 2014 r. Była to pierwsza operacja zmiany zabezpieczeń serii „Władcy polscy” autorstwa Andrzeja Heidricha od czasu wprowadzenia jej do obiegu w roku 1995. Oczywiście banknoty będące wcześniej w obiegu pozostają bezterminowo prawnym środkiem płatniczym aż do czasu ich naturalnego zużycia.

Jak zweryfikować autentyczność polskich banknotów? To bardzo proste, jeśli tylko poznamy cechy charakterystyczne, które odróżniają prawdziwy pieniądz od fałszywego. Bardzo dobrze chroniony jest już banknot o nominale 10 zł. Wraz ze wzrostem nominału rośnie jednak liczba zabezpieczeń, dla przykładu opiszemy więc zabezpieczenia stosowane w przypadku banknotu o nominale 50 zł. Aby zadbać o bezpieczeństwo, NBP poleca trzy zasady: popatrz, przechyl, dotknij. Należy:

– obejrzeć banknot pod światło

Gdy spojrzymy pod światło, wyraźnie widać znak wodny: wizerunek Kazimierza III Wielkiego, duże cyfrowe oznaczenie nominału „50” oraz nitkę zabezpieczającą, czyli pionową, ciemną linię z oznaczeniem „50 ZŁ”, widocznym także w odbiciu lustrzanym.

Ważne jest też, że samo pole znaku wodnego nie jest zadrutowane. Po obu stronach banknotu w tym samym miejscu znajdują się też fragmenty grafiki, które pod światło tworzą pełny obraz, czyli idealnie dopasowaną koronę



W 2016 r. NBP zmodernizował banknot o nominale 200 zł. Banknot posiada szereg zabezpieczeń: **1.** Wzbogacony znak wodny przedstawiający wizerunek władcy oraz cyfrowe oznaczenie nominału na odkrytym polu. **2.** Nowa nitka zabezpieczająca (okienkowa) z efektem zmienności optycznej. Podczas poruszania banknotem widoczna jest płynna zmiana barwy ze złotej na zieloną, a wzór szachownicy porusza się w płaszczyznach poziomej i pionowej. Nitka zabezpieczająca została umieszczona w strukturze papieru. **3.** Ulepszony druk obustronny (tzw. zabezpieczenie recto-verso). **4.** Zastosowano farbę zmienną optycznie. Kolor tarczy płynnie przechodzi ze złotego w zielony, a wzór szachownicy porusza się w płaszczyznach pionowej i poziomej. **5.** Mikroskopijne napisy (mikrodruki) umieszczono po obu stronach banknotu. **6.** Opalizujący ornament w kolorze złotym na stronie odwrotnej jest widoczny lub niemal niedostrzegalny w zależności od kąta patrzenia. **7.** Na stronie odwrotnej złotą farbą wydrukowano cyfrowe oznaczenie nominału i ozdobny wzór pod nominałem.

w owalu. To zabezpieczenie nosi nazwę recto-verso.

– **spojrzeć na banknot pod różnymi kątami.** Aby upewnić się, że banknot jest autentyczny, warto też spojrzeć na niego pod różnymi kątami. W przypadku nominału 50 zł w zależności od kąta patrzenia widać koronę lub cyfry oznaczenia nominału „50”. Wraz ze zmianą kąta patrzenia kolor stylizowanej litery „K” w koronie (po prawej stronie portretu) płynnie przechodzi z zielonego w niebieski;

– **dotknąć ich powierzchni.** Charakterystyczny w dotyku jest już sam papier. Dzięki wykorzystaniu stalorytu (techniki druku, która daje efekt wypukłości) określone elementy i niektóre zabezpieczenia są wyczuwalne pod opuszkami palców.

Na stronie przedniej pod opuszkami palców można wyczuć m.in.:

- portret władcy,
- godło Rzeczypospolitej Polskiej,
- podpisy prezesa i głównego skarbnika NBP,
- napis „WARSZAWA” i datę emisji,
- oznaczenie dla niewidomych,
- napis „NARODOWY BANK POLSKI”,

- cyfrowe oznaczenie nominału,
- górny i dolny pas z prawej strony portretu.

– **sprawdzić banknoty pod lupą oraz za pomocą światła ultrafioletowego.** W powiększeniu odczytamy m.in. mikroskopijne napisy umieszczone zarówno na przedniej, jak i na odwrotnej stronie banknotu. W promieniach UV widać z kolei m.in. kwadrat z cyfrowym oznaczeniem nominału „50” i skrótem „ZŁ”, a także serię i numer banknotu.

Na odwrotnej stronie banknotu pięćdziesięci złotowego wypukłe są: pas u dołu, klauzula prawna „BANKNOTY EMITOWANE PRZEZ NARODOWY BANK POLSKI SĄ PRAWNYM ŚRODKIEM PŁATNICZYM W POLSCE”, główny element szaty graficznej (Orzeł Biały z pieczęci króla Kazimierza III Wielkiego, a poniżej widać berło i jabłko – insygnia królewskie. W tle widnieje panorama Krakowa i Kazimierza z drzeworytu Hartmanna Schedla, podróżnika niemieckiego z końca XV wieku.) oraz cyfrowe i słowne oznaczenie nominału.

Pod lupą na stronie przedniej zobaczysz także mikrodruki stalorytne

(„RZECZPOSPOLITA POLSKA”, „RP”) oraz offsetowe („RZECZPOSPOLITA POLSKA”), a na stronie odwrotnej wydrukowane niewielką czcionką mikrodruki stalorytne („RZECZPOSPOLITA POLSKA”) i offsetowe („NARODOWY BANK POLSKI”). W świetle ultrafioletowym na przedniej stronie banknotu pięćdziesięci złotowego blisko prawej krawędzi można zobaczyć kwadrat z oznaczeniem „50 ZŁ” oraz serię i numer banknotu. Po lewej stronie portretu Kazimierza III Wielkiego w ultrafioletie widoczne są elementy szaty graficznej.

W lutym 2016 r. do obiegu trafił zmodernizowany banknot o nominale 200 zł. Poza zabezpieczeniami użytymi w przypadku banknotów o nominałach 10 i 20 zł (znak wodny, wypukłe elementy, uzupełniający się druk dwustronny, mikroskopijne napisy czy farba opalizująca) zastosowano także okienkową nitkę zabezpieczającą (podczas poruszania banknotem można zaobserwować, że barwa zmienia się ze złotej na zieloną, a wzór szachownicy wywołuje wrażenie ruchu podczas przechylania banknotu), farbę zmienną optycznie (kolor tarczy

■ w prawej części przedniej strony banknotu płynnie zmienia kolor ze złotego na zielony) oraz złotą farbę, którą na odwrotnej stronie banknotu wydrukowano cyfrowe oznaczenie nominału („200”), a także ozdobny wzór graficzny pod nominałem.

Od lutego 2017 r. NBP wprowadził zaś do obiegu całkowicie nowy banknot o nominale aż 500 zł, na którym znajduje się wizerunek Jana III Sobieskiego. Jest to najlepiej zabezpieczony banknot z całej serii „Władcy polscy”. Aby maksymalnie utrudnić jego fałszowanie, wykorzystano w nim m.in.: znak wodny, okienkową nitkę zabezpieczającą, farby (zmienną optycznie i opalizującą) oraz element „recto-verso”. Rozpoznanie autentycznej pięćsetki ułatwia też to, że szyszak husarski i nitka zabezpieczająca przy poruszaniu banknotem zmieniają barwę równocześnie, co po raz pierwszy zostało zastosowane na banknocie 200 zł (zmiana koloru oraz wzoru na nitce i tarczy herbowej).

CORAZ MNIEJ FAŁSZYWEK

Żeby w dowolnym momencie łatwo można było sprawdzić listę cech charakterystycznych polskich banknotów, Narodowy Bank Polski stworzył aplikację NBP Safe (jest dostępna na smartfony z systemem Android, iOS czy Microsoft).

Jeśli po sprawdzeniu wszystkich charakterystycznych elementów nadal ma się wątpliwości co do posiadanego banknotu, można się udać do najbliższego banku i poprosić o sprawdzenie jego autentyczności.

Chociaż polskie banknoty mają jedno z najlepszych zabezpieczeń na świecie, to kryminaliści sporadycznie próbują je podrabiać. Z roku na rok liczba fałszyfikatów w obrocie gotówkowym spada. W 2014 r. fałszywych banknotów było ponad 11 tys., w 2015 r. ujawniono ponad 7 tys. fałszyfikatów, a w roku 2016 NBP odnotował 6919 podrobionych banknotów. Ryzyko trafienia na taki banknot jest więc stosunkowo niewielkie.

Najbardziej uważać należy na banknoty pięćdziesięciozłotowe, bo są najczęściej podrabiane. Nawet w tym przypadku nie ma jednak zbyt wielu powodów do obaw. Według NBP na milion banknotów o nominale 50 zł przypada 14 fałszyfikatów. Na drugim miejscu wśród najczęściej fałszowanych w naszym kraju jest banknot o nominale 100 zł – wynika z raportu MSWiA dotyczącego stanu bezpieczeństwa w Polsce.

Ostrożność należy też zachować przy obrocie walutami. Według NBP w Polsce najczęściej są znajdowane fałszywki

o nominałach 50 euro oraz 100 euro.

Według Europejskiego Banku Centralnego zdecydowana większość fałszyfikatów to banknoty o nominałach 20 i 50 euro. 98 proc. fałszywek ujawnianych jest zaś w krajach strefy euro.

Najczęściej fałszywe banknoty są wykonane techniką druku offsetowego, a także atramentowego oraz laserowego. Fałszerze starają się zmylić czujność potencjalnych ofiar poprzez nadrukowywanie na podróbkach podstawowych zabezpieczeń, takich jak znak wodny czy nitka zabezpieczająca. Zabezpieczenia widoczne w świetle ultrafioletowym fałszerze podrabiają, wykorzystując farby fluoroscencyjne. Czasem przestępcy wprowadzają też do obiegu banknoty sfalszowane, czyli oryginalne banknoty przerobione na banknoty o wyższym nominale.

Średnio rocznie policjanci oraz oficerowie specjalnego zespołu do zwalczania fałszerstwa pieniędzy działającego w ramach Centralnego Biura Śledczego KGP likwidują rocznie jedną dużą wytwórnę fałszywek oraz kilkadziesiąt małych.

Ciekawostki:

- Statystycznie **każdy banknot** raz w roku trafia do NBP, gdzie jest sprawdzany pod kątem autentyczności, zniszczenia i zabrudzenia. Jeśli nie nadaje się do obiegu, to jest wycofywany.
- Stosowane w NBP **sortery sprawdzają banknoty** z prędkością 33 sztuk na sekundę.
- Według NBP **okres życia polskich banknotów o niższych nominałach (10, 20 zł) to ok. trzech lat**, a np. banknotu stułotowego – ponad osiem lat. Jak podaje Rezerwa Federalna (bank centralny Stanów Zjednoczonych), w przypadku dolarów amerykańskich najkrócej w obiegu są banknoty o nominale 10 dol. (średni okres życia to 4,5 roku), a najdłużej o nominale 100 dol. (są wycofywane z obiegu średnio po 15 latach).

Niektóre fałszywki na pierwszy rzut oka przypominają prawdziwe, ale mają np. grubszy i bardziej śliski papier, nieczytelny mikrodruk, brakuje im też zabezpieczeń widocznych w ultrafiolecie. Są jednak i takie fałszyfikaty, które dla nieprofesjonalisty

są niezwykle trudne do rozpoznania: mają podrobiony wielotonowy znak wodny, dobrze wyczuwalne wypukłości, czytelny mikrodruk, a nawet nitkę zabezpieczającą.

Profesjonalnych oszustów od prób łatwego zarobku nie odstrasza nawet wysokie kary. Fałszowanie pieniędzy w Polsce podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat pięciu albo karze 25 lat pozbawienia wolności. Wprowadzenie fałszywek w obieg jest zagrożone karą pozbawienia wolności od roku do lat 10.

Nie zawsze podrabianiem pieniędzy zajmują się jednak wyspecjalizowani kryminaliści. Policja wciąż zatrzymuje osoby, które próbują drukować banknoty domowym sposobem. Gdy w zeszłym roku mieszkanka Katowic próbowała zapłacić w jednym ze sklepów fałszywą stułotówką, okazało się, że pieniądze podmienił jej w portfelu jej 14-letni syn. Rok temu w ręce policjantów trafił gimnazjalista z Jeleniej Góry, który za pomocą skanera i drukarki podrobili cztery stułotówki.

Z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że w roku 2015 przed sądami okręgowymi I instancji stanęło łącznie 91 osób oskarżonych o przestępstwa dotyczące podrabiania pieniędzy, z czego wyrok skazujący usłyszały 84. Liczba postępowań dotyczących wprowadzania do obiegu podrobionych pieniędzy wzrosła zaś z 70 w 2014 r. do 137 w roku 2015.

Kupujący powinni być szczególnie czujni podczas zakupów na bazarach, w supermarketach czy podczas imprez masowych. A co powinien zrobić np. kasjer w sklepie, jeśli padnie ofiarą oszustów i fałszywka trafi do jego sklepu? Po pierwsze: wezwać policję. Funkcjonariusze po spisaniu protokołu wysyłają podejrzaną banknot do analizy do NBP, a także, jeśli to możliwe, przesłuchują klienta, który próbował nim zapłacić. W przypadku waluty polskiej, jeśli banknot okaże się prawdziwy, to właścicielowi zwracana jest jego równowartość. Jeśli będzie fałszywką, to policja rozpocznie śledztwo.

Jeśli mamy wątpliwości co do banknotu, to zawsze możemy też zanieść go do sprawdzenia w każdym banku lub zgłosić się do najbliższej jednostki policji. Jeżeli okaże się fałszywką, to nie grozi nam wówczas nic poza utratą banknotu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt realizowany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej.

Igrzyska na śniegu



Partner dodatku



Kto ma szansę na medal?



Łukasz Majchrzyk

Na igrzyskach olimpijskich w Soczi reprezentanci Polski zdobyli sześć medali, z czego aż cztery złote. Ile przywiozą teraz?



W Soczi Justyna Kowalczyk wywalczyła złoto.

Już nie dominuje nad przeciwniczkami, ale ma wielkie doświadczenie

FOT. QUINN ROONEY/GETTY IMAGES

Cztery lata temu nad Wisłą zapanała euforia. Z zawodów w Rosji co chwila docierały radosne informacje: złoto Kamila Stocha (w sumie dwa w konkursach indywidualnych), złoto Justyny Kowalczyk, złoto Zbigniewa Bródki, medal drużyny panczenistów i jeszcze na dokładkę medal panczenistek. Było się z czego cieszyć i przez chwilę kibice mogli mieć wrażenie, że Polska jest potęgą w sportach zimowych.

Po okresie posuchy, kiedy reprezentanci Polski zdobywali olimpijski medal raz na kilkadziesiąt lat, wreszcie na zimowych igrzyskach olimpijskich słyszeć było „Mazurka Dąbrowskiego” – głośno i wyraźnie. Nawet w najlepszych czasach Adama Małysza nie patrzono na zimowe sporty tak optymistycznie jak po Soczi. Kibice podziwiali kaski Kamila Stocha, udekorowane białą-czerwoną szachownicą polskich lotników. Nauczyli się nowej jednostki pomiaru czasu, jednej „bródki”, która wynosiła 0,003 sekundy, bo z taką przewagą Polak pokonał srebrnego medalistę. Zaciskali kciuki za Justynę Kowalczyk i bili jej brawo, gdy po raz kolejny pokazała charakter wojowniczkę i została mistrzynią olimpijską mimo złamania kości w stopie niedługo przed igrzyskami.

CZTERY LATA PÓŹNIEJ

Czy w Pjongczangu jest szansa na podobne wzruszenia? Wszyscy bohaterowie ostatnich igrzysk jadą do Korei Południowej. Jednak na co ich stać tym razem? Są o cztery lata starsi czy raczej o cztery lata bardziej doświadczeni. Mają za sobą sukcesy i porażki.

Kibice z największymi nadziejami będą czekać na konkursy skoków narciarskich – zarówno indywidualne, jak i drużynowe. Kamil Stoch pokazał, że optymalną formę przygotował w najlepszym momencie, i od początku Turnieju Czterech Skoczni rozpędza się coraz bardziej. Skacze świetnie, równo. Polski skoczek podczas niedawnych mistrzostw świata w Oberstdorfie pokazał, że nie są mu obce również loty narciarskie. Zaimponował podczas konkursu drużynowego na Wielkiej Krokwi w Zakopanem. Mały niepokój został zasiany po wpadce w niedzielny konkursie indywidualnym, gdzie nie zakwalifikował się do drugiej serii, ale słabszy skok można traktować jak wypadek przy pracy. Stoch ma szansę na przebicie sukcesu Simona Ammanna. Szwajcar w Salt Lake City (2002) i Vancouver (2010) wygrywał oba konkursy indywidualne.

Polak może go przebić – obronić olimpijskie złota, a także dołożyć krążek (złoty?) w konkursie drużynowym. Drużyna pod wodzą Stefana Horngachera jest w świetnej formie. Dobrze skacze Dawid Kubacki, przebudził się Stefan Hula, można liczyć na Macieja Kota. Występy tej czwórki dają solidne powody do optymizmu.

Justyna Kowalczyk nie jest już w tak wysokiej formie. Nie dominuje nad rywalkami, stara się wybierać biegi, zachowując jak najwięcej sił na konkurencję, w których ma szanse medalowe. Na czym budować optymizm? Na jej doświadczeniu i umiejętności koncentrowania się na zadaniach do wykonania. Kowalczyk do Korei przyjedzie prosto ze zgrupowania, gdzie szlifuje formę. Jest znana z tego, że nie zaniedbuje żadnego szczegółu, a współpracują z nią najlepsi fachowcy. Są powody do optymizmu, zwłaszcza w biegach stylem klasycznym, w którym Polka się specjalizuje. Kibice powinni śledzić start na dystansie 30 km oraz sprint, który również zostanie rozegrany techniką klasyczną.

Martwić może forma łyżwiarzy szybkich. Męska drużyna nie zdołała się zakwalifikować na igrzyska olimpijskie, więc tutaj powtórki sprzed czterech lat nie będzie. Bródka w czasie przygotowań zmagiał się z kontuzją mięśnia. Drugi filar drużyny, Konrad Niedźwiedzki, niedawno miał ciężką kontuzję (zderzył się z maszyną rolniczą podczas treningu) i potem długo dochodził do siebie. Swoich szans będą szukali w startach indywidualnych i na pewno woli walki im nie zabraknie.

Cztery lata temu nikt nie liczył na tak wielkie sukcesy panczenistów, a przyjechali z dwoma medalami. Teraz też warto śledzić uważnie ich występy. Wprawdzie na igrzyskach zabraknie drużyny męskiej, ale wystartują nasze panie (w składzie są: Katarzyna Bachleda-Curuś, Karolina Bosiek, Natalia Czerwonka i Luiza Złotkowska). Polki medale zdobywały zarówno osiem lat temu, jak i cztery lata temu. Teraz również trzeba je widzieć w gronie kandydatek do stanięcia na podium.

CO WYSTRZELAJĄ

Kibice mogą także liczyć na miłe chwile podczas występu polskich biathlonistów. Czy jest szansa na medal w biegu indywidualnym? W tym sezonie w najlepszej formie zdaje się być Weronika Nowakowska, która wróciła w tym sezonie do startów po urodzeniu bliźniąt. Cztery lata temu w Soczi Polka zajęła szóste miejsce w biegu sprinterskim (przybiegła na metę



Cztery lata temu medale panczenistów były zaskoczeniem. Teraz Zbigniew Bródka wystąpi jako obrońca tytułu mistrza olimpijskiego

FOT. CHRISTOF KOEPEL/ISU/GETTY IMAGES

z siódmym czasem, ale później rosyjskie biathlonistki zostały zdyskwalifikowane za doping).

Podczas tegorocznych startów w Pucharze Świata Nowakowska dwa razy była bardzo blisko podium – raz była szósta (sprint), a raz czwarta (bieg pościgowy) podczas zawodów w Oberhofie. Niedawno w biegu masowym zajęła 29. pozycję, ale tamten start nie mówi prawdy o jej formie, bo polska zawodniczka miała problem z dojechaniem na zawody (zawinił organizatorzy) i na starcie stanęła nawet bez odpowiedniej rozgrzewki.

Jak zwykle silna może być damska sztafeta (Nowakowska, Magdalena Gwizdoń, Monika Hojnisz, Krystyna Guzik). Polki mają szansę na włączenie się do walki

o medale, jeśli tylko nerwy nie zawiodą na strzelnicy. Cztery lata temu właśnie z tym były wielkie problemy – stąd dopiero 10. (po dyskwalifikacji Rosjank dziewczęte) miejsce. Podobno Polki podczas zgrupowań bardzo mocno pracowały nad celnością strzałów – toczyły wiele wewnętrznych pojedynków, rozgrywały minisztafety. Dzięki temu mają być odporniejsze psychicznie. Nowakowskiej po raz pierwszy w karierze przy biegu z czterokrotnym strzelaniem udało się przybiec na metę bez pudła. Jeśli takie strzelanie uda się powtórzyć w Pjongczangu, to może być bardzo ciekawie. W Ruhpolding Polki zajęły piąte miejsce, a do najlepszych sztafet zabrakło im niewiele. Może w Korei trafią w medal?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szanse medalowe w telewizji

• 10 lutego (sobota)

12–13.35 **TVP 2** biathlon – sprint K (Weronika Nowakowska)

13–16.15 **TVP 1** skoki narciarskie – konkurs indywidualny, skocznia normalna (Kamil Stoch)

• 12 lutego (poniedziałek)

10.55–12.40 **TVP 2** biathlon – bieg pościgowy K (Weronika Nowakowska)

• 13 lutego (wtorek)

11–13.50 **TVP 2** biegi narciarskie – sprint K i M (Justyna Kowalczyk)

• 14 lutego (środa)

11.55–14 **TVP 2** biathlon – bieg 15 km K (Weronika Nowakowska)

• 17 lutego (sobota)

11.30–12.55 **TVP 2** biathlon – bieg masowy K (Weronika Nowakowska)

13–15.40 **TVP 1** skoki narciarskie M – konkurs indywidualny, skocznia duża (Kamil Stoch)

• 19 lutego (poniedziałek)

11.45–13.55 **TVP 2** łyżwiarstwo szybkie – bieg drużynowy K (drużyna Polek), 500 m M (Artur Waś)

13–16.15 **TVP 1** skoki narciarskie – konkurs drużynowy (reprezentacja Polski)

• 25 lutego (niedziela)

6.10–9.30 **TVP 2** biegi narciarskie – 30 km K (Justyna Kowalczyk)

ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE
PJONGCZANG 2018 W TVP

● 8 lutego (czwartek)

- 11.20–15.35 skoki narciarskie – oficjalny trening, kwalifikacje
16.15–16.25 „Halo, tu Pjongczang”
16.30–16.50 Skróty wydarzeń
19.10–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

● 9 lutego (piątek)

- 11.15–15.40 Ceremonia otwarcia
16.10–16.20 „Halo, tu Pjongczang”
16.30–16.50 Skróty wydarzeń
18.35–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

● 10 lutego (sobota)

- 0.45–5.59 curling, snowboard – slopestyle M, eliminacje
6–6.40 snowboard – slopestyle M, eliminacje
6.50–9.20 biegi narciarskie – skiathlon K
11.55–12.50 skoki narciarskie – trening
13–16.15 skoki narciarskie – konkurs indywidualny NH
16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40–16.50 Skróty wydarzeń
18–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie
10.45–11.55 short-track – 1500M, 500K, sztafeta K
12–13.35 biathlon – sprint K
13.40–14.45 saneczkarstwo – jedynki M
14.50–15.25 łyżwiarstwo szybkie – 3000K
15.40–16.45 short-track – 1500M, 500K, sztafeta K

● 11 lutego (niedziela)

- 2.35–4.50 narciarstwo alpejskie – zjazd M
4.55–6 snowboard – slopestyle K eliminacje
12.45–14.55 narciarstwo dowolne – muldy K
16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40–16.50 Skróty wydarzeń
18.20–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

1.45–3.45 snowboard – slopestyle M
6–6.55 snowboard – slopestyle K eliminacje

- 7.10–8.30 biegi narciarskie – skiathlon M, łyżwiarstwo szybkie – 5000M
8.40–8.55 łyżwiarstwo szybkie – 5000M
10.10–11.50 saneczkarstwo – jedynki M
11.55–13.55 biathlon – sprint M

● 12 lutego (poniedziałek)

- 2.10–3.55 narciarstwo alpejskie – gigant K
4.05–5.05 łyżwiarstwo figurowe – druż.
5.15–7.05 narciarstwo alpejskie – gigant K
12.45–15 łyżwiarstwo szybkie – 1500K
15.05–16.15 narciarstwo dowolne – muldy M
16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40–16.50 Skróty wydarzeń
19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

- 1.55–3.45 snowboard – slopestyle K
5.15–7.10 snowboard – halfpipe K
10.55–12.40 biathlon – bieg pościgowy K
12.45–13.40 biathlon – bieg pościgowy M
13.45–15.25 skoki narciarskie K NH

● 13 lutego (wtorek)

- 0.40–3.05 curling MIX – o 3. miejsce
3.10–4.55 narciarstwo alpejskie – kombinacja M, zjazd
5–6.35 snowboard – halfpipe M



Z Weroniką Nowakowską,
biatlonistką
rozmawia Łukasz Majchrzyk

To moje ostatnie igrzyska

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Wróciła pani do startów po dłuższej przerwie – po urodzeniu bliźniąt. Za nami znaczna część sezonu. Jak ocenia pani swoją formę na tym etapie?

WERONIKA NOWAKOWSKA: Myślę, że mam wiele powodów do zadowolenia, ale nie popadam w przesadny optymizm. Zdarzają mi się podczas wyścigów momenty, w których mogłabym uzyskać lepszy czas. Ogólnie jednak nie jest źle. Powrót do sportu po ciąży bliźniaczej był wielką niewiadomą i już samo stanięcie na starcie Pucharu Świata było wielkim wyzwaniem. W tym momencie czuję ogromne zmęczenie, bo odbywamy mocne, siłowe treningi, a to nie sprzyja szybkiemu bieganiu. Trzeba się bardzo zmęczyć, dojechać do granic możliwości, żeby później zbierać owoce. Obecnie zajmuję w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata 21. pozycję i mam nadzieję, że najlepsza forma nadejdzie podczas igrzysk w Pjongczangu.

Czuła się pani, jakby ponownie debiutowała?

Rzeczywiście, bardzo przeżywałam początek sezonu. Trochę się bałam, nie wiedziałam do końca, na co mnie stać. Na szczęście forma biegowa jest ustabilizowana. To daje podstawy do optymizmu. Jeśli nie popełnię błędów na strzelnicy, to wyniki powinny być dobre. Dzisiejszy biathlon jest tak wyrównany, a poziom tak wysrubowany, że nie można bazować tylko na jednej umiejętności. Nie wystarczy być dobrym strzelcem albo świetnym biegaczem. Medale zdobywają ci, którzy połączą obie te umiejętności.

Pani wyniki z tego sezonu pokazują, że forma strzelecka rośnie?

Na strzelnicy czuję się coraz pewniej. W tym sezonie po raz pierwszy w karierze przy czterokrotnym strzelaniu w jednym biegu nie spudłowałam ani razu. Wcześniej, nawet jeśli do pewnego momentu

szło mi świetnie, to zawsze gdzieś jakąś karę dostawałam. W trakcie letnich zgrupowań ciężko pracowaliśmy na strzelnicy. Trener Tobias Torgersen zmienił nasz system przygotowań. Podczas treningów odbywałyśmy dużo pojedynków, minisztafet. Dzięki temu teraz trudniej wyprowadzić mnie z równowagi na strzelnicy. Poza tym zmieniło się moje podejście do biathlonu. Kiedyś sport był prawie całym moim życiem. Teraz nie czuję takiego ciśnienia. Mam wspieraną rodzinę, cudowne dzieci. Wszystko, co się dzieje w sporcie zawodowym, to taki gratis od życia. Oczywiście kiedy startuję, to daję z siebie wszystko, ale wiem, że poza biathlonem są sprawy jeszcze ważniejsze.

Trudniej wyprowadzić panią z równowagi? Biatloniści stosują jakieś zagrywki psychologiczne?

Myślę, że zachowanie niektórych zawodniczek można nazwać pewnego rodzaju grą. Czasami ktoś, przebiegając na strzelnicy, głośno chrząknie, żeby przeszkodzić strzelającym rywalom. Ja takich trików nie stosuję. Koncentruję się na swoim zadaniu, które mam wykonać.

Co z pani zdrowiem? Podobno narzeka pani na ból pleców?

Latem doznałam kontuzji, która wykluczyła mnie z treningów na



FOT. KASIA ZAREBA/SE/STARS

trzy tygodnie. Ból niekiedy powraca przy dużym wysiłku. Na szczęście nasi fizjoterapeuci i trenerzy reagują błyskawicznie na wszelkie niepokojące sytuacje. Mam nadzieję, że podczas igrzysk w Pjongczangu będę w dobrej formie fizycznej.

Podczas zgrupowania w Ruhpolding są z panią małe dzieci. To ułatwia czy utrudnia przygotowania?

Psychicznie na pewno jest łatwiej, kiedy mam dzieci przy sobie. Gdyby chłopcy nie byli teraz ze mną, wróciłabym do domu przed wylotem do Korei na trzy, cztery dni, a potem znowu czekałoby nas kilka tygodni rozłąki. Kiedy dzieci są ze mną, mogę się w pełni skoncentrować na treningu. W Ruhpolding są ze mną mama i teściowa, które pomagają mi od strony logistycznej. Dzieci cały czas mają opiekę. Jeśli czuję zmęczenie, potrzebuję drzemki lub pójścia na masaż, to nie muszę się zastanawiać, z kim zostawić chłopców. Przyznam, że jest to dosyć nietypowa sytuacja. Raczej mamy sportsmenki wyjeżdżają na obozy bez dzieci. Ja poszłam inną drogą. To był zresztą warunek mojego powrotu do sportu: albo dzieci będą mi towarzyszyć, albo kończę karierę. Oczywiście pogodzenie roli matki z profesjonalnym sportem nie jest łatwe. Były momenty trudne, kryzysowe, ale nie jestem w tym wszystkim sama. Pomagają mi partner, nasze mamy. Dzięki nim daję radę.

Kibice liczą na medal żeńskiej sztafety. A jak pani ocenia szanse naszej drużyny?

Cały czas mówię o tym, że jednym z powodów powrotu do sportu był niedosyt po ostatnich igrzyskach. Występ naszej sztafety w Soczi był bardzo nieudany, a wiem, że mamy zespół, który jest w stanie walczyć z najlepszymi. Ostatni bieg sztafetowy podczas Pucharu Świata w Ruhpolding pokazał, że jesteśmy bardzo blisko pozycji medalowych. Do zwycięskiej drużyny straciłyśmy tylko 25 sekund.

Trasy w Korei są już rozpoznane? Czyś mogła zaskoczyć?

Byłam w Pjongczangu, bodajże w 2011 r., na mistrzostwach świata. W poprzednim sezonie, podczas próby przedolimpijskiej, nie było mnie tam, ale dzięki Krysi Guzik mam nagrane wideo z trasy, które uważnie przeanalizowałam. Pojawimy się w Korei na tyle wcześniej, że będziemy mieć czas na rozpoznanie terenu na miejscu. Figle może splotać pogoda i zawody

olimpijskie będą wielkim wyzwaniem dla naszych serwismenów. To będą już moje trzecie igrzyska; najbardziej odpowiadały mi trasy przygotowane w Vancouver, które były dość płaskie i trudne technicznie. Trasy w Soczi odpowiadały mi mniej, a te w Korei są do nich podobne. Jeśli jednak zawodnik jest w dobrej formie fizycznej, to żadna trasa mu nie przeszkadza.

Czeka was zmiana strefy czasowej. Łatwo się pani aklimatyzuje?

Bardzo różnie z tym bywa, ale na szczęście jedziemy do Azji, więc czas przestawia się w „dobrą” stronę, łatwiejszą dla organizmu. Rozmawiamy o tym i dochodzimy do wniosku, że będziemy się przestawiać o trzy, cztery godziny, a nie całkowicie, bo zawody będą ok. 21 tamtego czasu. Będziemy się starać, żeby organizmy nie doznały szoku. Oczywiście wszystko okaże się na miejscu. Mówi się, że organizm jest w stanie się przestawić o godzinę w ciągu każdej doby. Jeśli nawet będziemy potrzebować siedmiu godzin, to czasu nam wystarczy.

Naprawdę to będą pani ostatnie igrzyska olimpijskie?

Może nie jest teraz najlepszy moment na mówienie o zakończeniu kariery, ale ja już podjęłam decyzję. Powodem nie jest niezadowolenie z wyników czy zmęczenie, ale macierzyństwo. Chciałabym biathlon, to jeszcze bardziej chcę uczestniczyć w życiu chłopców, widzieć, jak dorastają, a sport wymaga poświęcenia mu dużo czasu. Nie wiem, czy byłabym w stanie jeszcze wytrzymać rozłąkę. Do tego dochodzą zarwane noce i wszystko, co się wiąże z wczesnym macierzyństwem.

Pomysł na najbliższą przyszłość już chyba pani ma. Otworzyłyście z siostrą kawiarnię.

To była spontaniczna decyzja. Siostra ma firmę, która robi odwierty. Praca jest latem, a w zimie brakowało jej zajęcia. Doszłyśmy do wniosku, że w parku w Dusznikach powinna powstać kawiarnia. Przez kilka miesięcy po zakończeniu kariery będę chciała pobyć w domu, wyhamować troszeczkę. A co będzie potem? Na pewno w dalszym ciągu chciałabym być blisko sportu.

Czego pani życzyć na igrzyska?

Dużo zdrowia i cierpliwości, nie tylko na strzelnicy. Czasami nie wszystko uda się w pierwszym starcie i do końca igrzysk olimpijskich trzeba zachować zimną krew.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE PJONGCZANG 2018 W TVP

- 6.55–8.15 narciarstwo alpejskie – kombinacja M, slalom
- 10.15–12.35 short-track – 500K, 1000M, sztafeta M
- 12.45–13.30 łyżwiarstwo szybkie – 1500M
- 13.40–14.10 curling MIX
- 14.20–16.15 short-track – 500K, 1000M, sztafeta M
- 16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
- 16.40–16.50 Skróć wydarzeń
- 19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie
- TVP 2** 1.45–3.35 snowboard – halfpipe K
- 9.15–10.45 biegi narciarskie – sprint K i M eliminacje
- 11–13.50 biegi narciarskie – sprint K i M
- 14–14.50 saneczkarstwo – jedyński K

• 14 lutego (środa)

- TVP 1** 2–3.40 narciarstwo alpejskie – slalom K
- 5.30–6.50 narciarstwo alpejskie – slalom K
- 6–8 narciarstwo alpejskie – slalom K
- 7–7.55 kombinacja norweska – ind. NH skoki
- 9.10–10.10 kombinacja norweska – ind. NH – bieg
- 10.20–12.15 łyżwiarstwo szybkie – 1000K
- 12.25–12.55 saneczkarstwo – dwójki M
- 13–16.15 hokej na lodzie M
- 16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
- 16.40–16.50 Skróć wydarzeń
- 19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie
- TVP 2** 2.15–4.05 snowboard – halfpipe M
- 11.55–14 biathlon – bieg 15 km K
- 14.05–14.50 saneczkarstwo – dwójki M

• 15 lutego (czwartek)

- TVP 1** 1.50–2.35 skeleton M
- 2.45–4.55 narciarstwo alpejskie – supergigant M
- 4.55–5.50 łyżwiarstwo figurowe – pary sportowe, program dowolny
- 6.10–9.10 biegi narciarskie – 10 km K tech. dow.
- 11.35–13.55 łyżwiarstwo szybkie – 10 000 M
- 14–16.15 saneczkarstwo – sztafeta
- 16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
- 16.40–16.50 Skróć wydarzeń
- 19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie
- TVP 2** 1.50–3.30 snowboard – snowboard cross M
- 3.35–4.10 łyżwiarstwo figurowe – pary sportowe, program dowolny
- 4.15–5.45 snowboard – cross M
- 11.45–14.35 biathlon – bieg 20 km M
- 14.45–15.40 hokej na lodzie M

• 16 lutego (piątek)

- TVP 1** 1.15–5.05 skeleton M, snowboard – cross K
- 6.05–9 biegi narciarskie – 15 km M tech. dow.
- 11.50–12.55 skoki narciarskie – trening
- 13–15.05 skoki narciarskie – kwalifikacje LH
- 15.10–16.15 narciarstwo dowolne – skoki K
- 16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”
- 16.40–16.50 Skróć wydarzeń
- 18.35–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie
- TVP 2** 11.50–13.40 łyżwiarstwo szybkie – 5000 K, hokej na lodzie M
- 13.45–15.40 hokej na lodzie M

• 17 lutego (sobota)

- TVP 1** 2.45–4.50 narciarstwo alpejskie – supergigant K

ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE PJONGCZANG 2018 W TVP

5-6.35 narciarstwo dowolne – slopestyle K
10.30-12.05 short-track 1500K, 1000M, 500K
i sztafeta M

12.15-12.50 skoki narciarskie M – trening
13-15.40 skoki narciarskie M – konkurs LH
15.50-16.15 short-track – 1500K, 1000M
16.25-16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40-16.50 Skróty wydarzeń
18-19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 1.55-6.30 łyżwiarstwo figurowe – soliści,
program dowolny
10.10-11.25 biegi narciarskie
– sztafeta 4 x 5 km K
11.30-12.55 biathlon – bieg masowy K
13-14.30 skeleton K
14.35-15.40 hokej na lodzie M

• 18 lutego (niedziela)

TYTUŁ 1 2-4.10 narciarstwo alpejskie – gigant M
5.25-6.55 narciarstwo alpejskie – gigant M
11.45-13.35 łyżwiarstwo szybkie – bieg druż.
M, 500 K
13.45-14.35 bobsleje M
14.50-15.30 hokej na lodzie M
15.40-16.20 narciarstwo dowolne – skoki M
16.25-16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40-16.50 Skróty wydarzeń
17.20-19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 5.05-6.30 narciarstwo dowolne – slopestyle M
6.45-9.05 biegi narciarskie
– sztafeta 4 x 10 km M
12-12.55 biathlon – bieg masowy 15 km M
13-13.55 hokej na lodzie M

• 19 lutego (poniedziałek)

TYTUŁ 1 1.55-3.10 łyżwiarstwo figurowe – tańce, short
3.20-3.30 narciarstwo dowolne – halfpipe K
3.35-5.55 łyżwiarstwo figurowe – tańce, short
6-7.55 hokej na lodzie K – ½ finału
12-12.55 skoki narciarskie – konkurs
druż. M, trening
13-16.15 skoki narciarskie – konkurs druż. M
16.20-16.30 „Halo, tu Pjongczang”
16.40-16.50 Skróty wydarzeń
19.05-19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 11.45-13.55 łyżwiarstwo szybkie – bieg
druż. K, 500M
14-14.55 bobsleje M

• 20 lutego (wtorek)

TYTUŁ 1 1.55-5.45 łyżwiarstwo figurowe – tańce,
program dowolny
5.40-7.45 narciarstwo dowolne – halfpipe M
10.45-11.55 kombinacja norweska – ind. LH
12-12.45 short-track – 1000K, 500M,
sztafeta K
12.50-16.20 kombinacja norweska – bieg
10 km, hokej na lodzie M play-off
16.25-16.35 „Halo, tu Pjongczang”
16.40-16.50 Skróty wydarzeń
19.05-19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 2.20-3.50 narciarstwo dowolne – halfpipe K
10.50-13.55 short-track – 1000K, 500M
i sztafeta, biathlon – sztafeta MIX

• 21 lutego (środa)

TYTUŁ 1 2.30-4.50 narciarstwo alpejskie – zjazd K
5-7.40 narciarstwo dowolne – skicross M
8.30-12.10 biegi narciarskie – sprint druż.
13.05-16.10 hokej na lodzie M – ¼ finału
16.25-16.35 „Halo, tu Pjongczang”

Piękno na tafli

Polskie łyżwiarstwo figurowe po ośmiu latach wraca na igrzyska olimpijskie. W Pjongczangu wystąpi para taneczna Natalia Kaliszek – Maksym Spodyriew

Starsi kibice z pewnością pamiętają Grzegorza Filipowskiego, który w 1988 r. w Calgary zajął piąte miejsce. Później również Polacy mogli być dumni z występów solistek Zuzanny Szwed i Anny Rechnio oraz par sportowych i tanecznych. Jeszcze do Vancouver pojechała czwórka naszych reprezentantów (solistka, solista oraz para sportowa) i chociaż zajęli odległe pozycje, to można powiedzieć, że polskie łyżwiarstwo figurowe zaznaczyło swój udział. W Soczi naszych reprezentantów zabrakło, ale do Korei jedzie para taneczna Kaliszek – Spodyriew.

Trenują ze sobą od czterech lat i – jak to często w sporcie bywa – o wielu rzeczach zdecydował przypadek. Maksym urodził się w Charkowie i tam zaczął trenować łyżwiarstwo figurowe, najpierw w kategorii solistów, a potem par tanecznych. Kiedy jego ówczesna partnerka zdecydowała się zakończyć karierę, Spodyriew zaczął szukać kolejnej. Za namową trenerki Sylwii Nowak-Trębackiej przyjechał na tydzień do Torunia, żeby potrenować z Natalią Kaliszek, i na Ukrainę wrócił już tylko po to, żeby spakować rzeczy. Od razu zaczęli się doskonale porozumiewać na lodzie. W Toruniu czuje się już jak u siebie, przyjął też polskie obywatelstwo.

Polski duet ma coraz mocniejszą pozycję w świecie łyżwiarstwa

figurowego, czego potwierdzeniem są ostatnie występy w mistrzostwach Europy. W 2017 r. wytańczyli ósmą lokatę na zawodach w Ostrawie, a w tym roku, na ostatniej prostej przed igrzyskami, zajęli 10. miejsce w Moskwie. W mistrzostwach świata, gdzie trzeba rywalizować dodatkowo z Amerykanami, Kanadyjczykami czy parami z Azji, Polacy również radzą sobie dobrze – ostatnio w Helsinkach zajęli 14. pozycję.

Potwierdzeniem coraz mocniejszej pozycji polskiej pary są również zaproszenia na zawody z cyklu Grand Prix. Przed rokiem w Chinach Kaliszek i Spodyriew wywalczyli piąte miejsce. Jeszcze ważniejsze od samych lokat jest to, że układy przygotowywane przez Sylwzię Nowak-Trębacką są doskonale przyjmowane przez sędziów i publiczność. Jak podkreśla ich trenerka, zawsze starają się iść w poprzek dominującym trendom i przygotować coś, co ich wyróżni. Do tańców dodają elementy hip-hopu i bluesa, a choreografia do muzyki z filmu „Dirty Dancing” rozgrzewała widzów.

Jeszcze większe wyróżnienie spotkało ich pod koniec sezonu 2015/2016. Komisja techniczna Międzynarodowej Unii Łyżwiarstwa uznała, że część kroków polskiej pary, zatańczonych do fokstrota, spełnia warunki, żeby stać się tańcem obowiązkowym. Dzięki temu pary na całym świecie wykonują teraz choreografię przygotowaną przez polską parę. Takie decyzje podejmowane są niezwykle rzadko. Poprzednio nowe elementy były dodawane w latach 1995 i 2001, a polskie łyżwiarstwo figurowe po raz pierwszy dostąpiło takiego wyróżnienia. Polacy na igrzyska jadą po raz pierwszy, dlatego nie obiecują, że zdobędą medal. Mogą obiecać, że na pewno pięknie zatańczą.



FOT. GREGG DEGEN/ARTISTBY NEWS



Kamil Stoch

SKOKI NARCIARSKIE



PKN ORLEN
wspiera Polską
Reprezentację
Olimpijską

eprasa.pl d6745449d2

PKN ORLEN Sponsorem Strategicznym PKOl i Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

W kwietniu 2017 r. prezes zarządu PKN ORLEN Wojciech Jasiński oraz prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Andrzej Kraśnicki podpisali list intencyjny inaugurujący strategiczne partnerstwo obydwu organizacji. Na mocy porozumienia spółka przez kolejne cztery lata będzie kluczowym sponsorem PKOl, a także wesprze start polskich sportowców w XXIII Zimowych Igrzyskach Olimpijskich Pjongczang 2018 oraz w Igrzyskach XXXII Olimpiady Tokio 2020

Wprzeszłości PKN ORLEN z powodzeniem wspierał Polską Reprezentację Olimpijską w walce o najwyższe trofea podczas igrzysk Olimpijskich w Turynie (2006), Vancouver (2010), Londynie (2012) oraz Rio de Janeiro (2016). Nowa umowa przewiduje rozszerzenie dotychczasowej współpracy. Najważniejszym jej elementem jest nadanie PKN ORLEN tytułu Sponsora Strategicznego Polskiego Komitetu Olimpijskiego oraz Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej. Tym samym spółka pozyskała prawa do Polskiego Symbolu Olimpijskiego oraz wizerunków Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej, natomiast PKOl otrzyma stabilne, długofalowe wsparcie finansowe.

Sport już od lat stanowi integralny element długofalowej strategii sponsoringowej PKN ORLEN. Konsekwentnie i z sukcesami wspieramy przygotowania polskich sportowców w walce o trofea podczas igrzysk olimpijskich. Rozszerzenie współpracy z PKOl jest zatem naturalnym kierunkiem rozwoju naszego zaangażowania. Tytuł sponsora strategicznego to



Prezes PKN ORLEN Wojciech Jasiński i prezes PKOl Andrzej Kraśnicki FOT. PKOl

dla nas duża nobilitacja, ale i odpowiedzialność wobec milionów Polaków, w których życiu sport odgrywa ważną rolę. Jesteśmy przekonani, że wspierając polskich olimpijczyków, budujemy narodową dumę oraz motywujemy Polaków do czynnego uprawiania sportu – powiedział Wojciech Jasiński, prezes zarządu PKN ORLEN.

Współpraca w latach 2017–2020 z największą polską firmą pozwoli Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu na stworzenie najlepszych warunków przygotowań polskich sportowców do startów w XXIII Zimowych Igrzyskach Olimpijskich Pjongczang 2018

oraz w Igrzyskach XXXII Olimpiady Tokio 2020.

Jest nam niezmiernie miło ponownie powitać, tym razem na czele firm wspierających Polski Ruch Olimpijski, tak znakomitą i uznaną firmę jak PKN ORLEN. Biorąc pod uwagę specyfikę działalności naszego stowarzyszenia – organizacji o blisko 100-letniej tradycji i dorobku – to przede wszystkim właśnie zaangażowanie sponsorów daje nam możliwość stabilnego działania i ciągłego rozwoju organizacyjnego. Jestem przekonany, że współpraca z tak doświadczonym w sponsorowaniu sportu partnerem

jak PKN ORLEN przyniesie wymierne korzyści każdej ze stron – powiedział Andrzej Kraśnicki, prezes PKOl.

Polski Komitet Olimpijski jest organizacją pozarządową niefinansowaną ze źródeł publicznych. Środki na działalność czerpie głównie z zawieranych umów sponsorskich. W ramach współpracy pomiędzy sponsorem strategicznym a komitetem realizowane będą również pozostałe działania statutowe PKOl, do których należą m.in.: edukacja olimpijska, opieka nad olimpijczykami, promocja fair play i propagowanie zdrowego, sportowego stylu życia.

#KIBICUJ NASZYM



Oglądaj najlepszych sportowców świata w olimpijskiej rywalizacji. Zobacz jak Zbigniew Bródka, Justyna Kowalczyk, Kamil Stoch, Artur Waś i Weronika Nowakowska walczą o najważniejsze sportowe trofeum - złoty medal igrzysk olimpijskich.

Oglądaj Zimowe Igrzyska Olimpijskie Pjongczang 2018 i kibicuj naszym tylko w Telewizji Polskiej.



OFICJALNY NADAWCA

ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE
PJONGCZANG 2018 W TVP

16.40–16.50 Skróty wydarzeń

19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 3.55–6.40 hokej na lodzie M – ¼ finału
11.45–14.40 łyżwiarstwo szybkie – bieg druż. M

● 22 lutego (czwartek)

TYTUŁ 1 2.10–3.40 narciarstwo alpejskie – slalom M
5.30–7.45 narciarstwo alpejskie – slalom M
8.15–9.25 kombinacja norweska – druż., skoki
11.05–12.30 kombinacja norweska – druż.,

bieg 4 x 5 km
12.40–13.25 short-track – 1000K, 500M i sztafeta M

16.15–16.25 „Halo, tu Pjongczang”

16.30–16.50 Skróty wydarzeń

19.05–19.15 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 3.15–4.40 narciarstwo dowolne – half pipe M
4.45–5.55 snowboard – gigant równoległy,

hokej na lodzie K – finał

6–7.55 hokej na lodzie K – finał

10.50–12.10 short-track 1000K, 500M, sztafeta M

12.15–13.55 biathlon – sztafeta 4 x 6 km K

● 23 lutego (piątek)

TYTUŁ 1 2.45–4.25 narciarstwo alpejskie – kombinacja K (zjazd)

4.35–6.05 łyżwiarstwo figurowe – solistki,

program dowolny
6.15–7.50 narciarstwo alpejskie – kombinacja K (slalom)

8.20–10.55 hokej na lodzie M – ½ finału

11–12.35 łyżwiarstwo szybkie – 1000M

12.55–15.40 hokej na lodzie M – ½ finału

16.10–16.20 „Halo, tu Pjongczang”

16.25–16.55 Skróty wydarzeń

18.35–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 1.45–3.25 snowboard – big air K

3.30–6.40 narciarstwo dowolne – skicross K

11.55–13.55 biathlon – sztafeta M 4 x 7,5 km

● 24 lutego (sobota)

TYTUŁ 1 0.45–2.55 curling M – finał
3–4.50 narciarstwo alpejskie – zawody druż.

5–5.45 curling M – finał

5.55–8.55 biegi narciarskie – 50 km M

11.45–15.20 łyżwiarstwo szybkie – bieg masowy K i M

16.25–16.35 „Halo, tu Pjongczang”

16.40–16.50 Skróty wydarzeń

18–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 1.15–2 bobsleje – czwórki M

2–3.30 snowboard – big air M

3.35–3.55 bobsleje – czwórki M

4–6.25 snowboard – gigant równoległy

12.55–15.40 hokej na lodzie M – o 3. miejsce

● 25 lutego (niedziela)

TYTUŁ 1 0.55–4.50 curling K – finał

5.05–7.50 hokej na lodzie M – finał

11.30–14.45 ceremonia zamknięcia

16.20–16.30 „Halo, tu Pjongczang”

16.35–16.50 Skróty wydarzeń

18.20–19.20 „Dzień na igrzyskach” – podsumowanie

TYTUŁ 2 1.20–4.15 bobsleje – czwórki M

4.20–6.05 „Niezapomniane chwile w Pjongczang”

6.10–9.30 biegi narciarskie – 30 km K

9.35–11.25 łyżwiarstwo figurowe – gala

Warto być cierpliwym

Pjongczang walczył o prawo organizacji zimowych igrzysk olimpijskich przez wiele lat. Udało się za trzecim razem. Ten sukces pomoże na chwilę zbliżyć do siebie sąsiadów z Północy i Południa

Koreańczycy wymarzyli sobie zimowe igrzyska już wiele lat temu, tylko długo nie potrafili przekonać świata, że warto właśnie im powierzyć organizację jednej z największych imprez sportowych. To dziwne, bo wydawali się stworzeni do takich zadań, zwłaszcza po tym, jak z sukcesem zorganizowali w Seulu igrzyska letnie. Potem, wspólnie z Japończykami, przeprowadzili piłkarski mundial (pierwszy na kontynencie azjatyckim), a w 2011 r. gościli lekkoatletyczne mistrzostwa świata.

W 2003 r. lepsze okazało się Vancouver, które wygrało kilkoma głosami. Ten wynik dał nadzieję i zachęcił do ponownego zgłoszenia kandydatury koreańskiego miasta, które niektórzy mylili powszechnie ze stolicą Korei Północnej ze względu na łudząco podobną nazwę. Kiedy okazało się, że w 2014 r. zimowe igrzyska olimpijskie zorganizują Rosjanie, komitet organizacyjny w Pjongczangu nie złożył bronii. Zamiast tego dokonał przeglądu zasobów i spróbował raz jeszcze, tylko że wybrał lepszy przekaz. To było kluczowe.

TRZECIE PRZESŁANIE

Nieudane kampanie promocyjne były prowadzone pod hasłem „zbliżenia dwóch Korei” i zabliznienia ran podziału półwyspu. Wydawało się, że idealnie współgra to z pokojowym przesłaniem ruchu olimpijskiego. Okazało się, że jednak nie do końca. Trzeba było iść z duchem czasu i zaproponować motto bardziej merkantylne. W końcu przyznać prawa organizacji zimowych igrzysk Rosjanom (Soczi) i letnich Brazylijczykom (Rio de Janeiro) miało otworzyć ruch olimpijski na nowe terytoria, a zarazem rynki zbytu. I właśnie w tę nutę uderzyli Koreańczycy za trzecim razem.

Przekonywali, że warto dać im szansę, a skorzystają na tym wszyscy – choćby firmy produkujące sprzęt sportowy. Z tym przesłaniem idealnie zgrało się odświeżone hasło koreańskiej kandydatury, które teraz brzmiało: „Nowe horyzonty” oraz projekt „Program Marzenie”. W ramach tego działania Koreańczycy zapraszali do siebie młodzież z cieplejszych krajów i dawali jej szansę spróbowania swoich sił na śniegu.

CEL UŚWIECIŁ ŚRODKI

Koreańczycy wiedzieli, że nawet najlepsze hasła mogą przegrać z cichą dyplomacją. Potrzebowali kogoś, kto w kuluarach będzie lobbował za ich kandydaturą. I tutaj na scenę wkroczył wieloletni szef Samsunga Lee Kun-hee, po raz kolejny dzieląc opinię publiczną w Korei. Na potentacie finansowym ciążył sądowy wyrok więzienia za przestępstwa podatkowe, nielegalne operacje finansowe i wręczanie łapówek, a mimo to ówczesny prezydent Lee Myung-bak zdecydował się go ułaskawić. Po ułaskawieniu Lee Kun-hee mógł zostać z powrotem przyjęty w poczet członków MKOl i wykorzystać swoje znajomości.

Biznesmen jeździł po całym świecie, przekonując, że warto przyznać igrzyska Korei Południowej.

Pjongczang wygrał głosowanie, uzyskawszy aż 63 głosy i zostawiwszy w tyle Monachium (25) oraz francuskie Annecy (7). Chociaż dla osiągnięcia sukcesu porzucono hasła pojednania Północy z Południem, to na pewno wszyscy zaangażowani w promowanie kandydatury mieli świadomość, że ten temat wcześniej czy później wypłynie.

Ostatecznie po negocjacjach Korea Północna wysłała do Pjongczangu 22 sportowców, m.in. łyżwiarzy figurowych, biegaczy narciarskich i hokeistki. Po raz pierwszy od wielu lat obie reprezentacje podczas ceremonii otwarcia pójdą pod wspólną flagą (namalowany błękitnym kolorem Półwysp Koreański na białym tle). Ostatni raz taki przemarsz miał miejsce w Turynie w 2006 r. Później pojednawcze gesty uniemożliwiła polityka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NASZ TEST: MITSUBISHI ECLIPSE CROSS

Japoński koncern, który lubi się chwalić, że pierwszy pojazd 4 x 4 wymyślił już w 1936 r., wreszcie stworzył fajnego SUV-a na miarę XXI w. Z oryginalną sylwetką, dynamicznym silnikiem i nowoczesnym wnętrzem. Eclipse Cross to najprzyjemniejszy model tej marki – jest bardziej przestronny niż ASX i jeździ lepiej niż Outlander.

W KABINIE

Wnętrze Eclipse Cross wreszcie wygląda nowocześnie. Mitsubishi zdecydowało się zastąpić stary system multimedialny – którego lichy ekranik przypominał smartfona emeryta z Ciechocinka – siedmiocalowym, kolorowym ekranem dotykowym. Japońscy inżynierowie wreszcie osadzili nowy ekran na desce w sposób



znany choćby z wnętrz samochodów premium. Zadziwia jednak fakt, że w Eclipse Cross – nawet w najlepiej wyposażonej wersji – nie ma fabrycznie wbudowanej nawigacji. Trzeba więc korzystać ze wskazań smartfona.

Sama kabina jest przestronna. Sporo miejsca mają zarówno kierowca oraz pasażer z przodu, jak i podróżujący na wygodnej tylnej kanapie

o regulowanym kącie pochylenia oparcia. Na pochwałę zasługuje również ilość miejsca na nogi dla pasażerów jadących z tyłu.

Pojemne są również liczne schowki. Niestety, linia stylizowana na coupé odbiła się na bagażniku – 341 l pojemności to kiepski wynik.

JAZDA

Turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 1,5 l i mocy 163 KM sprawia, że Eclipse Cross przyspiesza dynamiczniej niż Outlander z silnikiem o pojemności 2 l. Od 0 do 100 km/godz. najnowszy model Mitsubishi rozpędza się w 9,8 s.

Ulepszony system kierowniczy sprawia, że nowy SUV Mitsubishi prowadzi się pewnie i nieźle radzi sobie z pokonywaniem zakrętów. Inżynierom japońskiego koncernu udało się też lepiej wyciszyć kabinę – wprowadzie automatyczna skrzynia CVT po wciśnięciu do dechy pedału gazu nadal wywołuje delikatne wycie, ale na pewno nie brzmi to już jak jęk zarzynanej krowy.

Za pomocą przycisku S-AWC można dostosować charakterystykę napędu do warunków zewnętrznych (do wyboru jest moduł automatyczny lub ustawienie na śnieg i na szuter).

Podczas testu średnie spalanie na trasie wyniosło 7,3 l/100 km, po mieście – 9,5 l/100 km, a na autostradzie – 12,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mitsubishi Eclipse Cross zdobył komplet pięciu gwiazdek.

Model ten jest również wyposażony w system, który wykrywa pojazdy i pieszych przed samochodem i w razie potrzeby alarmuje



kierowcę albo – żeby uniknąć ryzyka kolizji – samodzielnie rozpoczyna hamowanie.

W lepszych wersjach auto wyposażone jest m.in. w system monitorowania martwego pola, asystenta pasa ruchu oraz system alarmujący w razie wykrycia ruchu poprzecznego z tyłu pojazdu.

Bardzo pomocny jest wówczas system kamer 360 stopni, który pozwala spojrzeć na auto z lotu ptaka.

CENA

Najtańszy Eclipse Cross z 1,5-litrowym silnikiem, manualną skrzynią biegów i napędem na jedną oś kosztuje 94 tys. zł. Za wersję z automatyczną skrzynią, napędem na wszystkie łapy, tempomatem adaptacyjnym i świetnym dachem panoramicznym trzeba zapłacić 148 tys. zł.

KONKURENCI

Nissan Qashqai, Peugeot 3008, Renault Kadjar, Seat Ateca, Toyota CH-R ☺☺

Jacek Przybylski



ŁUKASZ MAJCHRYK: W marcu uległa pani niezwykle groźnemu wypadkowi, po którym rodzina i kibice drżeli o pani życie, a już wraca pani do startów w Pucharze Świata. Tak szybki powrót do uprawiania sportu jest niesamowity. Lekarze pamiętali podobne przypadki?

KAROLINA RIEMEN-ZEREBECKA: Na pewno podobne przypadki w sporcie wyczynowym się zdarzały, ale sama takich historii nie słyszałam, a już na pewno nie wśród osób uprawiających skicross. Rehabilitacja i treningi po kontuzji wymagały ode mnie niezwyklego poświęcenia, odporności na ból, samozaparcia. Wydawało się to niemożliwe, ale pokazałam, że taki powrót jest wykonalny. Lekarze powiedzieli, że rehabilitacja przebiegła bardzo szybko. Mój organizm jest pod tym względem niezwykle mocny. Lekarz porównał mnie nawet żartobliwie do dżdżownicy, która, pocięta na kawałki, może odtworzyć nawet połowę ciała.

Za panią trudny okres. Chciałaby pani o tym wszystkim zapomnieć?

Szczerze mówiąc, wcale nie przeszkadza mi rozmawianie o tym, przez co przeszłam w ostatnich miesiącach. Szczęście w nieszczęściu jest takie, że samego wypadku nie pamiętam, dlatego nie mam urazu psychicznego. Chyba dobrze, że człowiek jest w ten sposób skonstruowany, że takie przeżycia są kasowane w świadomości.

Przy tego typu historiach pojawia się pytanie: Po co pani wraca do uprawiania sportu, i to ekstremalnego?

Ludzie często zadają sobie pytanie, czemu wracam do uprawiania skicrossu? Moja kondycja psychiczna na samym początku, kiedy tylko odzyskałam przytomność i zaczęło do mnie docierać, co się stało, była tak słaba, że nie chciało mi się nawet żyć. Wola i nadzieja na powrót do sportu trzymały mnie w ryzach. Kiedy widziałam, że kolejne rzeczy mi wychodzą, jestem coraz sprawniejsza i powrót na narty jest coraz bardziej realny, odzyskiwałam nadzieję. Na początku rehabilitacji ani mój mąż, ani reszta rodziny nie zadawali mi w ogóle pytania o sport. Chodziło o to, żebym znowu była samodzielną życiowo. To był priorytet. Razem z postętami rehabilitacji zmieniały się też cele. Najpierw próbowałam postawić pierwsze kroki. Potem chciałam, żeby ręka, która była sparaliżowana od ok. miesiąca, wreszcie zaczęła się ruszać. Potem zaczęłam



Z Karoliną Riemen-Zerebecką, narciarką specjalizującą się w skicrossie rozmawia Łukasz Majchryk

Nie wstawałam nawet z łóżka

myśleć o tym, żeby ponownie stanąć na nartach, poczuć to, co kocham, ponownie. Dzisiaj mówię o występie na igrzyskach olimpijskich w Pjongczangu, ale nie mogłam sobie postawić takiego celu, kiedy nie wstawałam nawet z łóżka. Nikt nie wierzył, że dam radę, a dzisiaj jestem bardzo blisko startu w Korei.

Czytałam, że lekarze obawiali się o to, że bez respiratora nie będzie w stanie pani oddychać.

Mąż opowiadał, że rzeczywiście tak było. Miałam uraz pnia mózgu, obok ośrodków odpowiedzialnych za oddychanie i krążenie. Lekarze bali się mnie odłączyć od aparatury podtrzymującej życie, bo nie wiedzieli, jak zareaguje mój organizm, czy podejmie samodzielną pracę. Byli gotowi podłączyć mnie natychmiast z powrotem.

Z którą dolegliwością musiała pani najmocniej walczyć podczas rehabilitacji?

Najwięcej kłopotów miałam z okiem. Widziałam podwójnie, bo uraz spowodował uciśnięcie nerwu, a to z kolei wywołało zezą rozbieżnego. Poradzenie sobie z tą dolegliwością było bardzo trudne. Można powiedzieć, że przez oko miałam największe wątpliwości, czy uda się wrócić do sportu. Momentami wątpiłam, czy będę kiedykolwiek jeszcze widziała normalnie. Momentem przełomowym było pierwsze poruszenie kciukiem w sparaliżowanej ręce. To był przełom i w tamtej chwili zaczęłam wierzyć, że wszystko wróci. Nawet nie wiem, jak opisać uczucie, które mi towarzyszyło po odzyskaniu przytomności. Miałam wrażenie, jakbym się znajdowała głęboko pod wodą. Wszystko działało się powoli. Próbowałam to opisać

i mężowi, i trenerowi, ale nie wiem, czy byli w stanie mnie zrozumieć, mimo najlepszych chęci. To po prostu trzeba przeżyć samemu.

Skicross, który pani uprawia, jest bardzo niebezpieczny? Niemal równo z panią bardzo poważnemu wypadkowi uległa Szwedka Anna Holmlund.

Rzeczywiście, nasze wypadki zdarzyły się w krótkim odstępie czasu, ale to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. To są pierwsze takie urazy w skicrossie. Na ogół w naszej dyscyplinie przytrafiają się zerwania więzadeł krzyżowych – w narciarstwie alpejskim również dochodzi do takich kontuzji. Wszędzie w sporcie zdarzają się urazy. Chciałabym podkreślić, że nie jeździmy bardzo niebezpiecznie. Nasze wypadki zdarzyły się w teoretycznie łatwych miejscach, na bardzo prostych fragmentach trasy. Miałam bardzo dużą prędkość, kiedy doznałam kontuzji. Anna miała jeszcze większego pecha, bo jechała ze stosunkowo niedużą prędkością. To był nieszczęśliwy splot okoliczności.

Pędzicie z prędkością nawet 100 km/godz., skaciecie przez przeszkody. Kontuzje czają się w powietrzu?

Nasza dyscyplina jest bardzo wymagająca, jednak my, skicrossowcy, staramy się jeździć możliwie bezpiecznie. Nie można się przepychać, bo zabraniają tego przepisy. Co można by poprawić w kwestii bezpieczeństwa? Największe znaczenie ma odpowiednie przygotowanie torów, ale nie wyeliminujemy całkowicie zagrożenia. W moim wypadku nawet kamizelka ze specjalnymi poduszkami powietrznymi do amorty-



zowania, która się napompowuje wokół ciała w momencie wypadku, pewnie by nie zapobiegła urazowi.

Uprawiała pani narciarstwo alpejskie, ale podobno panią nudziło. Przepraszam, ale co jest nudnego, gdy pędzi się trasą biegu zjazdowego z prędkością 130 km/godz.?

Nie jeździłam zjazdu, więc mnie takie atrakcje ominęły (śmiej). Trenowałam slalom, slalom gigant, a tam tylko skręt w lewo, skręt w prawo. W skicrossie mamy nieustanne urozmaicenia. Pojawiają się nowe tory, nowe przeszkody. Ciągłe czekają nowe wyzwania, nigdy nie jest nudno. Od małego szukałam wrażeń, skakałam na nartach freestyle'owych. Lubię, kiedy coś się dzieje. Lubię podnosić sobie poprzeczkę, robić ciągle coś innego, choćby nawet niebezpiecznego.

Dobrze dobraliście się z mężem, który jest kierowcą rajdowym.

Myślę, że odpuszczanie, chodzenie utartymi szlakami jest totalnie nie w naszym stylu. I Tomek, i ja, i mój tata szukaliśmy ekstremalnych wrażeń.

Lekarze bali się mnie odłączyć od aparatury podtrzymującej życie, bo nie wiedzieli, jak zareaguje mój organizm

Jak przyjęli panią ludzie ze środowiska?

Wszyscy zawodnicy, wszyscy trenerzy i fizjoterapeuci wręcz ze łzami w oczach podchodzili i mnie przytulali. Cieszyli się, że wróciłam. Mówili, żebym zaczęła spokojnie, wracała ostrożnie do sportu. Szczerze mówiąc, to nie spodziewali się, że wrócę kiedykolwiek.

Jak ocenia pani swoje szanse na to, by pojechać do Korei?

Robię wszystko, żeby tam pojechać i walczyć o medal. Z każdym tygodniem czuję dużą poprawę, trenuję ostro, żeby tam pojechać i nie być tylko statystką, bo nie o to chodzi. Nie chcę tylko być na igrzyskach, marzę, by powalczyć o coś większego. Zbliżam się do dobrej formy, ale podczas zawodów trzeba mieć jeszcze trochę szczęścia.

FOT. MALCZAK/FOTOLIA



Złoty Orzeł z Zębu

Kamil Stoch. Najwybitniejszy obok Adama Małysz polski skoczek narciarski jest najpoważniejszym polskim kandydatem do medalu na zimowych igrzyskach w Pjongczangu

251,5 m

REKORD ŻYCIOWY I JEDNOCZEŚNIE
REKORD POLSKI USTANOWIONY
W MARCU 2017 R.

Pierwszy raz zacząłem skakać na nartach cztery lata temu. Do treningów namówiła mnie pani Jadzia z Zębu, która założyła nasz klub – LKS Ząb. Bardzo się cieszę, że skoczyłem tutaj na tej skoczni 128 m, no i z mistrzostwa Polski młodzików w Szczyrku – mówił w 1999 r. 12-letni

wówczas Kamil Stoch. Krótkie nagranie, na którym młody skoczek o puciołowej buzi z iskrami w oczach opowiada o swych marzeniach o zdobyciu złotego medalu olimpijskiego, obejrzało do dziś na YouTube ponad 2,3 mln osób.

Wówczas Kamil Stoch mierzył 138 cm i ważył 28 kg. Obecnie 30-letni skoczek

mierzy 173 cm, waży 55 kg i już zdążył wielkimi literami zapisać się w historii skoków narciarskich.

Pierwsza istotna wygrana przyszła już w 1999 r. – młody Stoch został wówczas mistrzem świata młodzików w Garmisch-Partenkirchen. Droga do sukcesu była długa. Dzisiaj lista trofeów imponuje.

Kamil Stoch ma w kolekcji dwa złote medale mistrzostw świata (z Val di Fiemme w 2013 r. i drużynowo z Lahti w 2017 r.) oraz dwa brązowe krążki (z Val di Fiemme oraz z Falun w 2015 r.).

Dwukrotnie wygrał Turniej Czterech Skoczni (w 66. edycji tego konkursu nie tylko obronił tytuł, lecz także wygrał we wszystkich czterech konkursach jednej edycji, nie udało się to nikomu od czasu, gdy 16 lat wcześniej sukces ten osiągnął niemiecki skoczek Sven Hannawald). Na początku 2018 r. w niemieckim Oberstdorfie zdobył też indywidualnie srebrny medal w mistrzostwach świata w lotach narciarskich oraz brązowy krążek w rywalizacji drużynowej. 27 stycznia 2018 r. podczas konkursu drużynowego w Zakopanem poszybował na 141,5 m i ustanowił nowy rekord na Wielkiej Krokwi (wcześniejszy – 140,5 m – od 2010 r. należał do Simona Ammanna). Jego skok przyczynił się do pierwszego w historii zwycięstwa naszej reprezentacji w drużynowym konkursie na polskiej ziemi.

I chociaż dzień później zaliczył wpadkę w konkursie indywidualnym, to i tak 30-letni skoczek może zapisać się w historii i wykorzystać start na igrzyskach w Korei Południowej do pobicia wyczynu Szwajcara Simona Ammanna, który indywidualnie zdobył w sumie aż cztery złote olimpijskie krążki.

Kamil Stoch na razie dwa najcenniejsze medale zdobył na igrzyskach w Soczi w 2014 r. Według ekspertów nasz najlepszy skoczek ma jednak ogromne szanse na obronę tytułu mistrza olimpijskiego zarówno na normalnej, jak i na dużej skoczni, a także na zdobycie kolejnego medalu w konkursie drużynowym.

Jego rekord życiowy to aż 251,5 m. Tak daleko skoczył w słoweńskiej Planicy 25 marca 2017 r., ustanawiając jednocześnie nowy rekord Polski.

W drodze na szczyt pomaga mu żona Ewa Bilan-Stoch. Para poznała się w marcu 2006 r. – absolwentka Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem jako fotograf robiła wówczas zdjęcia naszym skoczkom podczas finału sezonu w Planicy. Trzy lata później Kamil Stoch się oświadczył, a w 2010 r. para stanęła na ślubnym kobiercu.

Podobnie jak inni polscy skoczkowie Kamil Stoch występuje z logo LOTOSU na koszulce. Grupa LOTOS od 15 lat jest bowiem generalnym sponsorem polskiego narciarstwa i przyczyniła się do rozwoju kariery wielu z naszych Orłów. ©©



Stefan Hula

31-letni zawodnik długo czekał na swoje pięć minut. Syn Stefana Mariana Huli, który w 1974 r. zdobył brązowy medal w kombinacji norweskiej na mistrzostwach świata w Falun, w polskiej kadrze jest od 2005 r. „Stefanek” długo nie mógł znieść presji i zawodził w najważniejszych momentach, przez co stał się obiektem drwin wielu fanów tego sportu.

26 grudnia zeszłego roku zawodnik klubu KS Eve-nement Zakopane pierwszy raz w karierze wywalczył jednak mistrzostwo Polski na Skoczni im. Adama Małyszka w Wiśle. W styczniu 2018 r. skoczek ze Szczyrku osiągnął największy sukces w karierze, gdy razem z Kamilem Stochem, Piotrem Żyłą i Dawidem Kubackim zdobył brązowy medal mistrzostw świata w lotach narciarskich w niemieckim Oberstdorfie, dwukrotnie skacząc ponad 200 m.

Rekord życiowy ustanowił 13 stycznia 2018 r., osiągając odległość 218 m na mamuciej skoczni narciarskiej Kulm w austriackim Tauplitz.

Ma dwoje dzieci. Jego żona – Marcelina – to bizneswoman, która zajmuje się m.in. produkcją kombinezonów do skoków narciarskich. Jej pierwszym klientem był oczywiście Stefan Hula.



244,5 m

REKORD ŻYCIOWY Z MARCA 2017 R.

FOT. ALEXIS BOICHARD/AGENCE ZOOM/KETTY IMAGES



232 m

REKORD ŻYCIOWY Z MARCA 2017 R.

FOT. EBNER-PRESSEFOTO / EPA / ANGERER / FORUM



245,5 m

REKORD ŻYCIOWY Z MARCA 2017 R.

FOT. PAWEŁ RELKOWSKI (POLSKA PRESS) / EAST NEWS

Maciej Kot

26-letni zawodnik klubu AZS Zakopane, który w ostatnich miesiącach zaliczył mocny powrót do drużyny, wśród kibiców znany jest m.in. z efektownych kasków. Na mistrzostwach świata w fińskim Lahti straszył rywali groźnym kotem bengalskim. Autor obrazka – Szymon Chwalisz – przygotował również projekt na kasku, w którym nasz skoczek zaprezentuje się w Pjongczangu. Na godnym olimpijskiego mistrza kasku znalazło się miejsce na polskie barwy narodowe, dzikiego kota i symboliczne odniesienie do husarii.

Ambitny skoczek o pseudonimach Maniek i Kocur w 2009 r. wyskakał tytuł wicemistrza świata juniorów. Trzykrotnie stawał też na podium podczas Zimowej Uniwersjady 2011 w tureckim Erzurum (indywidualnie zdobył dwa srebrne krążki, a drużynowo – jeden brązowy).

W 2013 r. zdobył wraz z drużyną brązowy medal na mistrzostwach świata we włoskim Val di Fiemme. W roku 2017 został zaś złotym medalistą mistrzostw świata w konkursie drużynowym na dużej skoczni w fińskim Lahti. Maciej Kot to również wielokrotny medalista mistrzostw Polski i zdobywca dwóch złotych medali w indywidualnych konkursach skoków (w latach 2013 i 2016).

Rekord życiowy tego młodego skoczka wynosi aż 244,5 m. Maciej Kot ustanowił go 18 marca 2017 r. na mamuciej skoczni Vikersundbakken w norweskim Vikersund.

Prywatnie interesuje się rajdami samochodowymi. Dziewczyną 26-letniego skoczka jest Agnieszka Lewkowicz, seksowna trenerka personalna i instruktorka fitnessu. ©©



Dawid Kubacki

Jeden z czołowych zawodników polskiej reprezentacji w tym roku skończy 28 lat. Mierzy 180 cm, a waży aż 64 kg.

Sympatyczny skoczek z Nowego Targu – pseudonim Mustaf – skoki trenuje od 20 lat. Ponoć zapalił się do latania, kiedy jako pięciolatek w telewizji zobaczył piękny lot słynnego japońskiego medalisty olimpijskiego Kazuyoshiego Funakiego. Zawodnik Wisły Zakopane długo pozostawał jednak w cieniu innych skoczków. Nie poddał się jednak i w 2013 r. wraz z drużyną został brązowym medalistą mistrzostw świata w Val di Fiemme. Prawdziwe skrzydła urosły mu zaś w 2015 r. Dwukrotnie zdobył wówczas tytuł mistrza Polski. W 2017 r. w fińskim Lahti wraz ze Stochem, z Żyłą i Kotem zdobył złoty medal w konkursie drużynowym mistrzostw świata. W 2018 r. razem z drużyną zdobył zaś brąz w mistrzostwach świata w lotach narciarskich w Oberstdorfie.

Jego rekord życiowy wynosi 232 m – ustanowił go w norweskim Vikersund 19 marca 2017 r.

Dawid Kubacki od kilku lat jest w związku z Martą Majcher. Jego hobby to modelarstwo lotnicze. Pasjonują go też wędkarstwo oraz motocykle. ©



Piotr Żyła

31-letni zawodnik klubu WSS Wisła słynie ze spontaniczności i z niezwyklego poczucia humoru. Słynne: „He, he, he” to stały element większości jego wypowiedzi przed kamerą. Podczas konferencji prasowych „Wiewiór” – jak nazywają go koledzy – wielokrotnie żartował, że jego dobra forma na skoczni zależy od tego, ile papryki zjadł. Gdy zdarzały mu się gorsze starty, narciarski showman dowcipkował zaś, że „jego skoki były dobre, tylko krótkie”.

Do pierwszego medalu mistrzostw świata juniorów w konkursie drużynowym doskoczył w 2005 r. w fińskim Rovaniemi. W 2013 r. razem z drużyną stanął na najniższym stopniu podium w mistrzostwach świata w narciarstwie klasycznym we włoskim Val di Fiemme. Brązowy medal za konkurs drużynowy w skokach przywiózł też w 2015 r. ze szwedzkiego Falun.

W 2017 r. stał się objawieniem 65. edycji Turnieju Czterech Skoczni, zdobywając w klasyfikacji końcowej drugie miejsce. W zeszłym roku na mistrzostwach świata w norweskim Lahti zdobył również złoty medal w konkursie drużynowym i brązowy w zawodach indywidualnych. W 2018 r. w niemieckim Oberstdorfie wraz z drużyną wywalczył brąz w mistrzostwach świata w lotach narciarskich.

Jego rekord życiowy wynosi aż 245,5 m – tak daleko udało mu się skoczyć 18 marca 2017 r. na mamucie skoczni w norweskim Vikersund. Został wówczas pierwszym w historii Polakiem, który przekroczył granicę 240 m.

Naczelny żartowniś kadry wykorzystał olbrzymią popularność wśród fanów do rozkręcenia biznesu. Jego firma Heho sprzedaje m.in. „czapki z charakterem”. W wolnym czasie gra na gitarze. Uwielbia też spędzać czas z rodziną. Jego żona, Justyna Lazar, to siostra cioteczna Adama Małysza. Ma z nią dwoje dzieci: Karolinę i Jakuba. ©

ALPENSIA SKI JUMPING STADIUM

To tu Kamil Stoch i spółka będą skakać po olimpijskie medale. Południowokoreański kompleks skoczni został otwarty w 2008 r. Podczas igrzysk olimpijskich odbędą się tu cztery konkursy skoków mężczyzn: indywidualny na skoczni normalnej, indywidualny na dużej skoczni oraz konkurs drużynowy. A także skoków narciarskich kobiet na skoczni normalnej. Trybuny wokół kompleksu skoczni są w stanie pomieścić 13,5 tys. osób, ale na czas igrzysk przygotowano na nich miejsca tylko dla 8,5 tys. kibiców (6,3 tys. siedzących i 2,2 tys. stojących). Alpensia Ski Jumping Centre podczas igrzysk będzie również areną kombinacji norweskiej oraz nowej snowboardowej konkurencji: Big Air.

• Skocznia normalna (K-98)

Punkt konstrukcyjny: 98 m

Wielkość skoczni: 109 m

Oficjalny rekord skoczni: 113,5 m, Austriak Stefan Kraft, 16.02.2017

Najdłuższy skok: 114,5 m, Słoweniec Jure Šinkovec, próba zakończona upadkiem, 23.01.2016

• Skocznia duża (K-125)

Punkt konstrukcyjny: 125 m

Wielkość skoczni: 142 m

Oficjalny rekord skoczni: 139,5 m, Niemiec Stephan Leyhe, 15.02.2017;

Słoweniec Anže Lanišek, 15.02.2017

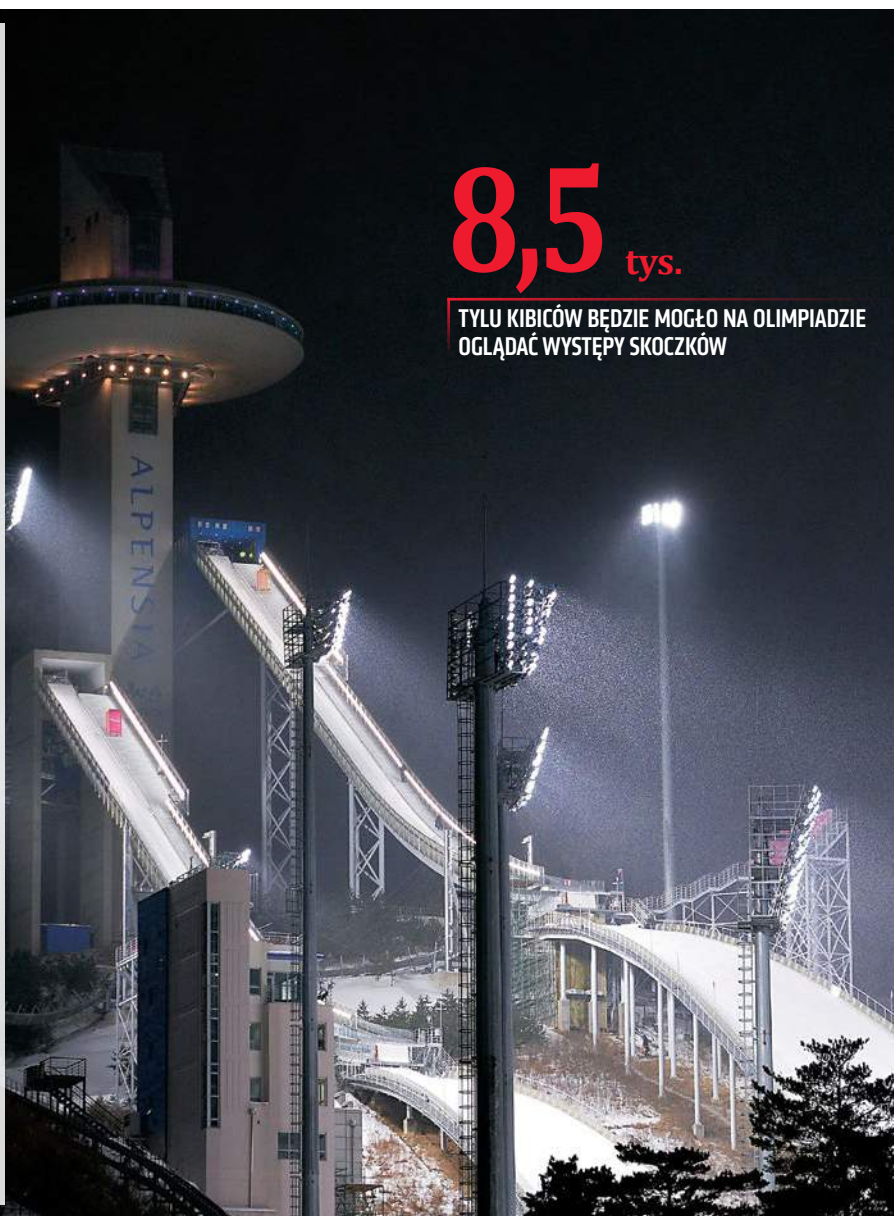
Najdłuższy skok: 142,0 m

– Kamil Stoch, ustanowiony na treningu, 14.02.2017;

– Austriak Stefan Kraft, ustanowiony na treningu, 15.02.2017 ©

8,5 tys.

TYLU KIBICÓW BĘDZIE MOGŁO NA OLIMPIADZIE OGLĄDAĆ WYSTĘPY SKOCZKÓW



FOT. RAMIL STIMONOVSKI/ISTOCK NEWS

OD MARUSARZA DO STOCHA

Polacy w zawodach w skokach narciarskich biorą udział od początku XX w. Przed wojną naszym najsłynniejszym orłem był „Dziadek”, czyli **Stanisław Marusarz**. Życiorys pochodzącego z Zakopanego sportowca to gotowy scenariusz na hollywoodzki hit. Był skoczkiem narciarskim (w 1938 r. wywalczył srebro w mistrzostwach w Lahti), dwuboistą, czterokrotnym olimpijczykiem, pięciokrotnym rekordzistą Polski, a także kurierem tatrzańskim. „Król nart” w swojej karierze oddał w sumie ok. 10 tys. skoków.



W 1972 r. Polskę obiegła sensacyjna wiadomość o niespodziewanym sukcesie **Wojciecha Fortuny**. Skoczek zdobył złoto na igrzyskach olimpijskich w Sapporo (1972) i automatycznie został mistrzem świata. Japończycy byli tak zaskoczeni wygraną Polaka, że dekoracja zawodników odbyła się z opóźnieniem, bo organizatorzy długo nie mogli odnaleźć nut polskiego hymnu.



Trzykrotny medalista mistrzostw Polski karierę zakończył w wieku 27 lat.

Do rozbudzenia masowego zainteresowania skokami

wśród Polaków najbardziej przyczynił się jednak **Adam Małysz**. Jego niesamowite zwycięstwa podczas mistrzostw świata czy igrzysk zimowych w Salt Lake City (zdołał tam srebro i brąz) wywołały zjawisko małyszomanii. Gdy skakał Małysz – jeden z najbardziej utytułowanych zawodników w historii konkursów mistrzostw świata – przed telewizorami zasiadała niemal cała Polska. Ówczesny wzrost popularności skoków ułatwił późniejszą karierę tak zdolnym zawodnikom jak Kamil Stoch. (jap) ©





JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

GRUPA LOTOS – ZAŁOŻYCIEL NARODOWEGO
PROGRAMU ROZWOJU SKOKÓW I BIEGÓW
NARCIARSKICH



www.lotos.pl



Zeby długo żyć, powinniśmy... dobrze wybrać sobie rodziców i dziadków. – Dobre geny co prawda do ok. 85. roku tylko w ok. 30 proc. decydują o długości życia, ale potem ich znaczenie rośnie. Dlatego długowieczność łatwiej osiągną osoby, które mają lepsze odmiany genów regulujących tempo starzenia. Wolniej się starzeją, dlatego mogą dłużej żyć – mówi prof. Monika Puzianowska-Kuźnicka z Instytutu Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN.

Rodziców wybrać nie sposób, pozostaje więc mieć wpływ na pozostałe 70 proc. czynników decydujących o długości życia. – Im wcześniej zaczniemy na nie zwracać uwagę, tym większe szanse na osiągnięcie 100 lat – podkreśla prof. Puzianowska.

Zalecenia wydają się banalne: mało kaloryczna dieta (ale pełnowartościowa), szczupła sylwetka, aktywność fizyczna, niepalenie papierosów. Jednak, jak się okazuje, wciąż są trudne w praktyce do zastosowania.

lat. Ekspertów od zdrowia publicznego niepokoi fakt, że w ostatnich dwóch-trzech latach długość życia w Polsce przestała rosnąć, a jeśli chodzi o mężczyzn, to znów zaczęła spadać. Profesor Jarosz wini za to fakt, że wracamy do starych nawyków jedzenia mniejszej ilości warzyw, a większej rzeczy tłustych oraz czerwonego mięsa i wędlin. – 70 proc. mężczyzn ma nadwagę i otyłość, podobnie jak ponad 50 proc. kobiet. A to prowadzi do chorób skracających życie – podkreśla ekspert.

Recepta na długowieczność



Katarzyna Pinkosz

Zanim zrealizują się obietnice naukowców, że będzie można wymienić „zużyte” narządy na nowe, jesteśmy coraz bliżej odkrycia, dlaczego się starzejemy. Może uda się wreszcie wymyślić tabletkę na długowieczność

– Od 1989 r. długość życia w Polsce wzrosła o ok. siedem lat. Oczywiście przyczyniła się do tego lepsza opieka medyczna, jednak głównym powodem była zmiana nawyków żywieniowych. Nie przypadkiem w tym czasie 14-krotnie wzrosło w Polsce spożycie tłuszczów roślinnych, siedem razy owoców i dwa razy warzyw. Jemy mniej soli, mięsa czerwonego i wędlin. Wszystko to spowodowało zmniejszenie ryzyka miażdżycy, otyłości, nowotworów – mówi prof. Mirosław Jarosz, dyrektor Instytutu Żywności i Żywienia.

Nadal powinniśmy jednak gonić świat – pod względem długości życia zajmujemy dopiero 41. miejsce. Średnia długość życia kobiety w Polsce to 81 lat, mężczyzny – 73 lata. Dla porównania: w Monako kobiety żyją już średnio ponad 93 lata, mężczyźni 85 lat, a w Japonii odpowiednio 88 i 81

Nie jest jednak sztuką żyć tylko długo – dużo istotniejsze wydaje się to, by żyć bez ograniczeń wynikających z przewlekłych chorób. W Polsce różnica pomiędzy długością życia a długością życia w zdrowiu wynosi ponad 16 lat: zwykle już ok. 60. roku życia ujawniają się choroby cywilizacyjne, przez co jakość życia gwałtownie spada. – Nie chodzi o to, żeby mieć pozakładane stenty na tętnice wieńcowe, tylko żeby nie mieć miażdżycy. Bo co prawda stenty ratują życie, ale miażdżycza pozostaje, może więc pojawić się niewydolność serca – dodaje prof. Jarosz

ZIOŁA NA PRZEWLEKŁE ZAPALENIE

Żeby dłużej żyć w zdrowiu, powinniśmy więcej się ruszać i zdecydowanie mniej jeść. A jeśli czegoś więcej, to warzyw i owoców. Wyniki badań opublikowanych trzy lata temu w Wielkiej Brytanii, przeprowa-

dzonych na ponad 50 tys. osób, wykazały, że częste spożywanie warzyw i owoców zmniejsza ryzyko przedwczesnego zgonu. Najzdrowsze były osoby, które spożywały warzywa i owoce aż 7–10 razy dziennie. Ryzyko przedwczesnego zgonu spadało wtedy o 16 proc. – Nie chodzi o to, by jeść naraz pół kilograma warzyw i owoców. Może to być mały owoc lub warzywo. Ważne, by było ich kilka porcji dziennie – przekonuje prof. Lucjan Szponar z Instytutu Żywności i Żywienia.

Szczególną uwagę trzeba zwrócić na warzywa i owoce o kolorach ciemnozielonym, czerwonym i pomarańczowym. – Zawierają najbardziej pożądany profil związków proaktywnych, które łagodzą przewlekły stan zapalny. A już dziś wiadomo, że choroby cywilizacyjne, takie jak miażdżyca, cukrzyca czy wiele typów nowotworów, rozwijają się na podłożu stanu zapalnego o małej aktywności, który toczy się w komórkach – dodaje prof. Jarosz.

Ryzyko przewlekłego stanu zapalnego zmniejszają też zioła i przyprawy, takie jak czosnek, oregano, kurkuma, imbir, cynamon, bazylija, majeranek, papryka.

OCHRONIĆ TELOMERY

W przedłużaniu życia pomóc mogą też te składniki żywności, które mają zabezpieczający wpływ na telomery – ochronne „zapeczki” znajdujące się na końcach chromosomów. Telomery skracają się przy każdym podziale komórki, dlatego ich długość to swoisty zegar biologiczny komórki. Im są krótsze, tym bardziej się starzejemy. Można temu procesowi przeciwdziałać, aktywując enzym zwany telomerazą. Naukowcy szukają więc w żywności związków, które miałyby wpływ na aktywność telomerazy. Jednym z nich jest resweratrol zawarty w ciemnych winogronach, czerwonym winie czy orzechach ziemnych. Inne to pterostilben, obecny w jagodach amerykańskich i borówkach, oraz tłuszcze omega-3, których dużo zawierają tłuste morskie ryby czy włoskie orzechy. Skracaniu telomerów przeciwdziała także aktywność fizyczna – zarówno ćwiczenia o wysokiej intensywności, jak i medytacja, modlitwa czy joga.

Żeby długo żyć, nie wystarczą dobra dieta, ruch i oczywiście niepalenie papierosów. Trzeba jeszcze prowadzić aktywne życie umysłowe i towarzyskie. – Villa grande, małe miasteczko na Sycylii, jest wylegarnią stulatków. To miasteczko jest poprzecinane uliczkami, ludzie spotykają się ze sobą na każdym kroku, rozmawiają. Kontakty towarzyskie z innymi ludźmi powodują zmniejszenie przewlekłego stresu, zmniejszenie wydzielania kortyzolu (hormon stresu), a w organizmie zachodzą wiele korzystnych procesów neurohormonalnych. Wszystko to sprawia, że ludzie żyją tam dłużej – opowiada prof. Jarosz.

Do aktywności fizycznej i odpowiedniej diety trzeba więc dołożyć kolejne zalece-

nia: bądź przez całe życie osobą aktywną, prowadź życie rodzinne i działalność społeczną, która daje ci satysfakcję, spędzaj czas z przyjaciółmi, zawieraj nowe znajomości, stosuj różne techniki relaksacyjne.

CZEKAJĄC NA TABLETKĘ

Nie ma co się jednak oszukiwać: większość z nas wolałaby powylegiwać się na kanapie i objadać się nieco bardziej kaloryczną dietą niż warzywno-owocową. – Ideałem by było, gdybyśmy byli na normalnej diecie, ale żeby naszym komórkom wydawało się, że jesteśmy na niskokalorycznej. Wysiłki firm idą w tym kierunku, żeby znaleźć składniki, które spowodują, że na poziomie komórek będą naśladowane efekty diety niskokalorycznej – mówi prof. Puzianowska-Kuźnicka.

Za pierwszą tabletkę antystarzeniową być może zostanie już wkrótce uznana metformina – lek od dawna stosowany w cukrzycy typu 2. Chorzy stosujący ten lek żyją średnio o ok. 15 proc. dłużej od tych, którzy przyjmują inne leki przeciw cukrzycowe, nawet jeśli są one tak samo skuteczne w leczeniu cukrzycy. Badania przeprowadzone w National Institute on Aging w Baltimore wykazały, że podawanie metforminy w niskich dawkach zdrowym myszom wydłużało ich życie o ok. 5 proc. Najprawdopodobniej spowalnia ona metabolizm i mobilizuje organizm do wydajniejszej pracy.

Oczywiście nie wiadomo, czy tak samo jak na gryzonie metformina podziała na ludzi. – Nie ma jeszcze wskazań jako lek przeciwstarzeniowy, ale być może jednak takie zalecenia pojawiają się po zakończeniu badań, które obecnie są w toku – mówi prof. Puzianowska-Kuźnicka.

Drugim obiecującym środkiem jest rapamycyna, substancja wytwarzana przez bakterie *Streptomyces hygroscopicus*, stosowana jako lek immunosupresyjny, czyli osłabiający reakcję odrzucenia po przeszczepie. Podawanie jej myszom wydłużyło ich życie o kilkanaście procent, u 10 proc. gryzoni nawet o 28–38 proc. Gdyby taki sam efekt udało się uzyskać u ludzi, byłaby to rewelacja.

Dopóki jednak nie zostanie zarejestrowana pigułka na długowieczność, dopóty pozostaje nam stosować się do zaleceń naukowców: nie palić, więcej się ruszać i mniej jeść – tak by nie tylko nie tyć, lecz także przestawić organizm na tryb oszczędzania energii. Zwolnić metabolizm, co prawdopodobnie wydłuży życie.



FOT. FOTOLIA

Siedem tysięcy lat temu, w paleolicie, żeby przeżyć, trzeba było zabić zwierza, obedrzeć go ze skóry, a mięso zjeść. To miało sens. Dzisiaj mamy samochody z ogrzewanymi siedzeniami, kurtki puchowe oraz zimy bez mrozu. Po co nam prawdziwe futro, skoro sztuczne wygląda tak samo? Norki są tylko dla luksusu, potrzeby ludzkości równie starej jak jej pierwsze włochate palto.

Od kiedy futro przestało być koniecznością, zaczęło być luksusem. Widok otulonych w lśniące skóry renesansowych książąt, carów okrytych skórą tygrysa czy sobola budzi dzisiaj raczej zaciekawienie niż chęć naśladowania. Jeszcze 50 lat temu każde niemowlę miało fotkę na niedźwiedziej skórze. Teraz człowiek w prawdziwym futrze wygląda jak przebieraniec, trochę jak facet w skórze misia, który pozuje do zdjęć w Zakopanem.

Mówię to nie z punktu widzenia przeciwnika najstarszego okrycia ludzkości. Osobiście nie jestem ani szczególnie zaciętym wrogiem, ani zwolennikiem futer, obserwuję ich los jako część procesu historycznego. W tym roku jakoś wyjątkowo nie słysząc odgłosów rytualnej awantury o futra, za to awantura o myślistwo trwa w najlepsze i jest rozgrzana do czerwoności.

Kiedy dzikich zwierząt było dużo, a ludzi mało, myślistwo nie tylko było koniecznością egzystencjalną, lecz także nie miało wpływu na przyrodę. Dzisiaj jest odwrotnie – ludzi przybywa z każdym rokiem, dzikich zwierząt ubywa w zawrotnym tempie. Nie mówię już o słoniach, lwach czy nosorożcach – każdy wie, że przez bezmyślną działalność człowieka stały się gatunkami ginącymi, ale nawet w naszej niezbyt dzikiej strefie każdy wzrusza się na widok lisa, sarny czy zajączka.

FUTRO TO HISTORIA

Debata na temat hodowli zwierząt futerkowych trwa. Z jednej strony jesteśmy straszni krwawymi obrazami zwierząt obdzieranych ze skóry i lisów tuczonych w klatkach prawie jak brojlery; z drugiej słysząc głos kucharzy domagających się sensownych regulacji hodowli zwierząt futerkowych. Pierwsi twierdzą, że klienci nie chcą już prawdziwych futer, drudzy, że sektor futrzarski na świecie wart jest 40 mld euro i milion miejsc pracy. Swoją drogą



Joanna Bojańczyk

Dzisiaj człowiek nie musi już udowadniać swojej wyższości nad przyrodą za pomocą strzelby. Ginącej przyrodzie trzeba okazać szacunek. Jednak w sprawie futer środowisko mody jest podzielone

to osobliwe, że tolerancyjna i ekologiczna Dania jest obok Rosji największym hodowcą zwierząt na futra.

Teraz właśnie rząd Norwegii zapowiedział, że zakaże hodowli zwierząt futerkowych. Królestwo Norwegii poszło tu za przykładem Wielkiej Brytanii, Holandii, Austrii, Niemiec, Czech, Chorwacji, Słowenii, Macedonii.

Polska oficjalnie takiego zakazu jeszcze nie wprowadziła, ale jesteśmy blisko.

„Niech futra przejdą do historii” – to tytuł wystawy, która 23 stycznia została otwarta w Parlamencie Europejskim. Stoją za nią organizacje pozarządowe Fur Free Alliance, Otwarte Klatki, Eurogroup for Animals oraz członkowie Parlamentu Europejskiego: m.in. prof. Ryszard Legutko, Jadwiga Wiśniewska, prof. Zdzisław Krasnodębski, Zbigniew Kuźmiuk. List napisała Brigitte Bardot, znana obrończyni zwierząt, swojego poparcia udzielił Jarosław Kaczyński, który jest przeciwnikiem polowań.

We wczesnym PRL futro było raczej niepoprawne ustrojowo, jako relikwiny sanacyjnego i mieszczańskiego zbytku. Koniec lat 60. i 70. minął w Polsce pod znakiem szaleństwa na punkcie kożuchów. Najśłynniejsze produkowali kuśnierze z Sokołowa i Garwolina. Można je oglądać w filmie Wajdy „Wszystko na sprzedaż”: Beata Tyszkiewicz, Elżbieta Czyżewska, Andrzej Łapicki paradują w białych kożuchach, artykuły wtedy najbardziej pożądanym. Polska ekipa udająca się na olimpiadę w Grenoble została wyposażona w eleganckie białe kożuszki zakopiańskie z wyhaftowanymi parzenicami. Podobno sportowcy zamienili je na twardą walutę...

W latach 70. w komisach i sklepach futrzarskich pojawiały się rude i srebrne lisy, pierwsze symbole gierkowskiego statusu. Jednak stać na nie było głównie panie trudniące się najstarszym zawodem świata, szybko więc nabrały podejrzanego konotacji. Gdy zapanował nasz młody kapitalizm, lisy przestały wystarczać. Prawdziwa bogata dama (czytaj: żona właściciela hurtowni) nosiła norki, plebs miał plastikowe.

Jednak wtedy generalnie problem zwierząt mało kogo obchodził. Na ostrzu noża postawiono go pod koniec lat 90., a po roku 2000, gdy ruchy proekologiczne rosły w siłę, także przeciwnicy futer z każdym rokiem nabierali siły i energii. Noszenie prawdziwego

futra stało się całkiem niepoprawne. Nie przejmowały się tym chyba tylko Włoszki, dla których płaszcz z norek jest po prostu codziennym okryciem zimowym, choć również pewnym symbolem statusu. W każdym razie w Mediolanie, w Turynie czy w Weronie kobiety raczej nie muszą się obawiać, że zza rogu wyskoczy aktywista z czerwoną farbą w sprayu.

NIEDŹWIEDŹ, PIESZCZOTLIWIE MIŚ

Dzisiaj człowiek nie musi już udowodniać swojej wyższości nad przyrodą za pomocą strzelby. Dzisiaj ginącej przyrodzie trzeba okazać szacunek. Środowisko mody jest jednak w tej sprawie podzielone. Z jednej strony mamy ortodoksów, którzy tak jak Stella McCartney w ogóle nie używają prawdziwej skóry w swoich kolekcjach, które zresztą nie są przez to wcale tańsze. Prawdziwych

wielka moda lat 60., są wielkim hitem mody zimy 2018.

Nie muszę dodawać, że w stu procentach syntetycznym. W zeszłym roku widziałam kurtkę z norek w H&M, którą dopiero przy dotknięciu można było rozpoznać jako syntetyczną. Mimo niskiej ceny była to imitacja doskonała: kolor, układ włosów, połysk, wszystko „identyczne z naturalnym”.

Chłamowate podróby dzikich bestii trafiają nawet na bazarowe stragany, bo dzisiaj każda kurtka made in China ma obszycie z pseudowilka, lisa, jenota itp. Jest to o tyle dziwne, że w Państwie Środka prawdziwe futra nie są wcale drogie. Gminny przekaz mówi wprawdzie, że Chińczykom nie przeszkadza, gdy pochodzą one ze zwierząt domowych, np. z psów. Tanie czy drogie – zwierzęta są wszędzie. Kołnierze, muffki, torby, wykończenia butów, szale. Klapki z futrem ma Gucci, przynajmniej miał

Mimo niskiej ceny to imitacja doskonała: kolor, układ włosów, połysk, wszystko „identyczne z naturalnym”

futer nie używają także Calvin Klein, Ralph Lauren, Tommy Hilfiger i grupa Inditex, czyli Zara i jej siostrzane firmy. Jednak w październiku 2017 r. decyzję o nieużywaniu futer podjęła także firma Gucci, co można w pewnym sensie uznać za symptom głębokiej zmiany myślenia w sektorze najwyższej mody.

Z drugiej strony jest cała grupa tych, którzy zakazem w ogóle się nie przejmują. W domu mody Fendi futro jest produktem flagowym, a po skóry soboli jeździ się na aukcje na Syberię. Stanowią one podstawę egzystencji firmy. Jednak większość fauny występuje nie w pełnych okryciach, ale w dodatkach, którymi – nie przejmując się specjalnie głosami ekologów – garnirują swoje zimowe ubrania wielcy: Dior, Chanel, Marc Jacobs, Yves Saint Laurent. Średniacy – tacy jak Benetton, Esprit, H&M – skłaniają się w stronę futer sztucznych, dzisiaj do złudzenia podobnych do prawdziwych. Technologia tekstylna jest w stanie wyprodukować gronostaja, sobola, szynszylę, ocelota, nie mówiąc o niedźwiedziu, u nas pieszczośliwie zwanym misiem. Skądinąd właśnie te „misie”, czyli strzyżone skóry owcze,

w zeszłym roku, i były hitem. Brakuje tylko majtek z futra, chociaż chyba też już takie gdzieś widziałam, nawet przekonywano, że są praktyczne. Ciepłe na pewno.

Parę lat temu byłam w Afryce na tzw. safari. Zabawa dla Europejczyków – objeżdża się jeepem zamknięty obszar, a w nim wszystkie wymienione wyżej okazy zwierząt, plus oczywiście słonie i lwy. Można zwierzęta obejrzeć na wolności, w ich habitacie. Wszystko w nich jest celowo piękne – gdy się wylegają, gdy polują, gdy opiekują się małymi. Ich uroda i elegancja też są celowe.

Barwa i wzór mają je ukryć w przyrodzie i zmylić przeciwnika. Jednak największe wrażenie zrobił na mnie lampart. Lampart to prawdziwy król zwierząt. Piękny, majestatyczny, groźny, precyzyjny w ruchach. Czy nosząc bluzkę w ćetki, też chcemy być takim lampartem? Osobiście mam stosunek do dzikich wzorów pełen rezerwy, zawsze uważałam je za trochę wulgarne. Nie bez powodu – niosą silny ładunek erotyczny. Jednak OK, niech będą, pod warunkiem że nie na czteroletniej dziewczynce.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Sarmacki Fritzl

Marcin Radziwiłł, krajczy litewski, syn Jana Mikołaja, wojewody nowogródzkiego, był sarmackim odpowiednikiem Josepha Fritzla, austriackiego policjanta, który przez 24 lata więził w piwnicach własnego domu córkę i spółdzone z nią dzieci. Radziwiłł jednak rozmach miał większy. W pokojach dworu przetrzymywał nie tylko żonę, lecz także cały harem niewiast.

Wykształcony w kolegium w Nieświeżu i na akademii w Wilnie, od 1729 r. rezydował w Czarniawczycach pod Brześciem Litewskim. Po śmierci pierwszej żony, Antoniny Bełchackiej, ożenił się z Marią Trembicką. Od młodości zajmował się doświadczeniami, pociągały go alchemia i poszukiwania kamienia filozoficznego. Cierpiał, jak można się domyślać po niektórych szczegółach jego postępowania, na manię prześladowczą. Szaleństwo to objawiło się po roku 1737, kiedy porywając lub kupując, zgromadził we dworze kilkadziesiąt niewiast, w tym pewną piękność wykradzioną rodzicom, którą za 200 dukatów dostarczył mu pleban spod Dawidgródka. Utrzymanki krajczego żyły w dostatku – zwłaszcza jeśli wykazały się miłosnymi kunsztami – chociaż cały czas przetrzymywane były w zamknięciu. Oprócz nich książę porywał młodziutki dziewczynki, tzw. kadetki, które dopiero wychowywał na przyszłe miłośnice. Te miały o wiele gorzej, chodziły w łachmanach i przymierały głodem.

Marcin Radziwiłł popadł także w obłęd religijny. Wierzył w reinkarnację, porzucił katolicyzm dla judaizmu. Jak bowiem podaje Kazimierz Bartoszewicz w „Radziwiłłach”: „Dwór swój złożył z samych prawie Żydów. Żydzi mu służyli, Żydzi gospodarowali w jego dobrach”. Marcin Radziwiłł nauczył się czytać po hebrajsku,



FOT. WIKIPEDIA

chodził w chałacie i obchodził wszystkie święta. Największym zaufanym od spraw wiary i gospodarstwa cieszył się u księcia krajczego Żyd Szymon. Z kolei od spraw gardłowych utrzymywał infamisa, niejakiego Grabowskiego, który w imieniu księcia dokonywał zajazdów, morderstw i porwań. Zabił w karczmie Zborowskiego, podsędką brzeskiego, udusił jedną z metres księcia, zamordował szlachcica Kukawskiego z żoną, podpalał dwory i zajeżdżał włości Marcina Matuszewicza, znanego pamiętnikarza. Dopiero inny Grabowski, horodniczy brzeski, schwytał go i odstawił do trybunału w Piotrkowie, gdzie został ścięty.

Marcin Radziwiłł dopuszczał się szaleństw i gwałtów przez kilka lat – dopóty, dopóki nie porwał ks. Suzina, podkomorzycy brzeskiego, którego podejrzewał, że pisze skargi na jego rozpustny tryb życia. Miarka się przebrała. W obronie duchownego wystąpili biskup wileński i sejmiki, sprawa otarła się o królową Marię Józefę, dlatego pozostali Radziwiłłowie szybko uzyskali u króla Augusta III Sasa kuratelę nad kłopotliwym krewnym. Jednym z nadzorców szaleńca mianowano

Hieronima Floriana Radziwiłła, który – prawdę mówiąc – gwałtownością i obyczajem niewiele różnił się od Marcina. W 1748 r. książę zajechał go z 200 żołnierzami w chwili, kiedy uprzedzony o ataku Marcin Radziwiłł szykował się do ucieczki, i chociaż wypadł z pistoletem z pokoju, to kazał go obezwładnić i związać. Ludzie Hieronima Floriana wkroczyli do starego dworu w Turnie pod Czarnawczycami, uwalniając przetrzymywane tam ofiary szaleństwa krajczego, odbierając miłośnikom klejnoty i stroje, które otrzymały od niego w prezencie. Hieronim Radziwiłł kazał im też spisać zeznania, czy miały dzieci z księciem i skąd wzięły się na dworze. Opowiadały okropne rzeczy – że Marcin kazał zabijać swe nieprawe potomstwo, a potem destylować, wysyłając później ów dekolt do Amsterdamu, co jednak nie miało potwierdzenia w innych źródłach niż pamiętniki Matuszewicza.

Księcia krajczego związano i odwieziono do Białej Podlaskiej, a potem do Słucka. Do końca życia, czyli do 1782 r., pozostał więźniem w rękach rodziny – najpierw Hieronima Floriana, potem Michała Kazimierza „Rybeński”, wreszcie Jerzego – wojewody nowogrodzkiego. Na koniec kuratelę przejął jego własny syn, Mikołaj, wojewoda miński. Nawet w niewoli Marcin nie jadał „trefnego” i listownie utrzymywał kontakty z Żydami. Pewnego razu, kiedy Hieronim Florian drwił z jego wiary w reinkarnację, powiedział, że był kiedyś ptakiem, kulikiem, a w następnej przemianie zostanie słoniem, na którym będzie jeździć po Jerozolimie wielki kapłan. „A czymże ja zostanie? – zapytał Hieronim, pijanica i okrutnik, w dodatku niezmiernie zawzięty na niewinność niewiast. „Wieprzem za miłość sromotnych brudów” – odparł Marcin Radziwiłł. ©©

KULINARNE SZALEŃSTWO JANA TOMASZEWSKIEGO

Wywodzę się z niezbyt za-
możnej rodziny, moi rodzice
pochodzą z Wilna. Jestem
przyzwyczajony do oszczęd-
nej, taniej kuchni, a przez
to raczej niezbyt zdrowej.
To zresztą widać teraz po
mnie, kiedy łatwiej mnie
przeskoczyć, niż ominąć, ale
tak jestem wychowany i taką
kuchnię uwielbiam. Kocham
smalczyk, pieczony boczuś
i inne niezdrowe rzeczy.

Jednym z takich dań, bardzo
sycącym i niedrogim, jest tzw.
babka ziemniaczana. Przyrzą-
dza się ją dość podobnie do
placków ziemniaczanych, ale
wygląda jak ciasto, ma chrup-
ką skórkę. Polecam, bo jest to
pyszne i niedrogi danie, ale
ostrzegam – nie jest to zdro-
wa, dietetyczna kuchnia. To
jest jak z pączkami – wiemy,
że jeden ma kilkaset kalorii,
a niektórzy i tak pochłaniają
je w ogromnych ilościach. Ja
pączków nie jadłem, ale lubię
czasem zjeść babkę ziem-
niaczaną. Raz na jakiś czas
można przecież zaszaleć.

sok. Dodajemy mąkę, jajka,
sól i pieprz. Boczek podsma-
żamy z drobno posiekaną
cebulą i również dodajemy do
ziemniaczanej masy, a później
dokładnie mieszamy. Wlewa-
my masę do nasmarowanej
tłuszczem brytfanny i piecze-
my ok. 1,5–2 godz. w tempe-
raturze 180 st. C, aż skórka
zrobi się chrupiąca, a ciasto
wewnątrz nie będzie surowe.

Taką babkę możemy jeść
od razu, ale pyszna będzie na
drugi czy trzeci dzień, gdy ją
podgrzejemy i podsmażymy
na patelni. Smakuje wyśmien-
icie z kiszoną kapustą lub
kiszonymi ogórkami. ©©

oprac. raw

*Jan Tomaszewski – bramkarz,
były reprezentant polskiej kadry.*



Składniki:

- 2 kg ziemniaków
- 4 czubate łyżki mąki pszennej
- 2 jajka
- ok. 100 g boczku
- 1 łyżeczka soli
- pieprz do smaku

Przygotowa- nie:

Ziemniaki ściera-
my na tarce, od-
stawiamy na kilka
minut i odlewamy



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Paul Bocuse, smak Francji

Obiecał żyć 100 lat,
umarł, mając 91.
Paul Bocuse, pionier
i matuzalem francu-
skiej wysokiej kuchni, zmarł,
nie tracąc do końca życia
ani jednej z trzech gwiazdek
Michelin.

W wieku dziewięciu lat za-
czynał gotować ciętelecyna-
derki u boku ojca. Potem był
w wojsku, w czasie II wojny
światowej w armii francuskiej
walczył z Niemcami w Alzacji.
W 1956 r. zaczął
pracować w ro-
dzinnej restaura-
cji L'Auberge du
Pont de Collon-
ges niedaleko
Lyonu. Początko-
wo u boku ojca,
żeby wkrótce
zostać szefem
i rozślawić
miejsce na cały
świat. Jego przy-
smaki: złowione
w Saonie pstrągi,
dziłkie przepiórki, znalezione
w sekretnych miejscach trufle
zdobywają wkrótce nie tylko
lokalną publiczność – restau-
rację zaczynają odwiedzać
klienci z całej Francji. W sześć
lat Bocuse zdobywa dwie
gwiazdki, w roku 1965 –
trzecią.

Od początku jego dewiza
było: tylko świeże i najlepsze
produkty. Kiedy głaszcze kozę,
to nie po to, żeby ją uspokoić
przed pójściem do rzeźni, ale
by dawała lepsze mleko. Na
lokalnych targach był o świecie,
a rolnicy zostawiali mu
najlepsze produkty. W 1975 r.
jego zupa truflowa podana Va-
lery'emu Giscardowi d'Estaing
w Pałacu Elizejskim zyskała
światową sławę. Był też

utalentowanym pedagogiem,
który wykształcił setki kucha-
rzy. Zdobył mnóstwo nagród
międzynarodowych, został
odznaczony Legią Honorową.
„Gault & Millau”, przewodnik
kulinarny z najlepszymi re-
stauracjami, nazwał Bocu-
se'a kucharzem XX w.

Bocuse czuł ducha czasu,
wiedział, że kuchnia
musi się zmieniać,
modernizować, ale widział,
jak obce kuchnie podważają

hegemonię
kuchni francu-
skiej, w którą tak
wierzył. Walczył
o nią, broniąc
przede wszystkim
uczciwej
kuchni regional-
nej opartej na
dobrych produk-
tach. Temu słu-
żyła akcja, którą
zorganizował
wspólnie z innym
wybitnym szefem



FOT. RICHARD HARRIS/POOLARIS/EAST NEWS

kuchni Alainem Ducasse
– „Gout de/Good France”
(gra słów: francuskie „gout”
– smak – i angielskie „good”)
– i którą patronatem objął
rząd republiki. W jej ramach
w zeszłym roku 2,3 tys.
restauracji w 15 krajach
przygotowało obiad kuchni
francuskiej.

„Zaczynałem z kuchnią
węglową. Jestem dzieckiem
ubogiej rodziny, które żyje
jak dziecko bogaczy” – mó-
wił o sobie. Jednak on, wielki
bogacz, który na swoich
knajpach, szkołach i piwiar-
niach zarobił miliony, zmarł
znowu jak dziecko biednych:
w tym samym pokoju nad re-
stauracją w Collonges, gdzie
się urodził w roku 1926. ©©



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Nie zamykać za głupotę

MARCIN MAKOWSKI: Znikąd wybucha największy kryzys polsko-izraelski od dekad. Pretekst stanowi nowelizacja ustawy o IPN zezwalająca na penalizację przypadków, w których Polacy obciążani są kłamliwie niemieckimi zbrodniami wojennymi. I ty jesteś jej przeciwny. Staram się zrozumieć dlaczego. I mam problem.

MATTHEW TYRMAND: W takim razie krok po kroku wytłumaczę. Może niektórzy narwańcy, nazywający mnie zdrajcą, chociaż trochę z tego zrozumieją. Owszem, problem używania szkodliwego zwrotu „polskie obozy śmierci” jest realny i zaczyna przybierać na sile. Niestety megalomański impuls w Ministerstwie Sprawiedliwości, które zabrało się do kontrolowania debaty publicznej, spowodował efekt odwrotny do zamierzonego. Każda próba karania więzieniem za dyskurs, nawet jeśli jest oparty na kłamstwie, to dla mnie – klasycznego libertarianina wierzącego w nieskrępowaną wolność słowa – kompletne zaprzeczenie tych ideałów.

Jakich ideałów?! Mówienie, że Polacy budowali obozy śmierci dla Żydów, to nie-szkodliwa manifestacja wolności słowa?

Nie, to idiotyzm. Nie możesz jednak wsadzać ludzi na trzy lata

za kratki dlatego, że są idiotami. Jeśli chcesz ściagać za zniesławienie i potrafisz to udowodnić, w polskim oraz międzynarodowym prawie istnieją już podobne zapisy. Trzeba było z nich korzystać, zamiast pisać prawo, które jest niemożliwe do wyegzekwowania. Od początku w naszych rozmowach podkreślałem, że jestem przeciw ściganiu za mowę nienawiści, zgodnie z duchem amerykańskiej konstytucji. Wolność słowa musi zostawić jakiś margines na bycie w błędzie.

Powiesz to samo na temat izraelskiego prawa pozwalającego karać więzieniem za negowanie Holocaustu?

Oczywiście. To idiotyczne zapisy i aktywna cenzura, która w wielu krajach Zachodu prowadzi o krok dalej. W Niemczech karze się np. za krytykę rządowego projektu relokacji imigrantów albo czyichś preferencji seksualnych. Polska, zwłaszcza po doświadczeniu dwóch totalitaryzmów, które brutalnie karały za swobodę wypowiedzi, powinna mieć w sobie odruch sprzeciwu wobec samej idei wpisywania do prawa, co wolno, a czego nie wolno powiedzieć w przestrzeni publicznej.

Tylko jakim cudem stwierdzenie „polskie obozy śmierci” stało się nagle synonimem walki o „wolność słowa”? To nie jest nawet ironiczne czy przekorne.

Wracamy do punktu wyjścia. Nie możesz powiedzieć ludziom: od jutra macie być mądrzy. To nie znaczy, że należy pozwalać na wszystko i rozkładać ręce, gdy jakaś dziennikarka pisze na Twitterze 14 razy z rzędu „polskie obozy śmierci”. Takich ludzi można indywidualnie pociągnąć do odpowiedzialności cywilnej, nałożyć kary finansowe, ograniczyć wstęp na terytorium kraju – cokolwiek, tylko nie wsadzać do więzienia. To niebezpieczny precedens. Załóżmy, że to prawo przechodzi i George Soros finansuje 5 tys. aktywistów, którzy wychodzą na ulice Warszawy z transparentami i krzyczą o tych nieszczęsnych obozach. I co teraz? Policja ma ich ściagać i aresztować?

To co robić z zalewem kłamstw i antypolonizmem? Mamy prawo z nim walczyć.

Są skuteczne sposoby, ale trudniejsze niż napisanie ustawy. Trzeba otwarcie potępić kłamstwa, a następnie promować fakty, robiąc to profesjonalnie, konsekwentnie i w skali globalnej, a nie na użytek wewnętrzny. Może w końcu Polska Fundacja Narodowa weźmie się do swojej roboty, zamiast marnować publiczne pieniądze? Przecież Polska ma wszystkie historyczne asy w rękawie – trzeba je po prostu wyciągać w otwartym dyskursie i ośmieszać przeciwników. Tylko czy można to robić, mając w rządzie tak niekompetentnych ludzi jak Patryk Jaki i Zbigniew Ziobro, którzy dzień przed rocznicą wyzwolenia Auschwitz bez poinformowania strony izraelskiej puszczają ustawę? To skandaliczne, jak nieprofesjonalnie się zachowali, zaskakując również część rządu, która stara się ugasić wywołany przez nich pożar. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Zmieniamy się dla Państwa



JARMARK RADIA
WNET.FM

W TELEWIZJI
REPUBLIKA

sobota 9:05

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl d6745449d2



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Samoupadlanie

„GAZETA WYBORCZA”: Zarówno Żydzi, jak i ginący wraz z nimi Polacy, którzy ich ratowali, zasłużyli na więcej niż propaganda „polityki historycznej” Muzeum w Markowej. Jednym z najbardziej widocznych przejawów „polityki historycznej” polskiego państwa jest upamiętnianie Polaków ratujących Żydów za okupacji. Praktycznie wszystkie wystąpienia polskich czynników oficjalnych zatracające o tematykę Zagłady nie mogą się dziś obejść bez przypomnienia o „liczbie polskich drzewek oliwnych w Yad Vashem”, o Janie Karskim czy Irenie Sendler.

Nie ma chyba na świecie państwa, w którym tak konsekwentnie próbuje się wbijać własny naród w poczucie winy i wstydu

Niestety, ofiara Sprawiedliwych Polaków – ludzi, którzy bezinteresownie ratowali Żydów – jest dziś cynicznie używana do kończenia dyskusji o mniej chwalebnych postawach polskiego społeczeństwa.

Polska jest jedynym państwem, które nie kolaborowało z Hitlerem, i jedynym państwem, w którym Hitler nakazał karę śmierci za pomaganie Żydom. Niestety, Polska jest też jedynym państwem, którego elity mają tak wielki problem z najpiękniejszymi kartami polskiej historii.

Nie ma chyba na świecie państwa, w którym od dziesiętności lat tak konsekwentnie próbuje się wbijać własny naród w poczucie winy i wstydu, eksponując i rozdmuchując do niewyobrażalnych rozmiarów każdą winę jednostki, za którą obarcza się zbiorowość, umniejszając zarazem każdy przejaw bohaterstwa, podkreślając, że to tylko jednostki. Jeśli ktoś wie o Polsce i Polakach czerpie tylko z „Gazety Wyborczej”, to musi nas mieć za antysemicką hołotę, którą trzeba nieustannie tłuc po głowie, żeby zrozumiała, jak niewiele jest warta.

Gdyby jakakolwiek prawicowa gazeta roztrząsała udział Żydów w niemieckich zbrodniach

z takim samym zaangażowaniem, z jakim „Gazeta Wyborcza” roztrząsa winy Polaków, zostałaaby – słusznie – uznana za antysemicką gadzinówkę, bo nosi to już znamiona antypolskiej obsesji.

W amoku dyskusji wokół nieszczęsnej nowelizacji ustawy o IPN dziennikarz „Gazety Wyborczej” Bartosz Wieliński puścił w świat – po angielsku, żeby świat zrozumiał i miał co cytować – kłamliwego tweeta o tym, że w TVP wyemitowano program, w którym to Żydów obarczono odpowiedzialnością za Holocaust. Nic takiego oczywiście nie miało miejsca i Wieliński świetnie to wie, ale jeśli można komuś dostarczyć kolejny argument do wzmacniania stereotypu Polaka antysemitę, to dlaczego nie skorzystać? Jeśli jakieś zachodnie medium podchwyci to kłamstwo i je powieli, to do czystej przyjemności uderzenia w Polskę zmyślnym zarzutem dojdzie wierszówka za napisanie kolejnego artykułu o „światowych echach”. I tak to się kręci. ©©

PODSŁUCHANE

Przecież cały czas coś robimy

Maciek, musimy coś zrobić, bo nas wywał z fundacji.
Daj spokój, Czarek. Niby za co?

Wszyscy piszą, że nic nie robimy, a powinniśmy.
Przecież to bujda jakaś. Cały czas coś robimy.

No, ale co na przykład? Bo ja muszę coś premierowi szybko wysłać, jakieś podsumowanie.

No to czekaj... W kalendarz swój spojrzę. O, proszę, przedwczoraj byłem w telewizji na przykład. A tydzień temu w radiu.

Trochę mało...

Zaraz, to nie wszystko. Tekst napisałem o tym, że Niemcy są źli i się na nas wyżywają.

Widziałem. Ale jakbym go już kiedyś...

No tak, bo nie chciało mi się pisać od zera, w końcu i tak cały czas mówię to samo, więc wziąłem taki

swój stary wpis z bloga i trochę podrasowałem. Ale tego nie musisz pisać premierowi.

Wciąż mało. Coś jeszcze?

Rozumiem, że „Sprawiedliwe sądy” to nie za bardzo?

No chyba nie.

To już wiem, robię teraz taką fajną akcję, trochę partyzancką. Sprej sobie kupiłem i w nocy maluję na murach powieszoną swastykę.

Dużo już namalowałeś?

Na razie dwie. U siebie na klatce.

©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„IPN – Instytut Poniżenia Narodowego. IPN powinien być rozwiązany w trybie natychmiastowym, a jego pseudonaukowcy i pseudoprokuratorzy – pociągnięci do odpowiedzialności”.

ADAM MAZGUŁA, emerytowany żołnierz, działacz KOD, na Twitterze

Wymiar niesprawiedliwości makabrycznej — sądomia!



fol. Jerzy Gumowski

Czasami, gdy dzieje się coś horrendalnego, potwornego, skandalicznego do potęgi niewyobrażalnej — człowiekowi otwiera się w kieszeni porzekadłowy nóż. Mnie się tak ostatnio rozwarł kiedy przeczytałem o skazaniu pisarza Jacka Piekary — z powództwa Doroty Wellman — na pół miliona złotych grzywny (!!!) za twitterowy wpis, będący zwykłą komentatorską złośliwością o delikatnie pamfletowym charakterze: „Do aborcji potrzebne jest zapłodnienie. Do zapłodnienia potrzebny jest seks. Dobrze wiedzieć, że Dorocie Wellman nie grozi aborcja”. Tego rodzaju żartobliwa uszczypliwość nie jest (w odróżnieniu od zbydlęconego—schizofrenicznego—anonimowego „hejtu”) żadnym przestępstwem, tylko normalną, zwyczajową szermierką publicystyczną zasługującą co najwyżej na równie dowcipną polemikę, więc skarga urażonej osoby nie powinna być przyjęta na wokandę przez żaden trybunał (winien on z miejsca odesłać Dorotę W. na bambus) — samo sądowe rozpatrywanie takich rzeczy jest kuriozalne, stawia włosy na głowie (swego czasu, gdy Palikot publicznie przezwał prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego „chamem” — sąd umorzył sprawę, nie dopatrując się „znamion obrażenia”). I kolejna ponura ciekawostka: skazany pisarz dowiedział się o wyroku od... komornika (sic!), bo nie został przez sąd powiadomiony o rozprawie. Znaczą że mamy już

kapturowe sądy? To chyba wbrew prawu. Czy tylko sądy lubiące robić sobie „jaja”? Ale to chyba też niezbyt kodeksowe, bo rozbicie z sali posiedzeń sądu hali postąpienia kabaretu...

Casus sądowego wybuchu linczującego Jacka Piekary budzi (który to już raz ostatnio!) refleksję ogólną/generalną tyjącą zastraszającego stanu państwa, w którym role arbitrowi penalizujących grają z urzędu figury niegodne rozstrzygać nawet przedшкоlnych waśni dziecięcych. Korporacja byłych esbeków, agenciaków, politpoprawnych paranoików, salonowych farmazonów i drobnych sklepowych złodziejasków (tylko w minionym roku kilku przyłapanych) decyduje quasi—kodeksowo (okołokodeksowo, parakodeksowo, niby kodeksowo) o losach ludzi, jawnie pokazując społeczeństwu szyderczo złośliwy zgjęty łokieć. Czy cała ta kasta prowokacyjnie beczelnego wymiaru niesprawiedliwości — cała ta feler-na „nasza klasa” jurysdykcyjna — powinna zostać wyzerowana do gruntu i przepuszczona przez gęste sito badań psychiatrycznych dla odcedzenia szumowin czyniących sądownictwo polskie pandemoniczną jaskinią? Czy też dalej trzeba tolerować ten post-peerelowski stan gangreny, godząc się, by praktyczne funkcjonowanie (orzekanie) jej członków budziło na przemian skojarzenia kabaretowe lub gęsią skórę? Doszło, niestety, w III Rzeczypospolitej do tego, że gdy ktoś rozpaczliwym krzykiem żąda sanacji (uzdrowienia) sądownictwa — słyszy się właściwie wołanie: ratujmy Polskę! Z sędziami rujnującymi człowieka, obdzierającymi go do gołego za kpinkę publicystyczną — Polska ugrzęźnie na stałe w kategorii państw trzeciego, czwartego, piątego świata, gnijących i cuchnących niby mordercze dyktatury. Mamy dyktaturę trybunału—zwyrodniału, którą musimy obalić narodowo-wyzwoleńczym czynem! Stawiając taką tezę — nie nadużywam słów. Nie nadużyłbym ich nawet porównując dzisiejszą RP do gułagu, w którym za strażników robią zdeprawowane togi. Albowiem to, iż tacy ludzie jak ci, którzy ogłosili wyrok na Jacka Piekary, nosząc togi ferują werdykty w polskich sądach — oznacza całkowity upadek naszego wymiaru sprawiedliwości, wystawia temuż świadectwo hańby kompletnej. Zaś bez sprawiedliwości kraj jest bez wolności. Nie wola. ©© Waldemar Łysiak

PS. Jeżeli Jacek Piekara zostanie definitywnie zmuszony do zapłacenia tego bandyckiego haraczu — trzeba będzie zrobić antysalonową zrzutkę powszechną.

fol. MW Media



NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE

WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW



ORAZ

ORKIESTRA NFM
FILHARMONII
WROCŁAWSKIEJ
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOŚY

MECENAT KONCERTU

WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl d6745449d2